

HISTORIA I TERAŹNIEJSZOŚĆ

**Atak lewaków na podręcznik
prof. Wojciecha Roszkowskiego**



**Łukasz Warzecha traci wiarę
w sens przynależności Polski
do Unii Europejskiej**

TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZECZY**

NR 25/481 20-26 CZERWCA 2022

CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



**SENSACYJNA HISTORIA
TAJNYCH BANKNOTÓW PRL
ODNALEZIONYCH
W SKARBCE NBP**

**Piotr Semka o Honorowym
Obywatelu Warszawy
- Hannie Gronkiewicz-Waltz**

Utopia 2022



**PUBLICYSTYCZNA MRZONKA
FEDERACYJNEGO PAŃSTWA
POLSKO-UKRAIŃSKIEGO**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



9 772299 850000
Nakład: 54 000 egzemplarzy



Polskie banknoty obiegowe

ZESTAW SREBRNYCH MONET KOLEKCYJNERSKICH NBP



Narodowy Bank Polski wprowadza do obiegu srebrne monety kolekcyjne o nominałach 10 zł, 20 zł, 50 zł, 100 zł, 200 zł oraz 500 zł, które tworzą wyjątkowy zestaw: „Polskie banknoty obiegowe”. Na prostokątnych monetach zaprezentowane zostały stylizowane wizerunki banknotów będących obecnie w obiegu.



Zestaw do nabycia
od 21 czerwca 2022 r.
w Oddziałach Okręgowych NBP
oraz w sklepie internetowym:

[KOLEKCJONER.NBP.PL](https://kolekcjoner.nbp.pl)



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Widma z nieodległej przeszłości

Pierwszą rzeczą, która pada ofiarą hysterii w debacie politycznej, jest rozsądek. Jego zachowanie dzisiaj, kiedy to mamy do czynienia z dominacją demokracji masowej i medialnej, zdaje się wręcz niemożliwe. Masowość wymusza spłaszczenie i powierzchowność przekazów, potęgą mediów – szczególnie rolę odgrywają tu media społecznościowe – emocjonalność komunikatów i odwoływanie się do najbardziej pierwotnych uczuć odbiorców. Wszystko to przyszło mi do głowy kilka dni temu, kiedy to na lotnisku we Frankfurcie dostrzegłem dwóch kosmitów: osoby od stóp do głów ubrane w białe kombinezony, z głowami ściśle opatulonymi kapturami, z zakrywającymi niemal oczy maseczkami. W pewnej chwili jedna z nich sięgnęła po butelkę z wodą, zsunęła maseczkę, pociągnęła kilka łyków, po czym natychmiast zasunęła maseczkę na twarz. Ten krótki moment sprawił, że mogłem dostrzec rysy twarzy. Zapewne, domyśliłem się, byli to mieszkańcy jednego z państw azjatyckich.

Na chwilę, dzięki nim, przeżyłem powrót do rzeczywistości, która to, gdyby nie wybuch wojny na Ukrainie 24 lutego, nadal mogłaby nas, ze względu na szaleństwo polityków i pogoń za zyskami mediów, prześladować. Przecież jeszcze na początku lutego niewiele brakowało – uchronił nas przed tym bunt niektórych posłów PiS – by polski Sejm przyjął jedną z najbardziej paranoicznych ustaw w swoich dziejach. Zgodnie z projektem, przypomnę, wszyscy mogliby na siebie donosić wzajemnie, jeśli podejrzewaliby, że ktoś ich zaraził wirusem! Jeszcze całkiem niedawno, bo

w styczniu, eksperci i specjaliści – żaden z nich nie stracił stanowiska – opowiadali o zwałach trupów, ofiar COVID-19, które wypełnią stadiony, o czekającym Polskę armagedonie, o natychmiastowej konieczności potrójnej dawki szczepionki, bo w przeciwnym razie czeka delikwenta rychła i nieuchronna śmierć. Jeszcze w lutym z odbiorników radiowych raz po raz słyhać było dokuczliwy głos propagandyistów, siejących grozę i pobudzających do ucieczki w krainę ostatniej prostej. Jeszcze w styczniu można było słyszeć z ust rządzących Polską polityków, że należy pójść na całość, że żeby przeżyć, Polska musi wdrożyć drastyczne przepisy wymuszające poddanie się tyranii powszechnego szczepienia, a kto nie chce się szczepić i nie wierzy w dobrodziejstwo Pfizera, ten ruski szpieg, troll i agent. Jeszcze w lutym, raptem kilka dni przed wybuchem wojny, najważniejsi politycy występowali opatuleni w maseczkach i ściśle przestrzegali „zbawiennego” reżimu sanitarnego. To wszystko było cztery miesiące temu!

Dziś po paroksyzmie psychozy pozostały niejasne wspomnienia. Dawni zagońcy wydają z siebie tylko niewyraźne pomruki i liczą na odwrócenie złej karty: trudno jest im pogodzić się z tym, że ludzie bardziej boją się wojny z Rosją niż wirusów. Żółszczą się i pieklą. Krótko wierzyli, że wraz z odkryciem małpiej ospy wszystko się zmieni, ale się przeliczyli. Z różnych powodów – mniejsza zaraźliwość, ograniczenie do populacji męskiej i to często homoseksualnej – na strachu przed ospą, nawet małpią, nie da się zbudować tak skutecznej narracji jak na strachu przed COVID-19. Nie mam jednak złudzeń. Ledwo

opowieści o wojnie się opatrzą, a te same siły, które potrafiły uruchomić globalne mechanizmy tresury, strachu i dyscypliny w latach 2020–2022, znowu zaczną działać. Skoro za gigantyczny humbug i rozpętanie hysterii szczepionkowej, wraz z jej skutkami ubocznymi, a więc faktycznym zawieszeniem na wiele miesięcy działania służby zdrowia, nikt nie odpowiedział, to hulaj dusza. Nikt nie jest winny przepuszczenia miliardów na zakup szczepionek, nikt nie odpowiada za nadmiarowe zgony.

Z całej tej opowieści można wyciągnąć kilka morałów. Pierwszy i najważniejszy jest taki, że nie istnieje kategoria bezstronnych, bezinteresownych ekspertów. Niezależnie, czego rzecz dotyczy – czy to zagrożenia chorobą czy wojną – ci, którzy pojawiają się w mediach, najczęściej obsługują emocje. Mówią to, co ma wywołać poruszenie. Mają generować strach, bo tylko strach skutecznie podnosi zainteresowanie przekazem. Po drugie, w sytuacji zagrożenia i napięcia trudno też liczyć na zdrowy rozum polityków. Są jak trzcina miotana wiatrem: pędzą tam, gdzie ich zaprowadzi podmuch. Po trzecie, demokracja medialna praktycznie wyrugowała zdolność debatowania za pomocą rozumu. Po czwarte, w tym nowym systemie tyranii emocji różnica zdań traktowana jest jako wada i zło: kto nie zgadza się z dominującym przekazem, ten musi zostać napiętnowany.

Co zatem pozostaje? Oparcie się na własnym doświadczeniu i trzymanie się własnego rozsądku. Wiara, że każde szaleństwo kiedyś minie. Nie jest to wesoła konstatacja, ale nie umiem zdobyć się na inną. ©

TEMAT TYGODNIA

16 JAN FIEDORCZUK

PRZEPIS NA KATASTROFĘ

Utopia federacji polsko-ukraińskiej

19 WOJCIECH GOŁONKA

PRZESTROJENIE NARRACJI

22 ROZMOWA Z MARCINEM WYRWAŁEM

ROSJANIE GRAJĄ NA WYNISZCZENIE

KRAJ

26 KRZYSZTOF MASŁOŃ

FRONT PRZECHODZI PRZEZ SZKOŁĘ

Spór o HiT

30 PIOTR SEMKA

POWRÓT „ŻELAZNEJ HANI”

32 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

W POSZUKIWANIU MŁODEJ GWARDII

34 TOMASZ ROWIŃSKI

TRZY LATA PILNOWANIA PASTERZY

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

W IMIĘ DZIECKA?

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

PROFILAKTYKA? NIE PRAKTYKUJĘ

KULTURA

40 PIOTR SEMKA

MALCZEWSKI, CZYLI ROMANTYZM NAMALOWANY

Malarz na wskroś polski

60 PIOTR GOCIEK

PSI LOS

DODATEK SPECJALNY



43 WIELKIE POSTACIE POLSKIEJ NAUKI

POLSKIE ODKRYCIA I OSIĄGNIĘCIA W MEDYCYNIE

NIE PRZEGAP

62 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

68 MAREK JUREK

PÓKI JEST SZANSA NA POKÓJ

Rola Polski w zakończeniu wojny na Ukrainie

72 AGNIESZKA MARIANOWICZ-SZCZYGIEŁ

SPISEKOWY „SPISEK GENDER”

HISTORIA

74 PIOTR WOYCIECHOWSKI

TAJNE BANKNOTY „E-71”

Sowieci byli gotowi do inwazji

78 RADOŚŁAW WOJTAS

W IMIENIU STU MILIONÓW

ŚWIAT

82 MACIEJ PIECZYŃSKI

BAŁTOWIE NIE BOJĄ SIĘ MOSKWY

Groźby Putina

EKONOMIA

88 ŁUKASZ WARZECHA

CZY POZOSTAWAĆ W UE?

Coraz mniej korzyści

SPORT

90 ŁUKASZ MAJCHRZYK

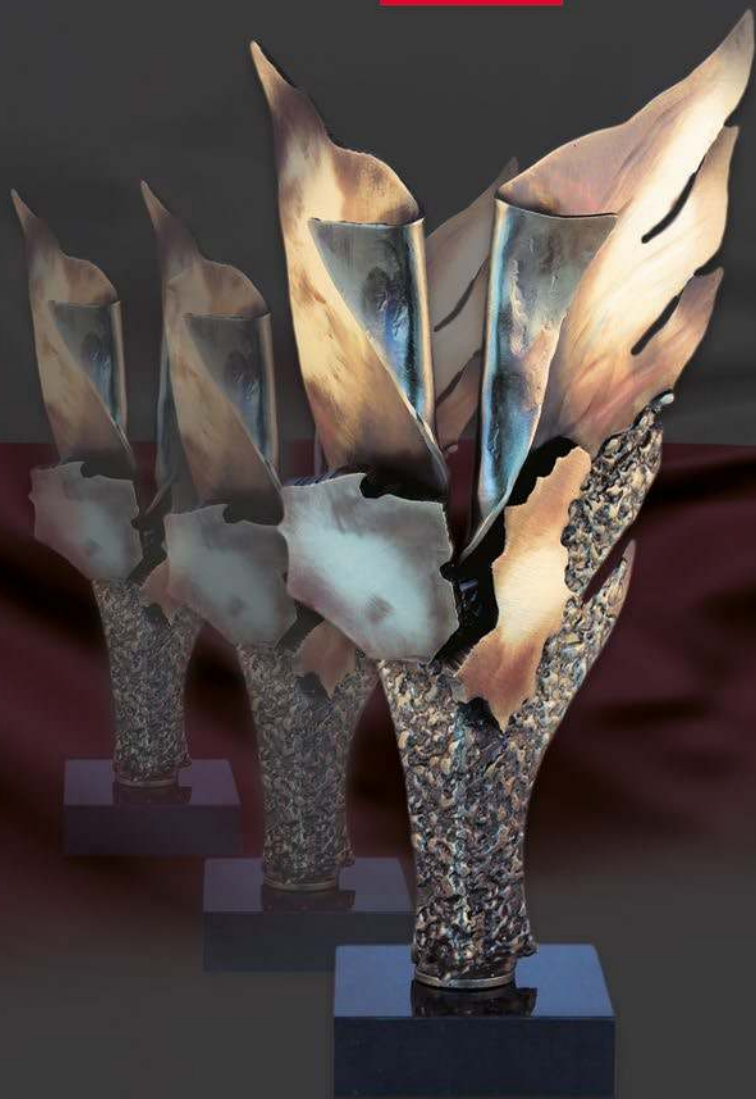
KRÓL ROBERT STRZELA DO PRACODAWCY

Czy Polak trafi do Barcelony?

FELIETONY: SEMKA (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (10), GMYZ, GOCIEK (14), ZYCHOWICZ, KOPER (80), PRZYBYLSKI (85), GABRYEL, WARZECHA (86), KOMUDA (93), POSPIESZALSKI, KARWELIS (95), JASTRZĘBOWSKI, WOŁCZYK (96), KUCHARCZYK (97), CEJROWSKI (98)

STRAŻNIK PAMIĘCI

2022



TYGODNIK LUDZKICH
**DO
RZECZY**

HISTORIA
RZECZY



PARTNER
STRATEGICZNY

**TYGODNIK LISICKIEGO
DO
RZECZY**
ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Ciejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Wojciech Golenka,
Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jerzy Karwelis,
Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Grzegorz
Kucharczyk, Tomasz Lenkowski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkos, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Błażej Torański, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk,
Marcin Wołski, Małgorzata Wolczyk, Jakub Woźniak, Tomasz Wróblewski,
Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska**
(także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Kamila Frach, Marcin Bugaj,**
Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski,
Łukasz Żygadło

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (kierownik), **Marta Michałowska,**
Jakub Tański (skład), **Jacek Nadratowski** (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrzycka-Wemerowska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystopa**
Okładka: **SUNDAY**

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl, tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@mpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@mpg.pl, tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 54 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaje egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Geografia i język cd.

Szanowni Państwo,
dziękuję za opublikowanie moich uwag dotyczących plagi niewłaściwego stosowania nazw geograficznych w mediach, zwłaszcza w odniesieniu do Ukrainy. Ale to, że politycy i dziennikarze piszą i mówią „w Ukrainie”, to jeszcze nic. To tylko świadectwo ich niedbalstwa, braku patriotyzmu lub dążenia do „politycznej poprawności”. O wiele groźniejszym elementem wojny informacyjnej jest zastępowanie nazw geograficznych pojęciami metageograficznymi, czyli takimi, które tylko na pozór oznaczają jakieś terytorium.

Najlepszym przykładem jest powszechnie u nas używane wyrażenie „Europa Środkowa”. Jeżeli nasi politycy w swoich wypowiedziach potwierdzają przynależność Polski do „Europy Środkowej”, to najbardziej cieszy to Niemcy, gdyż Mitteleuropa jest od końca XIX w. obszarem niemieckiej dominacji kulturowej, ekonomicznej i politycznej. Satisfakcję mają też na Kremlu, gdyż obszary położone na wschód od Mitteleuropy to nic innego jak „ruski mir”, a ponadto nazwanie „Europą Środkową” krajów sąsiadujących z Rosją od zachodu, daje Rosjanom status (wschodnich) Europejczyków. Chcą oni to jak najczęściej potwierdzać, ponieważ barbarzyńskie zachowanie na Ukrainie mocno podważa tę ich „europejskość”.

Wygląda więc na to, że „Europa Środkowa” stanowi element narracji, którą daliśmy sobie narzucić przez Niemców i Rosjan. Europa to region obejmujący narody cywilizacji łańcińskiej, który składa się z Europy Zachodniej i Europy Wschodniej, a Polska od zarania dziejów stanowi ważny element tej drugiej. Kiedyś nasze granice sięgały daleko na wschód, co oznaczało, że znacznie większy zasięg miała Europa, której rubieży strzegły polskie stanice kresowe.

Dzisiaj Ukraina walczy o to, by Europa wróciła tam, gdzie niegdyś była i skąd się wycofała na skutek moskiewskiej presji. Wynik wojny na Ukrainie jest tak istotny, bo jest to konflikt cywilizacyjny: wojna cywilizacji łańcińskiej z „ruskim mirem”. Byłoby dobrze, aby polskie media i podręczniki geograficzne nie wspierały Kremla przez bezkrytyczne powielanie wyrażenia „Europa Środkowa”. Równie dobrze możemy zacząć wschodnie ziemie dzisiejszej Ukrainy (czyli m.in. dawne Dzikie Pola i Sicz Zaporoską) nazywać „Noworością” – to taki sam kremlowski wynalazek metageograficzny jak „Europa Środkowa” i Europa (jako kontynent) sięgająca poza Ural. Zmianianie nazw to od wieków zwyczaj władców Rusi, dla których jest to ważny element stosowanej technologii geopolitycznej.

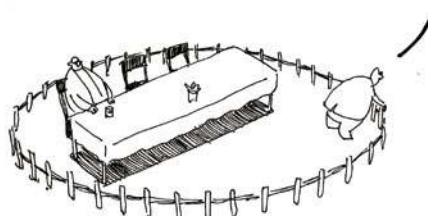
**Witold Wilczyński, Polskie Towarzystwo
Geopolityczne, Uniwersytet Pedagogiczny
w Krakowie**

Wyjaśnienie

Tytuł felietonu Rafała A. Ziemkiewicza z cyklu „Pływanie w kisieli” w „Do Rzeczy” nr 24/2022 powinien brzmieć: „Cui prodest?”. Za pomyłkę przepraszamy.

Redakcja

Dopiero co wykluczaliśmy z grona
ludzi na pewnym poziomie, a teraz
sam czujesz się jakos wykluczony..



0 2 2 8 5 9 4 1 7 1 2 5 0 0 2

NA PIERWSZY OGIEŃ

Szukając **straconego czasu**



PIOTR SEMKA

Niemcy nie są specjalnie kojarzeni z poczuciem humoru, ale opisane przez dziennik „Der Tagesspiegel” losy dostaw ciężkiego sprzętu z RFN na Ukrainę to temat na całkiem zgrabną humoreskę. Gazeta tak opisuje problemy z realizacją głośnych obietnic pomocy wojskowej dla Kijowa kanclerza Olafa Scholza: „Niemiecki rząd od końca kwietnia mówi o dostawach ciężkiej broni do Ukrainy. Wówczas niemiecka minister obrony zatwierdziła dostawę 30 samobieżnych dział przeciwlotniczych Gepard. Ale i tu jeszcze broń musi zostać doprowadzona do odpowiedniego stanu. Pierwsza seria ma być wyremontowana w lipcu, a druga w sierpniu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to Ukraina wkrótce otrzyma dostawy gepardów po 15 pojazdów każda”.

I tu jest pewien haczyk. „Zdobyte do tej pory 59 tys. sztuk amunicji to zdecydowanie za mało. Dlatego Berlin prowadzi obecnie rozmowy z Brazylią, Hiszpanią i ze Szwajcarią. Ta ostatnia jednak już po raz drugi odrzuciła niemiecki wniosek o 12,4 tys. sztuk amunicji” – donosi berliński dziennik.

Hm, z gepardami są problemy. To może szybciej uda się wysłać

bardzo oczekiwane przez Ukraińców wyrzutnie raketowe Mars? „Niemcy chcą dostarczyć Ukrainie cztery wyrzutnie raketowe Mars, ale wcześniej podawana data dostawy, czyli koniec czerwca, została przesunięta na czas nieokreślony. Systemy uzbrojenia produkowane przez firmę Krauss-Maffei Wegmann są nie tylko w małym stopniu sprawne, lecz także mają również problemy z oprogramowaniem” – donosi „Tagesspiegel”.

Ciekawe. To te systemy rakietowe z takimi poważnymi problemami z oprogramowaniem stoją tak sobie w magazynach Bundeswehry? To może krwawiące Ukrainie Berlin pomoże systemami IRIS-T? Przecież na początku czerwca kanclerz Olaf Scholz zapowiedział w Bundestagu, że Niemcy dostarczą Ukrainie system obrony powietrznej IRIS-T oraz system radarowy służący do wykrywania pozycji artylerii wroga. Po tych zapowiedziach ambasador Melnyk pochwalił Niemcy. „Teraz naprawdę można mówić o punkcie zwrotnym dla Ukrainy” – powiedział.

Ale – jak zaznacza „Tagesspiegel” – Ukrainie nie wystarczy jedna jednostka IRIS-T. W niedługiej perspektywie czasowej w celu wzmocnienia swoich zdolności obronnych Ukra-

ina potrzebuje jeszcze co najmniej 10 takich systemów i amunicji. Tyle że – jak pisze niemiecki dziennik, powołując się na doniesienia „Business Insider” – „system ma być gotowy dopiero w listopadzie lub w grudniu. Kijów ma jednak nadzieję, że pierwszy system zostanie udostępniony armii ukraińskiej już pod koniec października”.

Gepardy bez amunicji, marsy niesprawne, IRIS-T niegotowe. A może uda się ściągnąć na Ukrainę chociaż niemieckie haubice? „Tagesspiegel” informuje: „Nie lepiej jest też z haubiccoarmatami. Prawie dwa miesiące temu niemieckie ministerstwo obrony ogłosiło przekazanie Ukrainie siedmiu haubiccoarmat PzH 2000 z zasobów Bundeswehry. Niejasny jednak jest okres dostawy – mówi się o końcu czerwca lub lipcu”.

W tym samym czasie niemiecki „Spiegel” ujawnił, że wskutek interwencji z Berlina Hiszpania rezygnuje z zamiaru wysłania Ukraincom czołgów Leopard. W „Martwych duszach” Gogola występuje woźnica, o ile dobrze pamiętam, Grigorij Dojeżdżaj-nie-dojedziesz. Jeśli wierzyć w inkarnację, to jego duch najwyraźniej wcielił się w kanclerza Olafa Scholza. ©©



FOT. ZN KOREN/POLARIS/EAST NEWS

SPÓR O BROŃ AGENTÓW SZIN BET

Polski rząd nie zgadza się, aby agenci izraelskiej służby bezpieczeństwa Szin Bet nosili przy sobie broń podczas pobytu w Polsce. W związku z tym władze Izraela odwołały wycieczki tysięcy izraelskiej młodzieży do Polski. Rząd w Warszawie deklaruje, że chciałby, aby takich wycieczek było jak najmniej. Wiceszef MSZ Paweł Jabloński wielokrotnie tłumaczył jednak, że uzbrojona ochrona jest „zjawiskiem niespotykanym i nieuzasadnionym”. ©©



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Euro-Szymon

Partia „nie-PiS-ale-i-nie-PO”, czyli Polska 2050, potocznie zwana partią Szymona Hołowni (choć on sam, cokolwiek kunktatorsko, nie przejął jej sterów, powierzając to Michałowi Kobosce), sondażowy wzlot ma już za sobą. W najnowszych badaniach wypada coraz częściej z pierwszej trójki i coraz częściej ma wynik jednocyfrowy. W sumie trudno się temu dziwić: tego rodzaju ugrupowania polityczne, paradoksalnie, zawdzięczają swą siłę temu, co jest ich słabością. Albo, inaczej mówiąc, to samo, co jest przyczyną ich pierwszych sukcesów, jest też powodem, dla których okazują się ostatecznie efemerydami.

Powodem, dla którego Hołownia – jak przed nim Petru

lub Palikot – wyskoczył w sondażach na pozycję poważnego rywala PiS, było to, że nikt o nim nic nie wiedział, poza sprawami najbardziej ogólnymi (jako o polityku, nie celebrycie), więc każdy mógł sobie wpisać w niego swoje oczekiwania i widzieć w nim takiego polityka, jakiego zawsze chciał poprzeć, tylko że go dotąd nie było. Powodem, dla którego teraz poparcie dla Hołowni pozwoli, systematycznie topnieje, jest to, że wyborcy coraz więcej się o nim dowiadują i coraz bardziej przekonują się, że to jednak nie ten. Tak to jest, dlatego właśnie takie partie widma zakłada się, jak w wypadku dwóch poprzednich, krótko przed wyborami, żeby donieść do nich efekt świeżości.

Kto czuje, że tonie, ten zaczyna wykonywać ruchy rozpaczli-

we i nieprzemyślane. Walcząc o utrzymanie poparcia przynajmniej na tyle, by za rok razem z PSL przekroczyć próg 8 proc., nagle stał się Hołowna zwolennikiem szybkiego wprowadzenia w Polsce wspólnej waluty euro. Od czasu kryzysu do upadku Lehman Brothers, który przeszedłszy lepiej od innych, i każdy to wie, właśnie dzięki narodowej walucie nikt od dawna nie śmiał do tego postulatu wracać. Robić to teraz, w obliczu pewnego już kryzysu obecnego? I jeszcze z argumentem: „Zauważyłem, że tam, gdzie jest euro, kredyty są tańsze” (tak jakby: ludzie, którzy mają prywatne odrzutowce, są bogatsi, kupujemy odrzutowce)? No, jeszcze parę takich olśnień i nie wiem, czy za rok PSL będzie miał z kim tworzyć „drugą listę”. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Sewastopol – Timbuktu

Swiat obiegrała informacja o rozmowie szefów sztabów Francji i Rosji, generałów Burkharda i Gerasimowa. Profesor Żurawski vel Grajewski skomentował: „Nie wiemy, jakie zapadły ustalenia. Wiemy, że rozmowa się odbyła i cała ta sytuacja wywołuje nieufność do Francji [...], nie służy budowie prestiżu Francji i jedności Zachodu”.

Trzy tygodnie wcześniej z Gerasimowem rozmawiał gen. Milley, szef amerykańskiego kolegium szefów sztabów. O tym, „jakie zapadły ustalenia”, też „nie wiemy”, tym bardziej że komunikat mówi o zachowaniu „tajemnicy”, „zgodnie z dotychczasową praktyką”. Uchyła jednak jej rąbka, informując, że chodziło „o kilka budzących obawy

kwestii związanych z bezpieczeństwem” i o „utrzymanie otwartych linii komunikacyjnych”. Reszty możemy się tylko domyślać, bo media uszanowały zachowanie „tajemnicy” i amerykańsko-rosyjski kontakt wywołał niewspółmiernie mniej komentarzy niż rozmowa gen. Burkharda. O tej ostatniej coś jednak wiemy. Francuzi rozmawiali o Sahelu, być może w kontekście obecności rosyjskich „wagnerowców” w Mali i innych państwach regionu. Dla Francuzów Sahel to jak dla nas Ukraina, a nawet bardziej. My nie jesteśmy na Ukrainie zaangażowani militarnie, francuscy żołnierze giną, walcząc z islamizmem.

Po rozmowie gen. Milleya Amerykanie zdecydowali się

wyłączyć z nowej transzy pomocy dla Ukrainy wyrzutnie dalekiego zasięgu (o czym piszę wewnątrz numeru – na str. 68). W rozmowie generałów chodziło więc pewnie o nieeskalację, o nieatakowanie linii zaopatrzenia w Rosji i w państwach sąsiadujących z Ukrainą, więc również – o Polskę.

Zawieszanie ognia, wymiany jeńców i inne podobne praktyczne kwestie były zawsze negocjowane podczas wojen, i to nie tylko przez dyplomatów, lecz także przez żołnierzy. Wojna jest żywiołem, tym bardziej należy go kontrolować. Warto o tym pamiętać, bo doktryny „nic o nas bez nas” i „nie rozmawia się”, zasadniczo biorąc, są nie do pogodzenia. ©©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski

DO
RZECZY

HISTORIA
DO
RZECZY

FUNDACJA  STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI **2022**

**JUBILEUSZOWA X EDYCJA
WYJĄTKOWYCH NAGRÓD
W KATEGORIACH:**

MECENAS | INSTYTUCJA | TWÓRCA

W LISTOPADZIE 2022

WIĘCEJ INFORMACJI: [DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI](https://dorzeczy.pl/straznik-pamieci)

PARTNER STRATEGICZNY

PARTNER GŁÓWNY

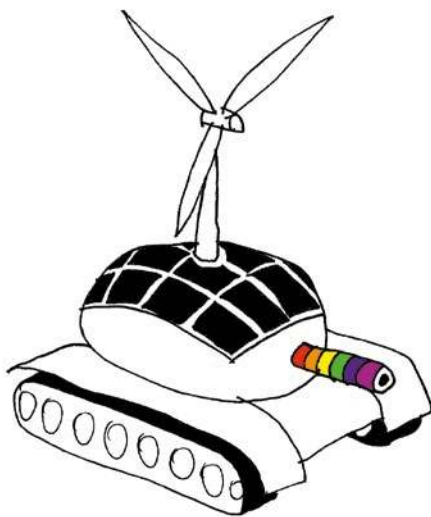
PARTNER



eprasa.pl/9ebd9c95fb



RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ce 2 0 3 5 2 5 4 7 0 1 2

Rok 2035. Czotgi atmi UE
mogą btoić przed rolyiską inwazją
wygłczone w dui słoneczne, ew. wietrzne



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Tylko nie mów nikomu

Do Peschieri nad jeziorem Garda przyjechało na gościnne występy ok. 400 bardzo młodych ludzi o północnoafrykańskich korzeniach. Skrzyknęli się na TikToku pod hasłem „Dzień Afryki”. Intencji nie kryli: „Kto wygra: czarni, biali czy niebiescy?”. Niebiescy to policjanci. Policja też otrzymała ostrzeżenie w postaci filmiku z aktami przemocy i zapowiedzią: „Uważajcie, czeka was coś ciekawego!”. Młodzież przybyła pociągami z flagami krajów, z których pochodzą ich rodzice, głównie z Maroka, Tunezji, Algierii i Libii, ogłaszając: „Tu jest Afryka!”.

Rozpoczęła się totalna demolka. Doszło do kradzieży, napadów na tubylców, a także molestowania seksualnego

białych dziewcząt. Wezwanej policji udało się opanować sytuację po kilku godzinach. W pociągach, w drodze powrotnej, napastnicy skandowali: „Biali tu nie wsiadą”. W jednym z nich zaatakowali kilka podróżujących młodych Włosek. Dumni ze swoich wyczynów opublikowali potem na TikToku ilustrujące je filmiki. Pomogło to policji zidentyfikować kilkudziesięciu sprawców, a także sprawczyń, bo – jak się okazało – śniade dziewczęta również lżyły i atakowały swoje białe rówieśniczki.

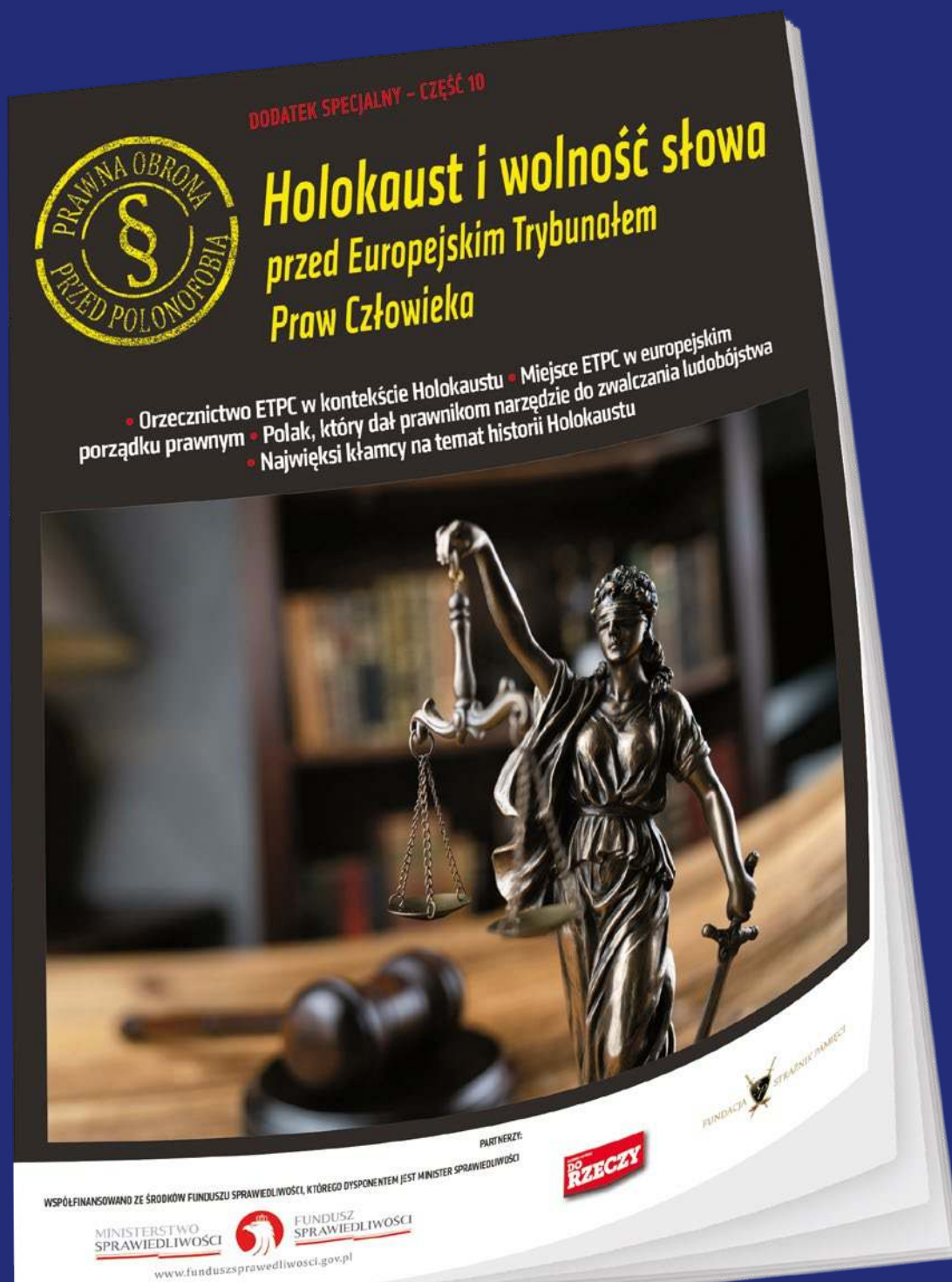
Co ciekawe, z relacji „Corriere della Sera”, pierwszego dziennika Włoch i największej agencji prasowej ANSA, nie sposób lub bardzo trudno wywnioskować, że napastnikami byli potomkowie

afrykańskich migrantów. Mowa była jedynie o „młodocianych gangach”. Na łamach lewicowej „La Repubblica” pisarka Michela Marzano z oburzeniem tłumaczyła, że informowanie o pochodzeniu sprawców wzbudza jedynie nienawiść rasową – a przecież nie wolno ich obwiniać, ponieważ padli ofiarą islamskiej kultury, która usprawiedliwia poniżanie kobiet.

Inna dama, filozofka Antonella Viola, w komentarzu dla „La Stampa” wywodziła, że przemoc nie ma koloru skóry ani religii, przeto należy te informacje w doniesieniach pomijać. A więc delirium, a przy okazji totalna klęska procesu integracji. Przecież ci młodzi ludzie urodzili się we Włoszech i chodzą do włoskich szkół. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Pobierz i czytaj za darmo dodatek w wersji elektronicznej!
tygodnik.dorzeczy.pl/dodatki-specjalne



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 9ebd9c95fb



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jak wiecie, straszne rzeczy się działy w czwartek na ulicach naszych wielkich ośrodków. Podniosło swój brunatny, fashystofski łeb tenkrajowe katolstwo, które manifestowało swoje poglądy wśród przestrzeni miejskiej, zabierając nasze ulice, place i skwery, z butami (dosłownie) włączając ze swoim sacrum do naszego świeckiego, wygodnego profanum.

Nie mogliśmy spokojnie na to patrzeć ani oddawać przestrzeni miejskiej bez znaku sprzeciwu, chociaż dobrze wiemy, iż za sprzeciw wobec Kościoła można wylądować na przymusowej katechizacji w Licheniu. Dlatego tesh postanowiliśmy uderzyć wąsaty patriarchat kryjący się za zasłoną obrzędowości katolickiej w jego najczulszy punkt, a więc w rolę płciowe.

Jak być może mgliście pamiętacie ze swoich niewielkich ośrodków, wciąż panuje zwyczaj, aby małe osobodzievczynki sypały podczas tych procesji kwiatki. Z jakiegoś powodu małe osoby ludzkie chłopięce nie są do tego zwyczaju dopuszczane. Pewnie dlatego, że, wiecie, fizyczna praca związana z ogrodnictwem musi być przyporządkowana do tradycyjnej roli kobiecej. A chłop to ma się na to patrzeć i od tego patrzenia ma prawo się zmęczyć.

Dlatego też wspólnie z frendami z kolektywu postanowiliśmy pójść patriarchatowi i katofashysmowi na przekór i wybraliśmy się na jedną z takich procesji z koszyczkami pełnymi płatków kwiatków, które pozyskaliśmy od naszej zaprzyjaźnionej nieheteronormatywnej kooperatywy.

Myśleliśmy, iż wywołamy świeckie oburzenie, iż napisze o nas ktoś z postępowych mediów, zamiast tego zostaliśmy tylko wyśmiani przez co bardziej wąsatego Janusza, a jakieś starsze waginoosoby nawet powiedziały do nas: „O, jak się ładnie, chłopcy, staracie wziąć udział w święcie” i wręczyły nam po świętym obrazku.



Ostatecznie nas to spłoszyło i uciekliśmy z powrotem na nasze świeckie ulice i do świeckich lokali, aby przełknąć w spokoju gorycz tej porażki i splukać ją z siebie najbardziej gorzkim west coast double ipa, jakie było dostępne w Krakowie tego dnia na kranach w modnych multitapach.

Wtym roku wypada kolejna rocznica polskiej agresji na niemiecki zakon krzyżacki oraz przepędzenia go z terytoriów państwa polskiego w wyniku bitwy pod Grunwaldem. Zresztą to takie polskie – najpierw kogoś zapraszają, potem wypraszają, zero kultury ma ten naród.

No i właśnie nasza ciekawość świata doprowadziła nas do informacji związanej z tą rocznicą, iż archeolodzy będą znów prowadzić poszukiwania na terytorium bitwy grunwaldzkiej. Pewnie będą szukać tam dowodów na to, iż to strona polska, jak zawsze, była ofiarą, i szukać usprawiedliwienia dla tej średniowiecznej ksenofobii, która nie pozwoliła podzielić się z Krzyżakami częścią tego kraju.

A przypomnijmy, iż kiedyś, w uproszczeniu mówiąc, ten kraj był znacznie większy niż teraz i żyło w nim znacznie mniej ludzi niż teraz, a w dodatku składał się głównie z lasów. I to tych lasów polski król poskapił gościom. Nieładnie, chyba sami widzicie. Dlatego mamy nadzieję, iż wykopaliska przyniosą jednoznaczne i obiektywne dowody polskiej winy, iżby potem znów nie było, że jest ta rocznica i wszyscy świętują, i cieszą się, jakby było z czego.

Zsatisfakcją przyjęliśmy wynik meczu, w którym reprezentacja tego kraju przyjęła szóstkę od Belgii. Naszym mniej obeznanym w sporcie sympatom tłumaczymy, iż oznacza to, że straciła sześć goli. A powtarzaliśmy, mówiliśmy, apelowaliśmy: z Brukselą się nie zadziera.

Chyba że to 1:6 to było po to, żeby wreszcie przeszedł ten cały KPO i kasa poszła. Mamy nadzieję, iż jednak nie. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU:
[FB.COM/MWIZWO](https://www.facebook.com/mwizwo)

PODSŁUCHANE

Benzyna po 10 zł

Donald, ty może lepiej nie mów takich rzeczy jak o tej benzynie.
Ale o co ci chodzi, Borys?

No, że byłaby po 5 zł, jakbyśmy wygrali. Bo niby jakbyś to chciał

zrobić? A już Rafał chodzi po dziennikarzach i namawia, żeby cię przemaglowali w tej sprawie.

No jak to: jak? Normalnie, zdejmie się Obajtko, jego to zresztą trzeba będzie od razu przed prokuratora, niech się chłopina trochę postresuje, zrobi się prezesem Grasia czy kogo tam, on zetnie marżę do zera, a nawet zacznie dopłacać... Oczywiście tylko na chwilę. A zresztą – nic takiego nie będzie trzeba nawet robić.

Dlaczego?

Oj, przecież to elementarz: bo jak już ludzie uwierzą, a my wygramy, to wtedy benzyna będzie mogła być nawet po 7 zł.

Ale ona już jest po 7.

A nie, słusznie, tak mi się jakoś powiedziało. Z sentymentu. OK, to niech będzie po 10. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Kiedy będą wybory samorządowe? Kiedy PiS uzna, że mu to się opłaca”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

CZY ENERGIA Z WIATRU ZWIĘKSZY BEZPIECZEŃSTWO ENERGETYCZNE POLSKI?



Tak twierdzi większość Polaków



Rząd i Parlament mają szansę już w najbliższych tygodniach zmienić prawo i odblokować budowę farm wiatrowych. Dzięki temu zwiększą bezpieczeństwo energetyczne Polski, obniżą rachunki za prąd, a jednocześnie pomogą chronić środowisko i klimat.



Polska ma ogromne zasoby taniej energii z wiatru. Eksperti z Fundacji Instrat szacują, że do 2040 roku potencjał ten może sięgnąć 40 GW. To 8x więcej niż moc elektrowni Bełchatów - największej polskiej elektrowni węglowej.



Polacy uważają, że rozwój OZE jest szczególnie ważny w obliczu wojny w Ukrainie i konieczności poprawy bezpieczeństwa energetycznego Polski w oparciu o krajowe źródła energii.

Kto chce więcej energii z wiatru na lądzie?

Czy Pana/i zdaniem polskie prawo powinno zostać zmienione jak najszybciej, aby ułatwiać budowę wiatraków w naszym kraju?

ODPOWIEDZI „TAK”:

74% WYBORCÓW
PiS

79% OGÓŁU
POLAKÓW

79% MIESZKAŃCÓW
WSI

92% MIESZKAŃCÓW
WOJ. PODKARPACKIEGO

Według wyborców PiS energia z wiatru to sposób na niezależność energetyczną

Czy Pana/i zdaniem większa produkcja energii z wiatru pomoże uniezależnić nasz kraj od Rosji, jeśli chodzi o surowce energetyczne?

72%

TAK

25%

NIE

4%

NIE MAM
ZDANIA

ODPOWIEDZI
WYBORCÓW
PiS:

71%

TAK

22%

NIE

7%

NIE MAM
ZDANIA

ODPOWIEDZI
OGÓŁU
POLAKÓW:



Wiele plotek krąży w związku z odejściem/pozostaniem szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego z rządu (niepotrzebne skreślić). Podpowiadamy: owszem, ustawa o ochronie ludności to ważna rzecz, ale gdy pada tekst, że SWP zostanie w rządzie, aż będzie porządek w papierach, to chodzi o inne papiery. A dokładnie o to, żeby pierwsze ojro z Krajowego Planu Odbudowy znalazło się na polskich kontaktach. Dopiero wtedy będzie się można zająć na spokojnie partią i przygotowaniem do wyborów.

Rośnie popularność Donalda z Sopotu. Nie, nie w Polsce, ale w ostatnich tygodniach otrzymaliśmy sporą korespondencję z odległych krajów, łącznie z arabskimi, gdzie nagle Donald stał się bohaterem. Z załączanych screenów wynika, że nie chodzi o bohaterstwo w walce z kaczynizmem. Entuzjazm wzbudził natomiast fakt, że Donald znalazł się na czołówkach ruskiej agencji RIA Nowosti jako osobnik krytykujący szkodliwy wpływ importu zboża z Ukrainy. Zawsze wiedzieliśmy, że Donalda łączy coś z Piskorskim. Ale nie wiedzieliśmy, że bardziej z Mateuszem niż z Pawłem.

Szef rządu złamał konstytucję. I to grubo, bo chodziło o wybory. Dziewczyne, która na wiecu zadała niewygodne pytanie prezydentowi, zaczęła nachodzić w domu policja. I mówić: „Oj, nie trzeba było się odzywać”. Uspokajamy, to nie postępy zamordyzmu z Polsce. To newsy z Niemiec o pani Merkel i z Francji o panu Macronie. Gdyby Tomek Lis był jeszcze czynnym dziennikarzem, zaapelowalibyśmy o program „Co z tą Europą”. Bo co z tą Polską, to akurat wiemy. Choć co innego niż Tomek Lis.

Tymczasem mini-Lis, znaczy Piotr Kraśko, okazał się takim małym pociesnym Gapciem. Strasznie zapominalskim. Głównie zapominał o podatkach, a niektóre to całkiem gdzieś przegapiał. Wśród komentarzy do jego sprawy najbardziej zainteresowało nas wyznanie Karoliny Korwin-Piotrowskiej, która podzieliła się z publiką zdaniem zasłyszonym w urzędzie skarbowym: „Pani Karolinko, pani się nie przejmuję, pani koledzy to jest dopiero kryminal”. Liczymy na to, że prokuratura potraktuje to wyznanie jako donos obywatelski.

Aniektórym Gapciom to się gorzej rzeczy przytrafiają. Spaliło się śmierdziuchowisko KOD-uchów pod Sejmem. I dziwnym trafem, słuchajcie, wiecie co się spaliło? Faktury, rachunki, umowy. Takie tam, wiecie, śmieci, które normalni ludzie trzymają w księgowych. Ale nadludzie, jak Gapcie albo KOD-meni, to w namiotach. Albo w ogóle nie trzymają. Bo i po co? Przypominamy, że Al Capone też trafił do pudła za podatki, a nie za namiot pod Białym Domem.

Wracając do Kraśki. Na razie ma inny problem, a nawet dwa. Po pierwsze, zabołało, więc trafił do szpitala. Niestety, złośliwi ludzie łączą ten fakt z niedawnym spotkaniem Kraśki u prokuratora.



dwaj panowie

Po spotkaniu Gapcio wyszedł o 100 tys. złotych polskich lżejszy oraz pozbawiony trosk związanych z prowadzeniem samochodu przez kolejny rok. Nasze wiewiórki twierdzą jednak, że Kraśce ciśnienie mogło skoczyć z innego powodu.

Wyjaśniamy (gdyż tego przecież od nas oczekujecie): jak wieść niesie, w firmach należących do Discovery szykują się poważne cięcia. A – jak wiadomo – największe oszczęd-

ności można poczynić na tych, którzy najczęściej zarabiają. Tak na marginesie – podobno w tym też tkwi tajemnica nagłego odejścia z TVN niejakiego Edwarda Miszczaka.

Atak w ogóle to ostatnio koncernowi z Wiertniczej idzie jak cómor Koryntu w deszczu. Stosowne instytucje kontrolne powoli dochodzą bowiem do wniosku – to już powód do bólu głowy w całej firmie, nie tylko u najlepiej zarabiających – że jednak coś bardzo nie teges było. Z czym? No z tym, że ludziska zasuwali na działalności gospodarczej zamiast na etacie. No i niestety wszystko wskazuje na to, że wszystko to może naprawdę słono kosztować.

Skoro już o takich prokuratorskich sprawach – wiewiórki mówią, że nowym zastępcą prokuratora krajowego zostanie Robert Urbaniak. Ma objąć schedę po nieodżałowanym Marku Pasionku, który opuścił już był ten padół łez. Nowego wicka jeszcze nie znamy, ale ci, którzy go znają i znają również nas, wystawiają mu dobre recenzje. Facet pochodzi z Krakowa i podobnie jak jego poprzednik uchodzi za człowieka śp. Zbigniewa Wassermanna. Dla nas to wystarczająca rekomendacja.

Głupia sprawa – media się ekscytują zakończeniem misji ambasadora Niemiec w Warszawie. Cóż, przypominamy, że o tym fakcie informowaliśmy już w lutym tego roku. Dokładnie 21 lutego. Co więcej, wskazując przy tym, kogo typuje się w Berlinie na następcę barona Arndta Freytaga von Loringhovens. Znacnie nasze hasło: wiadomości jutrzejsze przekazujemy już dziś. A niektóre to nawet wczoraj przekazaliśmy.

Przypomnijmy, mowa wówczas była o Thomasie Baggerze, który – podobnie jak Arndt – wcześniej robił za ambasadora w Czechach. A potem został takim Jakubem Kumochem niemieckim u niemieckiego prezydenta Steinmeiera. Co oznacza kierowanie biurem polityki zagranicznej. My barona Arndta bardzo żałujemy, gdyż polski szybko podszkolił, ludzie o nim dobrze mówią i jest to – rzadkość – szczerzy antyputinowiec. A po lutym jeszcze mu się zaostrzyło. ©



NIE BĄDŹ PŁOTKA GRUBE RYBY INWESTUJĄ NA **WARMII I MAZURACH!**

Warmia i Mazury to miejsce na Twój biznes!

- Doskonała infrastruktura – 258 km dróg ekspresowych, lotnisko, port morski, 1200 km sieci kolejowej.
- Korzystne otoczenie dla biznesu, na które składają się usługi regionalnego Centrum Obsługi Inwestorów i Eksporterów, rozbudowane zaplecze logistyczne oraz ułatwienia dla przedsiębiorców.
- Wsparcie innowacji w postaci współpracy z jednostkami badawczo-naukowymi, szkołami wyższymi czy centrami badawczymi.
- Wykwalifikowane kadry.
- Dostępność skonsolidowanych terenów inwestycyjnych dających możliwość wielkopowierzchniowej zabudowy.
- Jakość życia pozwalająca na prawdziwy work-life balance.

Dowiedz się więcej na
invest.warmia.mazury.pl



Napisz do nas: **coie@warmia.mazury.pl**,
odpowiemy na pytania dotyczące
Twojej inwestycji w regionie.

Warmia i Mazury.
Pracuj, inwestuj, ciesz się życiem!



Przepis na katastrofę

Jeszcze do niedawna pomysł powołania federacji polsko-ukraińskiej wydawał się niegroźnym marzeniem grupy fantastów. W ostatnich tygodniach mogliśmy jednak zaobserwować całą serię wypowiedzi, które dowodzą, że idea zniesienia suwerennego państwa polskiego na rzecz dwunarodowej federacji na dobre weszła do debaty publicznej. Dużą rolę odegrał w tym Marek Budzisz, publicysta tygodnika „Sieci” oraz współpracownik Nowej Konfederacji, który w felietonie opublikowanym na portalu wPolityce.pl przekonywał, że „winniśmy zacząć myśleć o deklaracji ideowej zapowiadającej powołanie polsko-ukraińskiego państwa federalnego, które może ziszczyć się za lat 10”. Artykuł promował m.in. naczelny „Sieci” Jacek Karnowski, a nad тезami Budzisz



Jan Fiedorczuk

Idea polsko-ukraińskiej federacji może wyglądać atrakcyjnie na papierze, gdy w zaciszu gabinetów rysujemy mapy neojagiellońskiego imperium, jednak konsekwentna realizacja tego projektu oznaczałaby dla Polski prawdziwą katastrofę

rozwodzono się w jednym z programów TVP Info.

Rzeczony artykuł współgrał z niedawnym felietonem naczelnego „Gazety Polskiej” Tomasza Sakiewicza, który z kolei twierdził, że Ukraińcy od dawna chcą powrotu do wielonarodowej Rzeczypospolitej. Wcześniej w podobne tony uderzali m.in. Jerzy Marek Nowakowski z Nowej

Konfederacji, Tomasz Terlikowski, Marek Jakubiak czy Romuald Szeremietiew.

W CENTRUM DEBATY

Wyżej wymienieni komentatorzy niewątpliwie kierują się szlachetnymi pobudkami, widząc w federacji gwarant polskiego bezpieczeństwa. Nie kwestionuję ich intencji, jednak musimy pamiętać,



nie być poważnym partnerem zarówno dla naszych sąsiadów z zachodu, jak i dla wschodu – stwierdził szef kancelarii premiera Michał Dworczyk.

Podobne hasła padają jednak również po stronie opozycji. Jan Krzysztof Bielecki oraz Paweł Kowal w artykule na portalu Onet postulują zawarcie specjalnego paktu między Polską i Ukrainą, na mocy którego wdrożono by mechanizmy systemowej współpracy: „Przykładowo obligatoryjne wspólne posiedzenie rządów obu państw raz na dwa miesiące oraz wspólną sesję Sejmu i Rady Najwyższej raz w roku. Powinna też powstać wspólna Rada Samorządów – jako zgromadzenie przedstawicieli polskich i ukraińskich regionów, miast i wsi”. Dalej politycy proponują m.in. zasadę wymiany wiceministrów w kilku kluczowych resortach obu państw.

Te przykłady pochodzące raptem z ostatnich dni dowodzą, że marzenia o federacji wykroczyły poza margines życia politycznego i zagościły w centrum polskiej debaty publicznej. Rzecz w tym, że koncepcja polsko-ukraińskiego państwa wiąże się ze śmiertelnym zagrożeniem dla naszej wspólnoty narodowej. Urzeczywistnienie tej idei oznaczałoby destabilizację regionu, gospodarczą zapaść, bezpośredni konflikt z Rosją, osłabienie sprawczości polskich instytucji, a także – bardzo możliwe – pogrzebanie dobrych relacji z samymi Ukraińcami. Zaczniemy od sytuacji międzynarodowej, gdyż jest to najbardziej paląca kwestia.

GROŹNE FANTAZJE

Polska jest beneficjentem postzimnowojennego rozdania geopolitycznego. Na prawicy po wielokroć pojawiały się głosy kontestujące obecny porządek, ale – przy wszystkich niekwestionowanych wadach III RP – z perspektywy ostatnich 300 lat walory naszego obecnego położenia są oczywiste. Dlatego też w żywotnym interesie Polski jest podtrzymywanie obecnej koniunktury. Tymczasem połączenie Polski z Ukrainą w jedno państwo federacyjne burzy całą architekturę narodowego bezpieczeństwa. W momencie proklamowania wspólnego państwa znaleźlibyśmy się w stanie otwartej wojny z Rosją. Cały arsenał Kremla zostałby wycelowany już nie tylko w Kijów i Lwów, lecz także w polskie miasta. Kraków, Warszawa czy Białystok mogłyby podzielić los Mariupola. Sprawa jest śmiertelnie poważna, jeżeli uzmysłowimy sobie, że od Rosji „oddziela” nas wyłącznie Białoruś, która

wepchnięta w orbitę moskiewskich wpływów nie może być traktowana jako bufor oddzielający nas od Rosji. Ponad 400 km polsko-białoruskiej granicy stanowiłoby bramę wjazdową dla rosyjskich wojsk.

Jednak przede wszystkim połączenie się z Ukrainą w jedno państwo oznaczałoby de facto, że weszliśmy do wojny z Rosją dobrowolnie. To Polska byłaby stroną aktywną, a to oznacza, że NATO, które wszak jest sojuszem obronnym, nie byłoby zobligowane do obrony naszego państwa. Zwłaszcza że postawienie członków sojuszu przed faktem dokonanym w postaci unii polsko-ukraińskiej odniosłoby raczej skutek wprost odwrotny do zamierzonego. To prowadziłoby do osamotnienia Polski oraz wpłatania się w długotrwały, krwawy konflikt.

Federacjoniści oczami wyobraźni nie widzą jednak zbombardowanych miast i pomordowanych cywilów. Marzą o imperium neojagiellońskim i powiewających biało-czerwonych sztandarach (najlepiej z wizerunkiem orła, pogoni i archanioła) od morza do morza, zapominając jednocześnie o realnej grozie sytuacji, do której – nieświadomie – prowadzą ich marzenia. A co potem? Co zostanie z tych wizji?

„A potem tak jak zawsze – łuny i wybuchy [...], krzepiąca wiedza, że jesteśmy – sami”.

PRZEPIS NA KRYZYS

Lekkość, z jaką szafowane jest hasło polsko-ukraińskiej federacji, musi budzić niepokój. Zupełnie jakbyśmy mówili o organizacji wspólnej imprezy sportowej, a nie o budowie nowego państwa i wywróceniu obecnego status quo. Postulat federacji wiąże się z realnymi konsekwencjami dla polskiego narodu, a jedną z nich jest wzięcie na własne barki nie tylko odbudowy Ukrainy po wojnie, lecz także jej dalszej modernizacji. Polska gospodarka jest czterokrotnie większa od ukraińskiej, a z danych Międzynarodowego Funduszu Walutowego z 2021 r. wynika, że pod względem PKB nasz kraj zajmował 23. miejsce w światowym zestawieniu, podczas gdy Ukraina – 53.

Jeżeli pada propozycja wspólnego państwa, to oczywiście staje się, że oba społeczeństwa będą miały różne oczekiwania. Dla nas będzie to głównie projekt geopolityczny wymierzony w Rosję (i być może w mniejszym stopniu również w Niemcy), podczas gdy Ukraińcy będą myśleć w bardziej przyziemnych kategoriach. Zamiast budować imperium neojagiellońskie, będą oni raczej

że publicyści nie działają w próżni, a ich pomysły mają realny wpływ na polskie życie polityczne. W wypowiedziach czołowych przedstawicieli obozu rządzącego coraz częściej słychać nawiązania do koncepcji federacyjnej. W ten sposób należy chyba odczytać wystąpienie Andrzeja Dudy z okazji święta Konstytucji 3 maja, podczas którego prezydent ogłosił „złączenie obu narodów”. W tę perspektywę wpisuje się również niedawna bezprecedensowa wyprawa polskich władz na Ukrainę, gdzie odbyły się konsultacje międzyrządowe, podczas których podpisano wiele dokumentów dotyczących m.in. energetyki, polityki ekologicznej czy odbudowy Ukrainy. – Oddzielnie Ukraina i Polska są sporymi, ale jednak cały czas średniej wielkości krajami. Łącząc swoje siły, w różnych obszarach, jesteśmy w sta-

FOT. ANDRZEJ STOK

oczekiwać unowocześnienia i usprawnienia ich gospodarki oraz podniesienia stopy życiowej do poziomu porównywalnego z tym w Polsce. I nie będzie można mieć do nich o to pretensji. Mówiąc kolokwialnie, w tej kwestii piłka jest po naszej stronie i jeżeli budujemy nowe państwo, to Ukraińcy mają pełne prawo oczekiwać poprawy swego bytu. Jeżeli te oczekiwania nie zostaną zaspokojone, to grunt pod nową rzeczywistość polityczną będzie wyjątkowo chwiejny – zamiast regionalnego mocarstwa stworzymy kolosa na glinianych nogach targanego wewnętrznymi konfliktami. Bez odbudowy i modernizacji ukraińskiej gospodarki stereotyp polskiego pana wyzyskiwacza może szybko odżyć u naszych sąsiadów.

Samych Ukraińców nikt zresztą nie pytał, czy chcą budować wspólne państwo; po tamtej stronie taki temat po prostu nie istnieje i nasi sąsiedzi musieliby być mocno zdziwieni, gdyby się dowiedzieli, jaką przyszłość im się projektuje w Polsce. Zwolennicy federacji pomijają jednak ten aspekt, gdyż działają w paradygmacie geopolityki – fetyszyzują geopolityczną analizę i w swoich planach abstrahują od przyziemnej codzienności. Ludzie, państwa, narody to jedynie pewne zasoby, którymi można swobodnie manewrować. Polityka staje się dla nich grą – partią szachów, w której można kreować piękne strategie i dalekosiężne wizje. Życie jednak jest bardziej skomplikowane i nie sposób rozrysować go na mapach ani rozpisać w Excelu.

Oczywiste jest, że polskie społeczeństwo nie będzie skłonne finansować transformacji ukraińskiej gospodarki. Wystarczy przypomnieć, jaki krzyk się podniósł w 2016 r., gdy wprowadzono program „500+” i jakie padały wówczas argumenty. Pomysł, że całe społeczeństwo ochoczo skąże się na znaczną obniżkę poziomu życia (nieporównanie większą niż w przypadku rzeczonego programu), by finansować miliony zupełnie obcych ludzi, już nawet nie jest utopią – to czysta fantasmagoria. Nawet przy ewentualnym wsparciu Unii Europejskiej (co jest bardzo wątpliwe, gdyż wysadzałoby w powietrze całą unijną perspektywę finansową na lata 2021–2027, jak również Fundusz Odbudowy, z którego Polska nadal nie otrzymała pieniędzy...) jest to przedsięwzięcie ze wszech miar przekraczające nasze możliwości. Nawet gdyby w Polakach zagościł duch dobrych samarytan i wszyscy byśmy się wyzybili

luksusu życia na obecnym poziomie, to naszego państwa – trawionego inflacją, rosnącymi stopami procentowymi, brakiem inwestycji, olbrzymim zadłużeniem etc. – i tak po prostu na to nie stać. Rządzących nie stać nawet na waloryzację podstawowych świadczeń społecznych, a co dopiero odbudowę drugiego państwa. Idea federacji oznacza krótką, acz bolesną drogę do gospodarczej zapaści, a co za tym idzie – do rozbudzenia nastrojów rewolucyjnych oraz narastania tendencji antyukraińskich.

Polscy fantaści nie wdają się w szczegóły i nie starają się objaśnić, jak ich zdaniem federacja miałaby zostać powołana do życia, ograniczając się do nic niewnoszących stwierdzeń o „historycznej chwili”. Jak połączyć różne systemy prawne? Jak połączyć gospodarki? Jak scalić dwa różne ustroje polityczne? Jak wyglądałyby wybory demokratyczne w takim

Oczywiste jest, że polskie społeczeństwo nie będzie skłonne finansować transformacji ukraińskiej gospodarki

państwie? Jeżeli wyścig wyborczy będzie przebiegał wzdłuż podziału narodowościowego i Ukraińcy, których po prostu jest więcej, przegłosują Polaków, to czy zaakceptujemy taki wynik? Czy też może stanie się on zarzewiem dalszych sporów osłabiających kruche państwo?

Nie mamy nawet szczątkowych pomysłów, jak takie państwo miałoby wyglądać. Marek Budzisz czy Romuald Szeremietiew ograniczają cały projekt do perspektywy putinocentrycznej – patrzą na problem wyłącznie przez pryzmat moskiewskiego zagrożenia, jakby bycie anty-Rosją miało rozwiązać wszelkie inne problemy; z kolei zwolennicy „Rzeczypospolitej wielonarodowej”, jak choćby Tomasz Terlikowski czy Jerzy Marek Nowakowski, mają do zaproponowania wyłącznie anihilację państwa narodowego i stworzenie namiastki ukraińskiego państwa wewnątrz Polski. Żaden z autorów nie jest w stanie doprecyzować swych planów, nikt nie był w stanie podać choćby namiastkowych wyliczeń, ile by to kosztowało polskiego podatnika. Dla uchwycenia odpowiedniej perspektywy spójrzmy na zjednoczenie

Niemiec z 1990 r. Przykład z pewnością niedoskonały, ale najlepszy, jakim dysponujemy. Jak wyliczają eksperci, mariaż NRD z RFN kosztował zachodnie landy ogółem od 2 do nawet 3 bln euro. Jest to kwota po prostu niewyobrażalna, a warto pamiętać, że cały czas mówimy o jednym narodzie posługującym się jednym językiem, dzielącym jedną historię etc., dzięki czemu wytłumaczenie konieczności poniesienia ogromnych kosztów przez lepiej sytuowane landy było relatywnie proste. Przykład polsko-ukraiński jest na każdym możliwym poziomie nieporównanie bardziej skomplikowany. Nikogo jednak te wątpliwości nie interesują.

WIDMO IMPERIALIZMU

Z hasła o budowie federacji polsko-ukraińskiej paradoksalnie najbardziej ukontentowana może być rosyjska propaganda, która dostaje na tacy argument do straszenia odradzającym się polskim imperializmem. Moskwie zależy na ukazaniu Ukrainy jako państwa sezonowego, a projektowanie koncepcji federacyjnych jedynie uwiarygodnia te twierdzenia – dowodzi, że Ukraińców nie stać na własne, suwerenne państwo. To, czy muszą się oprzeć na Warszawie czy Moskwie, jest już drugorzędne, liczy się, że w świat poszedł przekaz – Ukraińcy nie są w stanie być niezależni.

Przyjmując miliony uchodźców i stając się ambasadorem Kijowa w Europie, Polska zapłaciła bardzo wysoką cenę, jednocześnie jednak stworzyła fundamenty pod przyszłe relacje z Ukrainą, które mogą procentować przez dekady. Goniąc dziecięce marzenia o imperium, roztrwonimy ten cały potencjał. Wszak naród ukraiński nie po to przelewa krew od ponad trzech miesięcy, aby za chwilę zrezygnować z suwerenności. Ukraińcy mają takie samo prawo żyć we własnym państwie narodowym jak Polacy. Koncept wtłoczenia tych dwóch społeczeństw (mówiących trzema różnymi językami) w jeden organizm będzie prowadzić do narastania wewnętrznych antagonizmów. Tej idei nie da się porównać do znanych nam federacji – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii czy zjednoczonych Niemiec. Zamiast „polsko-ukraińskich stanów zjednoczonych” otrzymamy wieloetniczną, trawioną kolejnymi kryzysami i wewnętrznie skłóconą federację. Powołanie takiego państwa do życia oznaczałoby dla Polski prawdziwą katastrofę.

Symboliczne sto dni wojny na Ukrainie dało miejsce licznym wyrazom podziwu w zachodnich mediach dla ukraińskiego oporu, choć w tym samym czasie politycy i eksperci dyskretnie dawali do zrozumienia, że ukraińska armia w Donbasie jest w dramatycznym położeniu, a w najbliższych tygodniach może nawet dojść do rosyjskiego przełamania frontu. W rzeczy samej, choć bitwa pozostaje nierozstrzygnięta, rzeczywistość wojenna zweryfikowała optymistyczne prognozy co do możliwości pobicia i wyparcia Rosjan z Ukrainy.

Zmianę nastrojów widać szczególnie w ewolucji nagłówków informacyjnych, a zestawienie tytułów artykułów redaktora działu spraw zagranicznych dziennika „The Telegraph” posłużyło nawet rosyjskim influencerom do wyśmiania wiarygodności zachodniej narracji w kwestii Ukrainy. Nie bez powodu. Z początku wojny, 24 lutego, Con Coughlin oświadczał, jeszcze z pewną ostrożnością: „Być może Władimir Putin właśnie popełnił błąd, który zakończy jego krwawe rządy”, by po dwóch miesiącach wojny, 21 kwietnia, nabrać pewności co do nadchodzącej klęski Federacji Rosyjskiej: „Wojna Putina była dotychczas fiaskiem – i jeszcze ulegnie pogorszeniu”. Następnie 5 maja Coughlin ogłaszał na łamach brytyjskiego dziennika wręcz dziejową porażkę Rosji: „Upokorzona Rosja mierzy się z klęską otwierającą nową epokę”, tłumacząc, że przegrana Rosji na Ukrainie jest o wiele gorsza niż w Afganistanie. Tydzień później dziennikarz popadał jednak w pewną zadumę – „Zupełne zwycięstwo nad Putinem nie będzie tanio okupione” – by 26 maja dokonać już otwartej wolty: „Putin może sięgnąć po szokujące zwycięstwo”. Defetystyczny nastrój nie opuszczał redaktora z początkiem czerwca. „Podzieleny Zachód daje Putinowi drugą szansę wygranej” – informował tytuł jego kolejnego artykułu.

NOWA RETORYKA

Podobne przykłady zmiany optyki widać w zasadzie w większości zachodnich i polskich mediów, choć być może brytyjska prasa jest w tej kwestii najbardziej bezpośrednia. Pod koniec maja dziennikarz BBC Simon Jenkins publikował na łamach „The Guardian” opinię o wymownym tytule: „Unia Europejska powinna zapomnieć o sankcjach – czynią więcej zła niż dobra”, ponieważ nie tylko nie wygoniły one Rosji z Ukrainy, lecz

także poprzez wzrost cen żywności i energii, jak twierdził, powodują wielkie cierpienie na świecie. Kilka dni później na łamach tego samego dziennika Larry Elliott, odpowiedzialny z kolei za analizy ekonomiczne, dorzucał: „Rosja wygrywa wojnę ekonomiczną – a Putin bynajmniej nie stał się bardziej skory do wycofania wojsk”. Wobec perspektywy katastrofy humanitarnej na świecie Elliott stawiał sprawę jasno: prędzej czy później trzeba będzie „dogadać się” z Rosją.

przestróg od początku „kryzysu ukraińskiego” w 2014 r., o których wspomniałem na łamach „Do Rzeczy” w artykule pt. „O co jest ta wojna”. Przy czym jego wystąpienie w Davos było niewątpliwie elementem szerszego scenariusza, bo poważni ludzie zarządzający tym nieformalnym załącznikiem rządu światowego nie zaprosili sędziwego pana w roli anegdotycznego gawędziarza. Poczciwy Kissinger ściągnął na siebie odium niezadowolenia i oburzenia, został nawet

Przestrojenie narracji



Wojciech Golonka

Rzeczywistość wymusiła zmianę narracji z retoryki obelg na język dyplomacji, z hurraoptymistycznej perspektywy pobicia Moskwy i rozczłonkowania Federacji Rosyjskiej na wolę zakończenia konfliktu ugodą uwzględniającą rosyjskie żądania

Wymuszona przez rzeczywistość zmiana narracji z retoryki obelg na język dyplomacji, z hurraoptymistycznej perspektywy pobicia Moskwy i rozczłonkowania Federacji Rosyjskiej na wolę zakończenia konfliktu ugodą uwzględniającą rosyjskie żądania, udzieliła się także politykom. Sygnał do rewizji dotychczasowego stanowiska poszedł z samego Światowego Forum Ekonomicznego, którego gość specjalny i bodajże najbardziej znany żywy autorytet geopolityczny (choć zniechęcony przez wielu na świecie), Henry Kissinger, oznajmił, że Ukraina nie zostanie pokonana bez koncesji terytorialnych na rzecz Rosji. Przeszło stuletni Kissinger nie musiał przy tym odgrywać żadnej roli – to, co powiedział, było niewątpliwie logicznym ciągiem

oficjalnie uznany na Ukrainie za persona non grata z zakazem wjazdu (tak jakby od lat nie życzył Ukrainie pokoju), niemniej dokonał oficjalnego zwrotu i przestrojenia narracji wobec moźnych tego świata zebranych w szwajcarskiej mekce, a teza, że z Rosją trzeba się będzie dogadać, zaczęła rozbrzmiewać w kolejnych pułdach rezonansowych.

Na efekty nie trzeba było długo czekać: z końcem maja prezydent Joe Biden opublikował na łamach „New York Timesa” deklarację odnośnie do celów Stanów Zjednoczonych w kwestii wojny rosyjsko-ukraińskiej. Ma się rozumieć, podkreślano w niej niczym niezachwiane zaangażowanie USA na rzecz wolnej Ukrainy, ale... Po pierwsze, prezydent Biden wyraźnie dystansował się od

stosowanej przez siebie w pierwszych miesiącach wojny retoryki obelg i dokonał oficjalnego dementi zarówno swych własnych wypowiedzi, jak i swych najbliższych współpracowników, jakoby celem Stanów Zjednoczonych była zmiana reżimu w Moskwie czy wykrwawianie Rosji. Prawdopodobnie nie bez znaczenia były tu rozmowy, które zarówno przełożony Pentagonu Lloyd Austin, jak i szef sztabu Mark Milley przeprowadzili na przełomie maja ze swymi rosyjskimi odpowiednikami Siergiejem Szojgu i Walerijem Gierasimowem (swoją drogą, jeśli Rosja rzeczywiście wówczas przegrywała, to w jakim celu Amerykanie wielokrotnie wyzywali do Moskwy?).

Po drugie, i przede wszystkim, jeśli prezydent USA we wspomnianej deklaracji jasno głosił, że chce demokratycznej, niepodległej, suwerennej i prosperującej Ukrainy, to nie padły w niej jednak słowa o zachowaniu integralności terytorialnej kraju. Co więcej, Joe Biden czuł się zobowiązany dokonać następującego oświadczenia: „Nie będę naciskał na ukraiński rząd ani publicznie, ani niepublicznie, aby dokonał koncesji terytorialnych”, jednocześnie zapewniając, że „Stany Zjednoczone będą kontynuowały pracę na rzecz wzmocnienia Ukrainy i wspierały jej wysiłki, aby osiągnąć wynegocjowane zakończenie konfliktu”... Brak zatem mowy o zakończeniu wojny przez pokonanie Rosji, a wręcz otwarcie sugeruje się możliwość koncesji terytorialnych ze strony Ukrainy, dając do zrozumienia, że skoro będzie to bardzo trudny do przełknięcia, ale nieunikniony element rokowań, to wybór stosownego czasu i okoliczności zostawimy taktownie samej Ukrainie.

W zmianę narracji wpisał się również premier Mateusz Morawiecki, który w wywiadzie dla Sky News zlicytował w dół oczekiwania Warszawy: „Jeśli ostatecznie Ukraina przetrwa jako suwerenne państwo, co jest naszym jedynym celem i powodem, dla którego wspieramy Ukrainę na wszystkie możliwe sposoby, to będzie to nasze zwycięstwo” (zauważmy, że tu także padło dementi celów i jest mowa tylko o utrzymaniu jakiejś formy suwerenności, nie zaś o integralności terytorialnej). W wywiadzie dla „Frankfurter Allgemeine Zeitung” premier z kolei dyskretnie wyrażał swój brak optymizmu: „Nawet jeśli Ukraina utrzymała Kijów i Charków i uniemożliwiła Putinowi osiągnięcie jego strategicz-

nych celów – Rosji nie można uznać za przegranego. Co więcej, fakt, że Rosja do tej pory nie przegrała, należy traktować jako jej częściowe zwycięstwo”. Zatem w zasadzie wszyscy w tej wojnie odnoszą jakieś sukcesy, co niekoniecznie dobrze wróży na przyszłość.

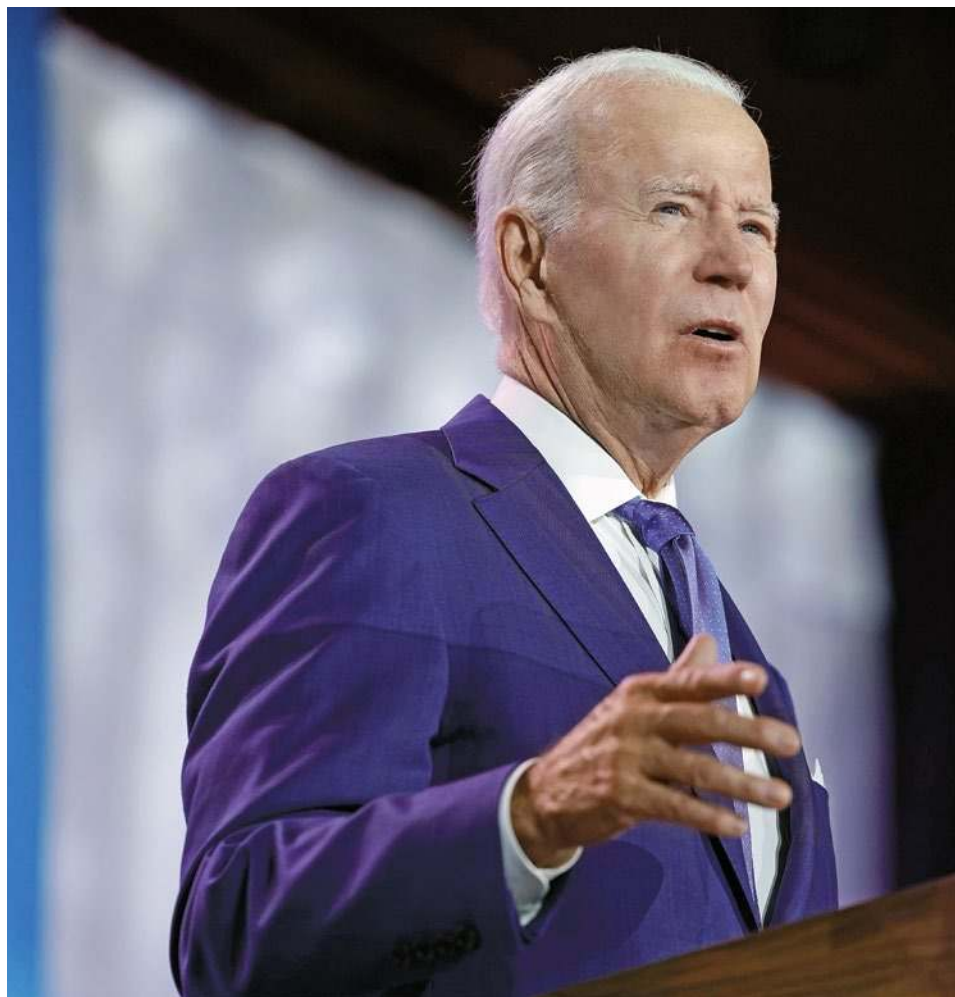
PRZEDSIONEK DO STOŁU NEGOCJACYJNEGO

Ten ostry zwrot, czytelny nie tylko w dyskursie medialnym, wśród komentatorów, lecz także wyraźnie w wypowiedziach polityków, zredukowanie celów wsparcia Ukrainy do ocalenia jej państwowości niezależnie od potencjalnie utraconego terytorium, jest w rzeczywistości echem krytycznego położenia ukraińskiej armii w Donbasie, Donbas zaś stanowi wrota do dalszych działań wojennych na Ukrainie, a przynajmniej jest przedsięwzięciem do stołu negocjacyjnego, przy którym perspektywa zawieszenia broni będzie bardziej prawdopodobna niż dotychczas.

Biorąc zresztą pod uwagę zaciętość bitwy o Donbas, widać, dlaczego w pierwszej fazie wojny Rosja zdecydowała się

na drogę na skróty, która nie przyniosła jej oczekiwanych rezultatów, choć nie była taką porażką, jak wówczas wskazywano. Rosja zaatakowała wówczas Ukrainę w zasadzie na wszystkich możliwych kierunkach poza właśnie uzbrojonym po zęby Donbasem, a przy ograniczonych liczebnie możliwościach próbowała przez zaskoczenie i blitzkrieg zająć stolicę, z nadzieją zapewne na spowodowanie upadku rządu, a przynajmniej na wystarczającą destabilizację kraju.

W takim „oszczędnym” scenariuszu wojennym strona ukraińska – np. nowy kolaborujący rząd – byłaby zmuszona zgodzić się na mniej lub bardziej daleko idące ustępstwa terytorialne celem uratowania państwa od dalszej dezintegracji. Plan ten spalił jednak na panewce przede wszystkim dlatego, że Ukraina stawiała silny i zdecydowany opór w dużych ośrodkach miejskich, w dodatku zadając dotkliwe straty słabo chronionym kolumnom i liniom zaopatrzenia najeźdźcy. Pod tym względem Ukraina rzeczywiście się obroniła, ale Rosja, która nie doszła na skróty do swego celu, bynajmniej nie próżnowała, systematycznie niszcząc in-



Jeśli wierzyć prezydentowi Bidenowi, to Kijów za jakiś czas samodzielnie zdecyduje o swej przyszłości przy stole negocjacyjnym z Moskwą. FOT. EVAN VUCCI/AP/EAST NEWS

Kapitulacja obrońców Mariupola, nazwana dla niepoznaki „ewakuacją” i retuszowana laudacjami na cześć obrońców, stanowiła brutalne przypomnienie o rzeczywistości, a dla samych, wciąż walczących ukraińskich żołnierzy była mocnym sygnałem: zdolności odsieczy ze strony własnych sił są w przypadku oblężenia znikome, a masowe poddawanie się Rosjanom, którym – zdaje się – zależy na poszanowaniu konwencji wojennych względem jeńców, nie jest w beznadziejnym położeniu zdradą, a narzuconą przez rozsądek koniecznością.

CZAS GRA NA KORZYŚĆ ROSJI

Wobec niepodważalnych postępów rosyjskiej armii narracja sukcesu musiała zatem ustąpić w końcu pesymistycznej wizji. Prezydent Zełenski oświadczył, że 20 proc. terytorium kraju znalazło się pod okupacją rosyjską, a siły ukraińskie tracą dziennie od kilkudziesięciu do stu zabitych (jego doradca potem podwoił te liczby na 100–200) i kilkuset rannych (do 500)... Jest to wynik bezlitosnej bitwy artyleryjskiej w Donbasie, gdzie zbudowane przez osiem lat umocnienia, sieci okopów i bunkry – wszak wojna toczy się tam od 2014 r. – są masowo ostrzeliwane przez siły rosyjskie, przy jednoczesnym kontrostrzale ze strony ukraińskiej. Bilans tej nierozstrzygniętej na razie bitwy przemawia jednak na korzyść sił Federacji Rosyjskiej i oddziałów obu wschodnich separatystycznych regionów – zdobywszy Popasną od południa i Liman od północy, siły te zdołały rozlać się w różnych kierunkach, zagrażając oblężeniem ukraińskich formacji i przecięciem ich linii zaopatrzenia.

Żałując się morale ukraińskich jednostek, odmawiających nawet wykonywania misji bojowych z powodu braku odpowiedniego sprzętu i wystarczającej siły ognia – o wyczerpaniu amunicji mówią już otwarcie nawet władze ukraińskie – symboliczne, lecz nieefektywne kontrnatarcia ukraińskie, opłacone poważnymi stratami nieprzynoszącymi trwałych rezultatów, nieustający napór Rosjan sprawiają, że Donbas jest na granicy załamania i nic nie wskazuje, mimo ponoszonych przez agresora strat, mimo kolejnych zabitych na froncie rosyjskich dowódców, aby miało nastąpić wyczerpanie natarcia, po którym nastąpiłaby skuteczna kontrofensywa ukraińska. Trudno także, aby ograniczone i spóźnione dostawy zachodniej artylerii przesądziły los tej bi-

twy: sprzęt ten jest różnorodny, wymaga odrębnego przeszkolenia – a zatem czasu – zachodzi problem jego dostarczenia na linię frontu i serwisowania, a poza tym dostawy te są priorytetowym celem dla rosyjskich rakiet.

Kolos, który rzekomo był już na glinianych nogach, owszem, poniósł duże straty zadane przez siły ukraińskie przy wyraźnym wsparciu NATO i USA, moźolnie jednak i systematycznie neutralizuje siły zbrojne Ukrainy w jej najlepiej ufortyfikowanych pozycjach. Czas i pozorny brak zwycięstwa grają zresztą na korzyść Rosji, odpornej na razie na sankcje i – zdaje się – wystarczająco wewnętrznie zjednoczonej, podczas gdy wojna na Ukrainie staje się dla zachodniej opinii publicznej czymś banalnym i nużącym zarazem. Zachodnie kraje, z USA na czele – a pamiętajmy dodatkowo, że poparcie dla Joe Bidena leci na łeb na szyję, podczas gdy w listopadzie mają odbyć się wybory uzupełniające do Kongresu – nie widzą w tym momencie innej możliwości jak wynegocjowany pokój, który oznaczałby definitywnie okrojoną Ukrainę. Jak bardzo okrojoną, rozstrzyga się to właśnie na polach bitwy, przy czym Rosja, która dawno przekroczyła Rubikon, a po poniesionych już stratach i kolejnych nałożonych nań sankcjach nie ma zbyt wiele do stracenia, dawała w kwietniu sygnał, że ma apetyt na Noworosję na wschód od linii Charków – Odessa...

Największym wyzwaniem dla Ukrainy po prawdopodobnej przegranej w Donbasie będzie nie dopuścić do upadku państwa wraz z podupadającym morale i możliwym rozdzwieniem między decydentami politycznymi a armią, której jednostki frontowe postrzegają się coraz bardziej jako mięso armatnie – rozdzwieniem ochoczo podsycanym przez rosyjską propagandę i pewną dbałość Kremla względem jeńców. Jeśli wierzyć prezydentowi Bidenowi, to Kijów za jakiś czas samodzielnie zdecyduje o swej przyszłości przy stole negocjacyjnym z Moskwą. Warszawę może czekać wówczas chłodny prysznic – jak bowiem trafnie zauważył Szymon Wiśniewski, analityk z Instytutu Prawa Wschodniego, „Polacy mają tysiąc pomysłów, jak zniszczyć Rosję, ale ani jednego, jak obok niej żyć”. Wypracowanie wówczas nowego modus vivendi to kwestia wzięcia odpowiedzialności za dobro kraju i stabilizację naszego regionu.

frastrukturalną Ukrainę i zajmując niemałe połacie terytorium, zwłaszcza na południu kraju, co, jak wiadomo, skończyło się ostatecznie upadkiem Mariupola, wzięciem do niewoli ponad 3 tys. ukraińskich jeńców i odcięciem Ukrainy od Morza Azowskiego.

W rzeczywistości Ukraina, nie mniej niż Rosja, wyznaje sformułowaną onegdaj przez gen. Gierasimowa zasadę wojny totalnej, w której wszystkie elementy, w tym zwłaszcza przekaz medialny, są ukierunkowane na osiągnięcie celu, tj. zwycięstwa. Retoryka sukcesów, podparta rzeczywistymi stratami rosyjskiej armii, pozwalała zatem kształtować w zachodnich państwach opinię publiczną na rzecz ukraińskiej sprawy, motywowała do kolejnych zastrzyków pomocy finansowej i wysyłek sprzętu wojskowego, uzasadniała kolejne pakiety sankcji – i bez wątpienia Ukraina swoją bitwą medialną wygrywała. Jednakże wojny, jako takiej, nie wygrywa się tylko w studiach telewizyjnych czy w Internecie, a z czasem przelicytowana narracja zwycięstwa okazała się coraz bardziej odrealniona, a przez to – groteskowa.



Z Marcinem Wyrwałem, dziennikarzem Onetu,
korespondentem wojennym z Donbasu
rozmawia Ryszard Gromadzki

Rosjanie grają na wyniszczenie



Miasto Bachmut w obwodzie donieckim
zniszczone w wyniku rosyjskiego
ostrzału FOT. ALEX CHAN TSY YUK/ZUMA PRESS/FORUM

RYSZARD GROMADZKI: Na ile obraz wojny na Ukrainie, który widzimy w mediach, opierający się na stereotypie, według którego rosyjski najazd został skutecznie zatrzymany w efekcie twardego oporu Ukraińców, odpowiada rzeczywistości, którą pan widzi na froncie w Donbasie?

MARCIN WYRWAŁ: Rzeczywiście można powiedzieć, że rosyjska ofensywa z pierwszych tygodni wojny się załamała. Teraz mamy do czynienia z wojną pozycyjną. Oczywiście obie strony forsują w swoich mediach przekaz, że jedni zdobyli jakąś wioskę, a drudzy inną, przesuając się o kilka kilometrów do przodu. Niestety, wydaje się, przynajmniej tu, w Donbasie, że rosyjskie wojsko ostatnio robią postępy. Generalnie mówiąc, wojna przekształciła się w wojnę pozycyjną.

Rosjanie odebrali właściwą lekcję z niepowodzeń z pierwszych tygodni wojny. Wyraźnie nie wychodzi im wojna manewrowa, formacje ze sobą nie współpracują. Z kolei Ukraińcy byli świetnie taktycznie przygotowani do walki. W związku z tym Rosjanie wrócili do tego, co świetnie potrafili i co przećwiczyli już w Syrii gen. Dwornikow, który obecnie zarządza tą tzw. rosyjską operacją specjalną. Umocnili się na zajmowanych pozycjach i walą tu niemiłosiernie artylerią. Jestem tu od kilku tygodni i mogę powiedzieć

z pełnym przekonaniem, że natężenie rosyjskiego ostrzału rośnie.

Czy wobec tej narastającej, niszczycielskiej presji ze strony Rosji bitwa o Donbas jest jeszcze do wygrania przez Ukraińców?

Donbas mógłby być do wybronięcia, gdyby Ukraińcy dostali jeszcze więcej sprzętu i przede wszystkim jeszcze więcej amunicji. W ostatnich dniach rozmawiałem dużo z ukraińskimi żołnierzami. Szczególnie poruszające były dla mnie relacje żołnierzy, z którymi rozmawiałem w szpitalu wojskowym. Mówili mi, że Rosjanie strzelają dosłownie dzień i noc, przykrywają ich artyleryjską nawałą, a oni nie mają za bardzo czym odpowiadać. To bardzo duży problem.

Cały czas słyszymy o dostawach różnego rodzaju sprzętu militarnego na Ukrainę. Jednak to wszystko jest kroplą w morzu potrzeb, przyznają to zarówno Ukraińcy, jak i zagraniczni analitycy wojskowi obserwujący tę wojnę. Proszę pamiętać, że rosyjsko-ukraiński front rozciąga się na długości 1400 km. Wiadomo, jakimi potencjałami dysponują obydwie armie. Jest oczywiste, że wobec tej dysproporcji ukraińska armia jest w dużo trudniejszym położeniu. Dodajmy do tego, że Ukraińcy stanęli przed

ogromnym wyzwaniem, jakie stwarza zabezpieczenie pozostałej części granicy z Rosją, Białorusią i Naddniestrzem, bo nie wiadomo, czego można się spodziewać z tamtych kierunków. To daje nam dodatkowo 1600 km pasa granicznego do obrony. Reasumując, mniejsza armia, jaką dysponują Ukraińcy, która szybciej się zużywa, ma do zabezpieczenia dodatkowo 1600 km granicy, na której Rosjanie wcale nie muszą stać.

Jak pan skomentuje scenariusze, które są powielane w Polsce i na Zachodzie, według których kampanię w Donbasie rozstrzygnie wielka bitwa pancerna, na skalę tej pod Kurskiem z czasów drugiej wojny światowej?

To takie analityczne gdybanie. Proszę zauważyć, jak potężna wojna informacyjna towarzyszy od początku rosyjskiej agresji na Ukrainę. Od 24 lutego mamy do czynienia z prawdziwym zalewem fake'owych informacji. Żeby przekazać prawdziwy obraz tej wojny, trzeba ją relacjonować z bliska. Nie mam pretensji do Ukraińców, że toczą wojnę informacyjną. To jest część współczesnej wojny, OK. Te wszystkie przekazy, według których tu, w Donbasie, rozegra się wielka bitwa pancerna czy jakkolwiek inna bitwa, to przede wszystkim szum medialny.

Sami Ukraińcy wypuszczali informacje w rodzaju: „Planujemy ofensywę na połowę czerwca”, później – że w lipcu itd. No przecież żadne odpowiedzialne wojsko nie wypuszcza do mediów informacji, na kiedy planuje ofensywę. To oczywiście była dezinformacja, o którą nie można mieć pretensji.

Co do przyszłych rozstrzygnięć militarnych w Donbasie na pewno element zaskoczenia może być tu bardzo ważny. Jeśli pyta mnie pan, co się tu wydarzy, to odpowiem, że w tym momencie Rosjanie czują się bardzo komfortowo w sytuacji wojny pozycyjnej.

Wojny na wyniszczenie...

Dokładnie. To nie jest tylko niszczenie sił wojskowych. Chociaż oczywiście także jest. Prezydent Zełenski przyznał ostatnio, że tutaj, na wschodzie, Ukraina traci dziennie od 60 do 100 chłopaków. To liczba zabitych. Dodajmy do tego 500 rannych każdego dnia. Byłem wiele razy w szpitalach, gdzie leżą ci żołnierze. To jest widok przerażający. Człowiek idzie korytarzem i bez końca widzi tych chłopaków bez rąk i nóg.

Jedną sprawą jest wyniszczenie zasobów wojskowych, a kolejną wyniszczenie gospodarcze. Straty ukraińskie są straszliwe. Bank Światowy szacuje, że do końca roku ukraińskie PKB może spaść o 45 proc. To prawdziwa katastrofa gospodarcza. Porównajmy te dane z sytuacją Rosji. Tyle się krzyczy o kolejnych pakietach sankcji, którymi okładana jest Rosja, tymczasem według Banku Światowego rosyjskie PKB do końca roku spadnie o 10, może 15 proc. Widać, z jak dramatyczną różnicą dotyczącą kosztów tej wojny mamy do czynienia.

Jakie jest morale ukraińskich żołnierzy po czterech miesiącach wojny?

O ile mówię sporo pesymistycznych rzeczy na temat przebiegu tej wojny, choć nie ma to nic wspólnego z defetyzmem, bo po prostu tak to widzę, o tyle kiedy pyta mnie pan o morale Ukraińców, to jest to dla mnie rzecz niesamowita. Nie mówię tylko o chłopakach, którzy są na froncie, lecz także o tych, którzy odnieśli ciężkie rany. Rozmawiałem z chłopakiem, który w walkach pod Chersoniem stracił nogę, kiedy przykryły ich grad. Zapytałem go o plany na przyszłość. Odpowiedział: „Jakie plany? Wracam na wojnę”. Mówię mu: „Ale jak to na wojnę? Przecież nie masz nogi? Może za komputerem?”. Odpowie-

Zachód musi przestać karmić się historyjkami, w których dzielne wojsko ukraińskie fantastycznie radzi sobie z przygłupimi Rosjanami

dział: „Nie, nie, z automatem. Moi koledzy też mają protezy i cały czas walczą”. To się słyszy na każdym kroku. Cały czas spotykam się z żołnierzami i oficerami. Wszyscy mówią to samo. To nie są takie gadki na użytek rozmowy z dziennikarzem. O ile oni są w stanie przyznać, gdzie Rosjanie są lepsi od nich, np. jeśli chodzi o ilość amunicji, o tyle ich motywacja jest wręcz niewiarygodna. W ogóle nie widzę różnicy między tym, co mówili mi po pierwszym tygodniu wojny, a tym, co mówią mi teraz, po czterech miesiącach.

Czyli zero defetyzmu, poczucia przegranej, przytłoczenia rosyjską przewagą. Za to wiara w ich świętą sprawę...

Determinacja jest bardzo duża, ale towarzyszy jej ogromne poczucie realizmu. Oni są gotowi na wszystko, ale przyznają, że jeśli Zachód nie pospieszy z dostawami broni, to może być kiepsko.

W Donbasie wojna trwa już od ośmiu lat. Jak ludzie to wytrzymują?

Kiedy pyta mnie pan o ludność cywilną, to odpowiedź zależy od regionu Ukrainy, o którym rozmawiamy. W Donbasie, jeśli chodzi o cywilów, sytuacja jest niesłychanie skomplikowana. W konglomeracie miast, w których teraz przebywam, w 2014 r. Słowiańsk miał 200 tys. mieszkańców, Kramatorsk – 150 tys., Drużkiwka – jakieś 80 tys. W 2014 r. miał miejsce duży exodus, bo wszyscy proukraińscy mieszkańcy bali się, że za chwilę będą częścią Rosji, i wyjechali. Ale jeszcze większy exodus nastąpił teraz, w lutym. W efekcie w Drużkiwce z 80 tys. mieszkańców pozostało najwyżej kilkanaście. Problem polega na tym, że ci ludzie, którzy uciekali, to byli ludzie, którzy nie chcieli tutaj rosyjskiej władzy. Z kolei ludzie, którzy tutaj zostali, nie wszyscy, a w bardzo dużej części, to są tzw. ludzie sowieccy, którzy odczuwają nostalgię za Związkiem Sowieckim. To ludzie z odrębną tożsamością, przedstawiający się jako „tutejsi”, oni są stąd, z Donbasu. „Ja nie Ukrainiec, ja nie Ruski,

ja z Donbasa”. Natomiast sympatie prze-ważającej części ludzi są tutaj po stronie Rosji.

Czy to oznacza, że ukraińskie siły w tym rejonie działają w próżni, są pozbawione zaplecza?

W próżni to za dużo powiedziane. Na pewno nie jest to jednak zaplecze takie jak choćby w obwodzie kijowskim, gdzie trudno byłoby być rosyjskim dywersantem. Tam, gdy człowiek z okna widział coś podejrzanego, dzwonił do obrony terytorialnej czy wojska i o tym mówił. W efekcie dywersanci byli tam bardzo skutecznie wyłapywani. Tutaj jest to znacznie trudniejsze. Tutaj Ukraińcy nie mają tak silnego zaplecza jak wokół Kijowa, na zachodzie kraju, a nawet w Dnieprze, który niby też leży na wschodzie Ukrainy, ale tożsamość ukraińska znacznie silniej się tam zakorzeniła.

Co musi się zdarzyć, żeby Ukraina wygrała tę wojnę?

Uważam, że Zachód musi przestać karmić się historyjkami, w których dzielne wojsko ukraińskie fantastycznie radzi sobie z niemrawymi, przygłupimi Rosjanami, którzy w ogóle nie wiedzą, jak się walczy. Przecież widzieliśmy, jak oddział specnazu utknął w windzie. Z tym myśleniem trzeba zerwać i uznać, że po drugiej stronie jest bardzo skuteczny przeciwnik, który dobrze przygotował się do tej wojny, lepiej, niż się to powszechnie wydaje.

Jak już to sobie ułożymy w głowie i uświadomimy sobie, że dotychczasowe dostawy sprzętu i amunicji, za które, jakkolwiek, Ukraińcy są bardzo wdzięczni, są dalece niewystarczające. Tego musi być więcej. Znacznie więcej. Dopiero wtedy możemy myśleć o jakimś pozytywnym dla Ukrainy zakończeniu tej wojny. Nie widzę szans na to, żeby w tym momencie strony usiadły do stołu negocjacyjnego. Przed 24 lutego pod okupacją rosyjską znajdowało się 7 proc. terytorium Ukrainy, teraz to blisko 21 proc. Jak w tym momencie negocjować? Negocjacji na razie nie będzie. Rosjanie grają na wyniszczenie. Myślę, że w ich kalkulacji pozycja do ewentualnych negocjacji pokojowych w przyszłości może być jeszcze lepsza.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Wyrwał jest dziennikarzem portalu Onet i korespondentem wojennym na Ukrainie.

Jak McDonald's zdobył zaufanie Polaków?

Gdy 30 lat temu otwierał swoją pierwszą restaurację, był symbolem innego stylu życia. Obecnie jest to marka, której ufa ponad połowa Polaków. Jak udało się wypracować taką pozycję – mówi Anna Borys, corporate relations director w McDonald's Polska



Gdy w Polsce 17 czerwca 1992 r. otwarto pierwszą restaurację McDonald's, w Warszawie, w budynku Sezamu, w ciągu kilku pierwszych godzin odwiedziły ją tysiące osób. Restauracja z burgerami była wówczas czymś nowym, do stolicy przyjeżdżali wycieczki, aby ją oglądać. Czy było to chwilowe zainteresowanie nowością czy trwały trend?

ANNA BORYS: Po 30 latach widać, że nie było to zainteresowanie chwilowe, chociaż z czasem się ono zmieniało. McDonald's to była jedna z pierwszych dużych zachodnich marek, które pojawiły się w ówczesnej szarej rzeczywistości, i była zjawiskiem, które odwoływało się do innego stylu życia, takiego, za jakim Polacy tęsknili. Stąd pewnie takie duże emocje, które towarzyszyły otwarciu McDonald's.

Pierwszego dnia funkcjonowania restauracja zrealizowała 13 tys. zamówień. Na otwarciu zjawily się wówczas znane, nietuzinkowe postacie, takie jak Agnieszka Osiecka, Jacek Kuroń czy Kazimierz Górski.

Taka ekscytacja była widoczna na początku naszej działalności w Polsce, potem to się zmieniło, zmieniał się też rynek, pojawiły się nowe marki zagraniczne, ale też świetni konkurenci polscy.

W ciągu tych 30 lat zmieniła się struktura naszej działalności. Na początku była to jedna restauracja należąca do korporacji, a w tej chwili mamy 500 restauracji obsługujących dziennie 800 tys. gości. W 90 proc. są to lokale prowadzone przez polskich przedsiębiorców. Obecnie współpracujemy z 80 franczyzobiorcami. Zatrudniamy łącznie ponad 31 tys. osób.

Współpracujemy z 47 polskimi dostawcami, większość produktów pozyskujemy w Polsce. Można powiedzieć, że Big Mac® jest produktem polskim, ponieważ z Polski pochodzą jego składniki, czyli pieczywo, mięso, warzywa i sos.

Wzbogacaliśmy nasze menu, zaczęliśmy wprowadzać śniadania, bardzo dobrą kawę, sałatki, desery. Mamy w ofercie dania wegetariańskie, m.in. warzywną opcję burgera i wrapa. Menu cały czas się zmienia i poszerza, zgodnie z nowymi trendami żywieniowymi, po to, aby sprostać oczekiwaniom coraz większej grupy gości.

W PRL restauracje, szczególnie te nastawione na zwykłego klienta, nie zawsze miały dobrą reputację. McDonald's bardzo się różni od tych miejsc...

To prawda, co więcej – staliśmy się wręcz prekursorem w zakresie bezpieczeństwa żywności i higieny. To się nigdy nie zmieniło i jest to stały element nasze-

go DNA. To bezpieczeństwo nasi goście zawsze doceniali i doceniają.

Te standardy są widoczne zarówno w zakresie działalności restauracji, w obsłudze gości, jak i u dostawców. Cały łańcuch naszych dostaw jest bardzo mocno kontrolowany pod kątem bezpieczeństwa żywności i nasi dostawcy są pod tym względem również wyjątkowo restrykcyjni. Normy dotyczą każdego etapu – od produktu rolnego poprzez transport do przetwórcy, przetwarzania, a potem transportu i całej obsługi w restauracji.

Możemy zapewnić, że restauracja McDonald's to na pewno bezpieczne miejsce na posiłek.

Z badań wynika, że obecnie ponad połowa Polaków ufa marce McDonald's. W jaki sposób jeszcze budowali państwo zaufanie w ciągu tych 30 lat?

Myślę, że to wynika z tego, że zawsze dotrzymywaliśmy obietnic, zarówno tych, które składaliśmy naszym gościom, dotyczących smacznych, bezpiecznych i dobrej jakości posiłków, jak i pracownikom – dotyczących stabilności zatrudnienia. Zatrudniamy wszystkich na umowę o pracę, niezależnie od wymiaru etatu, co nie zawsze jest standardem w naszej branży.

Bardzo dobre relacje budujemy także z naszymi franczyzobiorcami oraz dostawcami, z którymi pracujemy bardzo często po kilkadziesiąt lat, często od początku działalności McDonald's w Polsce.

Nasi franczyzobiorcy są bardzo często zaangażowani w życie lokalnych społeczności. Współpracują z lokalnymi organizacjami i włączają się w lokalne przedsięwzięcia. Jest to także element budowania zaufania do McDonald's jako do marki, która chce być potrzebna i obecna.

W jaki sposób firma uczestniczy w wydarzeniach i w dyskusjach dotyczących kwestii ważnych dla konsumentów?

Uczestniczymy przede wszystkim w dyskusjach dotyczących zagadnień związanych z ochroną środowiska, ponieważ w tym zakresie podejmujemy najwięcej działań, które zmieniają sposób, w jaki funkcjonujemy jako firma. Zwracamy uwagę przede wszystkim na znaczenie recyklingu, przetwarzania i odpowiedniego sortowania odpadów po to, aby jak największą ich ilość móc wykorzystać ponownie i utrzymać ich wartość rynkową.

Byliśmy m.in. ważnym uczestnikiem odbywających się podczas pandemii

dyskusji dotyczących bezpieczeństwa lokali i żywności. Z racji tego, że jesteśmy częścią globalnej struktury, mogliśmy się dzielić naszą wiedzą pochodzącą z krajów, które wcześniej doświadczyły fali pandemicznej.

Obecnie, w dobie rosnących oczekiwań konsumentów, gdy pojawiają się zarzuty o greenwashing, trudniej jest budować zaufanie do marki. Jak firma sobie z tym radzi?

Greenwashing to niewielkie działania, które jest komunikowane jako coś istotnego, ale które w rzeczywistości nie zmienia działalności firmy i nie wpływa w znaczącym stopniu albo w takim stopniu, który byłby uzasadniony skalą, na efekt końcowy. Takich działań nie podejmujemy. Jeżeli coś zmieniamy, to zmieniamy dogłębnie i w taki sposób, aby rzeczywiście ten efekt był widoczny.

Mamy dwa kryteria, które stosujemy, kiedy podejmujemy inicjatywy związane z ochroną środowiska. Po pierwsze – czy to, czego się mamy podjąć, jest w obszarze naszego największego wpływu, po drugie – czy jesteśmy w stanie dane rozwiązanie wprowadzić w odpowiedniej skali, odpowiadającej skali naszej działalności.

Przykładem może być przetwarzanie zużytych opakowań papierowych. Obecnie takie opakowania z 320 z 500 naszych restauracji przetwarzamy na ręczniki papierowe, które wracają do naszych restauracji. Mamy nadzieję, że już wkrótce zużyte opakowania ze wszystkich naszych restauracji będą mogły być w ten sposób przetwarzane.

Co dla pani jest najważniejsze w budowaniu zaufania do firmy?

Dla mnie najważniejsze jest poczucie, że pracuję w firmie, która działa fair i która rzeczywiście wpływa pozytywnie na swoje otoczenie. Ważne jest także, aby takie firmy jak McDonald's wykorzystywały swoje zasoby w taki sposób, aby działania, które podejmują, zmieniały rzeczywistość. Dotyczy to np. upowszechniania pewnych technologii. Dzięki temu, że McDonald's się na nie decyduje, ich cena bardzo często spada i stają się one bardziej dostępne dla innych uczestników rynku, co przyczynia się do ich upowszechniania. Rola lidera rynku polegająca na tworzeniu standardów jest niezwykle istotna i bardzo się cieszę, że McDonald's tę swoją odpowiedzialność traktuje poważnie.

Front przechodzi przez szkołę



Krzysztof Masłoń

Od nowego roku w programach nauczania pierwszych klas liceów i technik pojawi się nowy przedmiot – historia i teraźniejszość. Już sama tego zapowiedź wywołała wściekłość rodzimych „sił postępu”, która obecnie, po zaprezentowaniu pierwszego podręcznika do HiT, objawia się histerycznymi wręcz atakami na resort edukacji i nauki, na ministra Przemysława Czarńka, a przede wszystkim na twórcę inkryminowanego podręcznika, prof. Wojciecha Roszkowskiego

Onet, Wirtualna Polska i, jakżeby inaczej, niezastąpiony portal OKO.press prześcigają się w krytyce autora opracowania „Historia i teraźniejszość. Podręcznik dla liceów i techników. Klasa 1. 1945–1979” (część druga obejmie okres od 1980 r. do dnia dzisiejszego). Przedstawiają go nie jako kawalera Orderu Orła Białego, wybitnego naukowca, profesora nauk humanistycznych, twórcę tak świetnych tytułów jak wyróżnione Nagrodą im. Józefa Mackiewicza „Roztrząskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej”, lecz jako „eurodeputowanego z list PiS w latach 2005–2009”. To, że za komuny wydawał swoje prace w podziemiu (jako Andrzej Albert), że z jego książek, napisanych wspólnie z Anną Radziwiłł, uczyli się lice-

aliści w pierwszych latach wolności, kiedy to PRL-owskie podręczniki wylądowały na śmietniku, jest już nieważne. Profesor bowiem, o zgrozo, zdążył w międzyczasie popełnić tak wysoce podejrzaną dzieło jak trzytomowy „Świat Chrystusa”, a jego podręcznik do HiT wydał krakowski Biały Kruk, wyspecjalizowany – jak się dowiadujemy – „w książkach o charakterze dewocyjnym i religijnym”.

Najgłośniejsze jeremiady wywołuje poruszanie przez autora proponowanego podręcznika do HiT takich tematów jak gender, feminizm, faszyzm, komunizm, neomarksizm. Przy czym raz tylko – o zgrozo! – odnosi się prof. Roszkowski do antysemityzmu, który – jak powszechnie wiadomo – każdy Polak wysysa wraz z mlekiem matki. „Roszkowski przekła-

muje wiele faktów – czytamy – nazywając np. pewnych filozofów lewackimi, choć wcale takimi nie byli. Zdaniem Roszkowskiego wszystkie narody zakłamują pamięć o drugiej wojnie światowej, tylko my, Polacy, mamy prawo do nieskazitelnej i bohaterskiej przeszłości, w której nie ma miejsca np. na Jedwabne”. Na to, że zbrodnia w Jedwabnem miała miejsce w 1941 r., a więc przed okresem omawianym w podręczniku (1945–1979), nie zwraca uwagi rodzimy zoil, wyraźnie nie mogąc się doczekać kolejnej reformy oświatowej, która po wyczekiwanej wyborczej przegranej PiS zapewne przywróci gimnazja – tak znakomicie sprawdzone w naszym systemie edukacyjnym – i, rzecz jasna, zlikwiduje poroniony pomysł straszliwego HiT, w jego miejsce wprowadzając

Profesor Wojciech Roszkowski

FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS



swoich sympatii politycznych, że nadrzędność Unii Europejskiej jest pozadyskusyjna albo że Unia nie ma tu nic do gadania.

W trakcie poznawania treści zawartych w części podręcznika poświęconej „człowiekowi i społeczeństwu” pierwszoklasista analizować będzie m.in. piramidę Abrahama Masłowa (psychologa amerykańskiego, który sklasyfikował potrzeby ludzkie); prześledzi także etapy socjalizacji i wykluje najbardziej chyba pasjonujące młodzież rodzaje, modele i typy związków rodzinnych, w tym pozamałżeńskie. Dowie się wtedy, że „w niektórych państwach, np. w Szwecji, Norwegii, Belgii i we Francji, istnieje możliwość legalnego zarejestrowania związku partnerskiego przez dwie osoby dowolnej płci. Od małżeństwa różni się on m.in. tym, że jego zawarcie nie wymaga złożenia ślubnej przysięgi. Aby go zakończyć, nie trzeba przeprowadzać rozprawy rozwodowej w sądzie – wystarczy złożenie oświadczenia w tej sprawie przez jedną ze stron. W Polsce nie istnieją regulacje prawne dotyczące związków partnerskich”.

No jasne, że pod tym względem – a i innymi – jesteśmy sto lat za wiodącymi demokracjami. Jasio będzie wprawdzie dowodził, że związek osobników tej samej płci od małżeństwa różni się nie tylko brakiem ślubnego przyrzeczenia, ale mądry i zapobiegliwy nauczyciel wiedzy o społeczeństwie wyrzuci gówniarza za drzwi i przejdzie do omawiania następnych zagadnień, które, jeśli czymś się wyróżniają, to jedynie najwyższym z możliwych poziomem abstrakcji. Serio, czegoś równie nudnego jak podręcznik WOS trudno sobie wyobrazić.

Z kolei trzecioklasistom każe się rozważać, czy „partycypacja obywatelska jest koniecznym warunkiem realizowania polityk publicznych”, wyjaśniać, co oznacza „zrównoważony rozwój”, a co „spójność społeczna”, i wskazywać różnice między „sektorową” a „horyzontalną” polityką przemysłową. Połowa blisko 500-stronicowego podręcznika omawia wspomniane wyżej polityki społeczne, a druga połowa to, rzecz można, propedeutyka prawa: cywilnego, karnego i administracyjnego.

Naturalnie, wszystkie pojęcia wbijane do uczniowskich głów na lekcjach WOS są

bardzo ważne, tyle że odnoszące się do rzeczywistości jakby odległej od tej, z którą stykają się uczniowie, która jest tematem debaty publicznej, którą zajmują się media. O społeczeństwie obywatelskim można deliberować przez semestr cały, ale nie pomoże to młodemu człowiekowi zrozumieć świata, który go otacza. Czy zmieni to nowy przedmiot mający od września znaleźć się w programach szkół ponadpodstawowych – historia i terażniejszość? Mam nadzieję, że tak.

KUR WIE LEPIEJ

A jednak i HiT, i podręcznik do niego traktuje się jako zamach ciemnogrodu na oświecenie. Jako przykład rzekomych andronów wypisywanych przez Wojciecha Roszkowskiego przywołuje się takie np. zdanie: „W Unii Europejskiej różne religie usiłuje się niwelować poprzez lansowanie ateizmu i wcielanie go w życie nawet metodami urzędniczo-administracyjnymi”. Nad tym, czy tak właśnie nie jest, nikt się już nie zastanawia. Bo po co.

Jako podręcznikowe kurioza punktuje OKO.press m.in.: „zrównanie syjonizmu z islamizmem”, „wprowadzenie pojęcia »ekologizm«”, „wprowadzenie pojęcia Nowego Światowego Ładu”, „politykę klimatyczną zapisaną w cudzysłowie” i charakteryzowanie „głównych zmian kulturowych zachodzących w świecie zachodnim na przykładzie ekspansji ideologii »politycznej poprawności«”.

Krytyka podręcznika obejmuje także jego formę. „Cegłą” nazywa go prof. Jacek Chrobaczyński, nie racząc zwrócić uwagi na to, że połowę objętości stanowią zdjęcia, których jest w książce prawie pół tysiąca, a podpisy do nich bynajmniej nie pełnią wyłącznie funkcji objaśniającej. Mało tego, podręcznik naprawdę skrojony został na miarę naszych czasów, jest w nim bowiem kilkadziesiąt kodów QR, dzięki którym po przyłożeniu smartfonu do takiego kodu i wpisaniu linka na komputerze uczeń dociera do odpowiednich materiałów źródłowych, tekstowych i dźwiękowych. Nie tylko więc widzi takiego np. Churchilla na fotografii, lecz także może posłuchać jego przemówienia o żelaznej kurtynie. Ale co tam. Jak wiadomo, kur wie lepiej, stąd też pewna nauczycielka historii z poznańskie-go liceum narzeka: „Podręcznik wizualnie jest mało atrakcyjny”. Zachodzę w głowę, co jej przeszkadza. Jan Paweł II na okładce czy sąsiadujący z nim Zbigniew Herbert, Margaret Thatcher – bo chyba nie Zbigniew Cybulski z fotosu, z jakże słusznego

postulowaną swego czasu wiedzę o Holocaustcie.

OBYWATELSKA PARTYCYPACJA

Raptem całą masę obrońców zyskała podawana w obecnym kształcie wiedza o społeczeństwie, która zresztą pozostaje w szkole, z tym że tylko w swoim rozszerzonym zakresie. A co do reszty?

Oczywiście wiedza o organach władzy publicznej w Polsce jest potrzebna, choć nie jestem pewny, czy uczeń pierwszej klasy liceum bądź technikum nie zdziwi się np., że „w sprawowaniu swojego urzędu sędziowie muszą kierować się wyłącznie przepisami Konstytucji RP i ustaw”. A co z przepisami unijnymi i wyrokami TSUE? – zapyta na lekcji przemądrzały Jasio. A nauczyciel odpowie mu, w zależności od

„Popiołu i diamentu”, choć tu chyba symbolizującego Żołnierzy Wyklętych?

Obok zwyczajnych idiotów czy osobników, którzy prawdopodobnie ani z programem nowego przedmiotu, ani z podręcznikiem do niego nie mieli żadnego kontaktu (cytuje: „Nie da się tego czytać, tekst jest za długi, mętny, 14-latkę przy tym wymiękną”), wypowiadają się, rzekłbym, oświatowi idealisci. I tak inna nauczycielka historii, tym razem z Zamościa, martwi się: „Jest ryzyko, że ze szkoły ponadpodstawowej będą wychodzić uczniowie ze słabą świadomością obywatelską i wypaczonym obrazem współczesności”. Tak jakby teraz mieli oni tę świadomość i jakieś pojęcie o tym, co w Polsce i za jej najbliższymi granicami działo się w ostatnim wieku. Na ogół ta wiedza sprowadza się do tego, że była wojna, którą żeśmy przegrali, ale na końcu wygrali, za co w nagrodę nastąpiła u nas komuna, a wtedy było wesoło, tak jak w „Rejsie” i „Misiu”.

JESTEŚ FASZYSTĄ!

Jasne, że „postępowcy” najchętniej nauczanie historii w szkole zredukowaliby do absolutnego minimum, no chyba żeby podręczniki do naszych dziejów pisał, dajmy na to, ekspert od „ludowej” historii prof. Adam Leszczyński, a ukazywałyby się nakładem Wydawnictwa Czarne. Te sprawy zaś, które są dla naszego życia społecznego zasadnicze, objaśnialiby witanii w progach szkolnych chlebem i solą lektorzy z organizacji wspierających LGBTQ+. Wołającym na puszczy pozostaje więc prof. Aleksander Nalaskowski, zauważając przytomnie: „Mówi się o nurcie federalizacyjnym w Europie, mówi się o ideologii gender, wszystkie media o tym piszą, więc trudno, żeby prof. Roszkowski w swoim podręczniku tego nie zauważył”. Ale co tam, przecież Marek Beylin już rok temu, po wydaniu książki Wojciecha Roszkowskiego „Kierunek targowica: Polska 2005–2015”, orzekł, z wrodzonym wdziękiem, że „kto czyta historyka Roszkowskiego, ten otrzymuje światopogląd jego pana – Kaczyńskiego”.

A w ogóle po co wprowadza się do szkół nowy przedmiot, który jeszcze przed startem wywołuje tak gorące emocje? Profesor Wojciech Roszkowski w wywiadzie udzielonym miesięcznikowi „Wpis” tłumaczy: „Obecnie uczeń szkoły średniej wychodzi z niej kompletnie pozbawiony wiedzy na temat historii najnowszej, to znaczy tej od zakończenia II wojny światowej do pierwszych lat XXI w. A to jest luka powodująca olbrzymie

ubytki w postawach obywatelskich. Przedmiot wiedza o społeczeństwie (WOS), tak jak był dotychczas wykładany, stanowił dość abstrakcyjny wykład różnych pojęć, bez odniesienia do konkretnych wydarzeń, jakie miały miejsce zaraz po wojnie i w następnych latach. Niektóre pojęcia będące fundamentem naszej dzisiejszej rzeczywistości, których używamy potocznie, nie są i nie były dobrze rozumiane przez młode pokolenie. Weźmy takie przykłady jak »faszyzm«, »totalitaryzm« lub »autorytaryzm« – te słowa padają stale w przestrzeni publicznej, ale w bardzo różnych kontekstach. Nawet pojęcie demokracji nie jest przecież jednoznaczne; w okresie PRL-u było całkowicie zdeformowane, mówiło się i pisało o demokracji socjalistycznej czy ludowej. Ta deformacja funkcjonowała wszędzie, także w szkole. Choć akurat demokracji socjalistycznej u nas już nie ma, młodzi ludzie dziś wciąż nie rozumieją prawdziwej treści słowa »demokracja«, dlatego że nie poznali ciągu prawdziwych wydarzeń, które wypełniały czas od zakończenia II wojny. Wiele pojęć jest używanych bez zrozumienia, na podstawie fałszywych wyobrażeń lub domysłów. Ktoś mówi »jesteś faszystą!« – ostatnio ciągle to słyszymy w odniesieniu do bardzo wielu ludzi, także takich, którzy faszystami na pewno nie są i nie byli”.

Przedstawiony przez Białego Kruka podręcznik znajduje się obecnie w fazie akceptacji. Nie jest też jedynym, z którego korzystać będzie mogła młodzież w nowym roku szkolnym. Również Wydawnictwa Szkolne i Pedagogiczne zapowiadają swoją HiT-ową książkę, choć charakterystyczne jest, że inne oficyny nie kwapią się, by przedstawić własną wykładnię tego, jak rozumieją polskość, europejskość, obywatelskość. Po części ze strachu, po części rzeczywiście z niewiary w to, że nauczanie historii i teraźniejszości utrzyma się dłużej niż ministrowanie prof. Przemysławowi Czarnka w gmachu przy alei Szucha. A swoją drogą minister oświadczył, że z podręcznikiem, który, zanim się ukazał, wywołał tak gwałtowne emocje, jeszcze się nie zapoznał. Poza tym, o czym jakoś się zapomina, korzystanie z podręcznika, tego i jakiegokolwiek innego, nie jest jeszcze obowiązkowe, w przeciwieństwie do realizacji podstawy programowej historii i teraźniejszości.

LINIE NA MAPIE

„Trzeba postawić sobie pytanie – powiada prof. Roszkowski – czy my

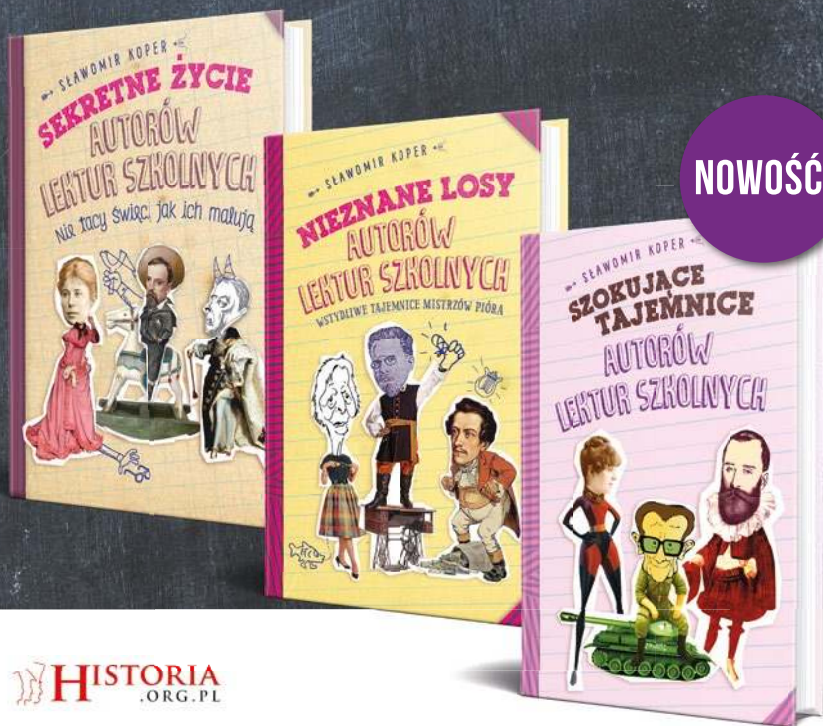
mamy w ogóle jakąś wizję Polski, jak pojmujemy nas, Polaków, jako pewną wspólnotę? Tymczasem są tacy, którzy uważają, że to są pytania źle postawione albo niepotrzebne, i głoszą to publicznie np. w mediach. Taki ktoś jednak w ogóle nie powinien zabierać głosu na temat polskiej szkoły”.

A to, co się w tej ostatniej dzieje, jest z punktu widzenia polskiej współczesności, a przede wszystkim przyszłości, daleko ważniejsze od politycznych przepychanek. Bo, za przeproszeniem, jest mi głęboko obojętne, jak bardzo kompromitując się do reszty, ten czy ów, za przeproszeniem, polityk oderwie się od rzeczywistości, utrzymując, że np. „nasze granice nie są żadną świętością, lecz liniami na mapie”, a polskość sama w sobie jest pojęciem archaicznym, gdyż w pierwszym rządzie jako obywatele Unii Europejskiej jesteśmy Europejczykami. I tę uciążliwość musimy utrzymać, wszystko jedno w jakich granicach – czy bez granic.

Jednak opadają mi ręce, gdy nauczycielka wyśmiewa projekty szkolnych wycieczek dofinansowywanych przez resort edukacji, zachęcając rodziców, by wyrazili zgodę na klasowy wyjazd do Energylandii. Że wielu uczniów już tam było, z rodzicami czy bez – wszystko jedno. Cóż to w końcu szkodzi? Zabawy nigdy dosyć, zintegrujemy się, będzie się działo... Jasne, tylko że szkoła ma, zdaje się, inne zadania: dydaktyczne i wychowawcze. Wiedzieli o tym ci nauczyciele, którzy, oczywiście przed wybuchem wojny na Wschodzie, organizowali wycieczki szkolne na ziemię utraconą, przede wszystkim do Lwowa. Pomagały one młodzieży zrozumieć, dlaczego nasze stosunki ze wschodnimi sąsiadami układały się tak, a nie inaczej. I jestem pewny, że ci młodzi ludzie, którzy brali udział w tych wyprawach, na które też kręcono nosem – bo czyż nie lepiej było pojechać do paryskiego Disneylandu? – lepiej rozumieją to, co teraz się dzieje, i na Ukrainie, i w Polsce.

Proszę wybaczyć mi tę dygresję, ale tylko pozornie nie ma ona związku ze sporem o historię i teraźniejszość. Najważniejszym polem walki jest dziś w naszym kraju nie Sejm, nie ta czy inna telewizja, lecz szkoła. Bo to w niej powstaje Polska, z której nasze dzieci i wnuki albo będą dumne, albo przyniesie im ona wstyd.

SENSACYJNE SZCZEGÓŁY Z ŻYCIA AUTORÓW LEKTUR SZKOLNYCH! PRAWDA CIĘ ZASKOCZY



NOWOŚĆ!

PATRONATY MEDIALNE:



Nie dla rządu,
nie dla obcych,
ale dla **samego siebie.**

książka dostępna na
wydawnictwo.wei.org.pl



Powrót „żelaznej Hani”



Piotr Semka

Dlaczego Platforma, nadając Hannie Gronkiewicz-Waltz tytuł Honorowego Obywatela Miasta Stołecznego Warszawy, zdecydowała się na taką demonstrację kultu byłej prezydent stolicy w sytuacji, gdy może ją to np. narazić na konflikt z Lewicą?

Przeforsowanie przez stołeczną Platformę Obywatelską tytułu Honorowego Obywatela Miasta Stołecznego Warszawy dla Hanny Gronkiewicz-Waltz pokazało, jak bardzo Platforma nie ma ochoty na żadną refleksję na temat swojej politycznej przeszłości. Od decyzji tej nie zdystansowali się ani Donald Tusk, ani żaden z czołowych polityków PO. A Lewica, choć protestowała, nie zdobyła się na żadną wyrazistą demonstrację, nie wychodząc poza parę oburzonych głosów. Tylko aktywista miejski Jan Śpiewak – jak zwykle w pojedynkę – zarzucił PO, że honorując tak Gronkiewicz-Waltz, „naplula w twarz ofiarom dzikiej prywatyzacji”.

Cała sprawa pokazuje, że tak deklarowany przez licznych przedstawicieli elit szacunek dla pamięci o zamordowanej Jolancie Brzeskiej to w praktyce czysta retoryka, a nie jakiś głęboki element świadomości Lewicy w Warszawie.

AKCJA ZNIENACKA

Było tradycją w warszawskim samorządzie, że do 15 maja każdego roku zgłaszano do rady miasta kandydatury

do tytułu Honorowego Obywatela Miasta Stołecznego Warszawy. Wiceprzewodniczący rady z ramienia PiS Dariusz Figura mówi: „Takie propozycje składają tylko kluby oraz prezydent Warszawy. Praktyka ostatnich 20 lat pokazywała, że tylko te organy zgłaszały kandydatury. Klub PiS wysunął kandydaturę mera Kijowa, Witalija Kliczki, i zakładaliśmy, że jest to koncyliacyjna kandydatura, która połączy wszystkich radnych. Poinformowaliśmy o tym klub PO, a oni ze swej strony wydawali się być gotowi do takiej wspólnej demonstracji solidarności z walczącą Ukrainą”.

Jakież było zdumienie posłów PiS, gdy tuż przed 15 maja klub Platformy dodał do kandydatury Kliczki propozycję, by kandydatką w tym roku została także Hanna Gronkiewicz-Waltz.

Jeden z radnych Lewicy opowiada: „Po prostu nas zatkało, nie przyszło nam do głowy, że Platforma decyduje się na taki dęty numer. Tym bardziej że w zeszłym roku córka Jolanty Brzeskiej, ofiary polityki zwrotu kamienic w epoce Hanny Gronkiewicz-Waltz, także dostała tytuł

Honorowego Obywatela Miasta. Ta nagroda była za 2020 r., ale córka Brzeskiej mogła ją odebrać dopiero rok temu”.

Cezary Jurkiewicz, szef klubu radnych PiS, wyjaśnia: „Rozkład głosów w Radzie Warszawy skazywał Platformę na sukces. Rada liczy 60 radnych, z czego aż 38 członków rady to przedstawiciele Koalicji Obywatelskiej. PiS ma 17 radnych, a Lewicę reprezentują dwie osoby plus »będąca sama w sobie sterem i okrętem« Monika Jaruzelska. PiS i Lewica próbowali zatrzymać promowanie HGW, wnioskując 9 czerwca o rozdzielenie głosowania nad połączoną kandydaturą Kliczki i Gronkiewicz-Waltz. W głosowaniu wniosek został odrzucony”.

Cezary Jurkiewicz wystąpił o przeprowadzenie głosowania imiennego. „Chodziło mi, aby każdy musiał osobiście opowiedzieć się za tą kandydaturą i żeby wybrzmiało, że klub PiS nie będzie brał udziału w takim głosowaniu”. Radni Lewicy, podobnie jak przedstawiciele PiS, nie wzięli udziału w głosowaniu. Koalicja Obywatelska przeforsowała uchwałę.

KOBIETA „SPOZA POLITYKI”

Ścieżki kariery Hanny Gronkiewicz-Waltz są niezwykle typowe dla praktyki politycznej i sposobu myślenia Platformy Obywatelskiej. Dostrzec w niej można elementy, które łączą ją z czołowymi politykami niegdyśszego Kongresu Liberalno-Demokratycznego.

Hanna Gronkiewicz-Waltz, córka adwokata, powstańca warszawskiego i matki pracującej w instytucjach handlu zagranicznego, ukończyła w 1975 r. z wyróżnieniem studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1981 r. uzyskała stopień doktora na podstawie pracy „Rola ministra przemysłowego w zarządzaniu gospodarką państwem”. Działała w Solidarności już w okresie karnawału 1980–1981, ale nieznana jest bliżej jej działalność w solidarnościowym podziemiu w latach rządów ekipy stanu wojennego.

W okresie stanu wojennego zaczęła działać w środowisku Odnowy w Duchu Świętym. Być może ten zwrot w kierunku bardzo zaangażowanej wiary spowodował, że w 1990 r. została adiunktem na Wydziale Prawa Kanonicznego Akademii Teologii Katolickiej w Warszawie. W 1991 r. kandydowała do Sejmu z listy zapomnianej już zupełnie partii politycznej Victoria, która skupiała grupę spontanicznych zwolenników

FOT. KRZYSZTOF JACZKOWSKI/FOTUM

Lecha Wałęsy w kampanii prezydenckiej w 1990 r.

Wsparcie dla najsłynniejszego polskiego elektryka zauważone zostało przez doradcę prezydenta Wałęsę Lecha Falandysza i stało się podstawą do złożenia w grudniu 1991 r. przez prezydenta wniosku o powołanie HGW na stanowisko prezesa Narodowego Banku Polskiego.

W tamtych czasach ktoś, kto nie był akceptowany przez ówczesnego guru liberalnych elit – Leszka Balcerowicza – nie miał szans na sukces, więc jej kandydatura upadła w głosowaniu sejmowym. Wałęsa wrócił jednak do niej 5 marca 1992 r., kiedy to Unia Wolności zaczęła ściśle współpracować z nim w celu obalenia rządu Jana Olszewskiego. Gronkiewicz-Waltz została w końcu powołana na szefa NBP.

Lojalność wobec gospodarza Belwederu nie przeszkadzała jej jednak, jako kandydatce ugrupowań konserwatywno-katolickich, kandydować w 1995 r. przeciwko Wałęsie na stanowisko prezydenta. Start okazał się nieporozumieniem. Szefowa NBP zdobyła 2,76 proc. głosów. Wyciągnęła z tego wniosek: nie wchodzić w drogę wielkim graczom układu III RP, ale wygrywać jak najwięcej dla siebie wskutek lojalnej współpracy zarówno ze środowiskiem UW, jak i postkomunistów.

Z pracy w NBP odeszła w 2000 r. W tym czasie była już blisko związana z Platformą Obywatelską, do której formalnie wstąpiła w 2005 r. Organizowała kampanię prezydencką Donalda Tuska w Warszawie i jednocześnie objęła mandat z listy PO w okręgu warszawskim. W 2006 r. wygrała z Kazimierzem Marcinkiewiczem walkę o stanowisko prezydenta Warszawy.

Jej 12-letnie rządy nad stolicą to z jednej strony okres niebywałego rozwoju inwestycyjnego miasta, z drugiej – nasilenie patologicznych tendencji w dziedzinie restytucji mienia prywatnego. Hanna Gronkiewicz-Waltz zasłużyła się Platformie, prezentując się jako zdecydowany przeciwnik Lecha Kaczyńskiego. Po jego tragicznej śmierci w Smoleńsku konsekwentnie przeciwstawiała się idei zarówno budowy pomnika ofiar smoleńskich, jak i uczczenia prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Gdy córka prezydenta Marta Kaczyńska przedstawiła niezwykle koncyliacyjny projekt słupów świetlnych – jako pomnika katastrofy z 2010 r. przed Pałacem Prezydenckim – HGW w obraźliwy sposób przyrównała ten projekt do nazistowskich zjazdów NSDAP w Norym-

berdze. Słynne też były wyczyny straży miejskiej, która natychmiast po zakończeniu miesięcznic smoleńskich demonstracyjnie sprzątała znicze ustawiane przez mieszkańców Warszawy.

Niewątpliwie Gronkiewicz-Waltz odpowiada politycznie za zjawisko zwracania nieruchomości w wielu wypadkach ze złamaniem prawa lub przy występowaniu o zwrot mienia w imieniu fikcyjnych osób. To wtedy Warszawę obiegały żarty na temat 130-letnich właścicieli kamienic, których rzekomo mieli reprezentować wyspecjalizowani w tej dziedzinie adwokaci. Za jej czasów ruchy miejskie zaczęły alarmować, że HGW nie robi nic, żeby ukrócić proceder „czyścicieli kamienic”. Mąż HGW, Andrzej Waltz, sam był beneficjentem akcji repriwatywizacji, uzyskując prawa do kamienicy przy ulicy Noakowskiego 16.

W grudniu sejmowa Komisja Weryfikacyjna stwierdziła, że decyzja warszawskiego ratusza o repriwatywizacji tej nieruchomości została podjęta z naruszeniem prawa. Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie uchylił potem decyzję Komisji Weryfikacyjnej ds. repriwatywizacji w sprawie nieruchomości przy Noakowskiego 16.

W końcu pani prezydent musiała zareagować na coraz głośniejsze protesty wobec patologii wokół repriwatywizacji kamienic, zrzucając winę na swoich zastępców i na kierownictwo Biura Gospodarki Nieruchomościami. W 2018 r. skala jej kompromitacji była tak duża, że Platforma zdecydowała o zakończeniu jej rządów w Warszawie. W 2019 r. kandydatem KO na prezydenta Warszawy został Rafał Trzaskowski, który już w trakcie swej kampanii rozpoczął „walkę o dobre imię” swojej poprzedniczki.

W TROSCE O HANNĘ?

Dlaczego Platforma zdecydowała się na taką demonstrację kultu HGW w sytuacji, gdy może ją to np. narazić na konflikt z Lewicą? Odpowiedzi na to pytanie są bardzo różne.

Jeden z polityków PO zakłopotany działaniem radnych wyjaśnia: „Proszę pamiętać, że radni warszawscy to w większości osoby, które coś Hannie Gronkiewicz-Waltz zawdzięczają. Kreując ją panią prezydent na zasłużonego włodarza stolicy, bronią jednocześnie swoich biografii. Słyszałem też opowieści o tym, że Hanna Gronkiewicz-Waltz bardzo źle zniosła odstawienie na boczny tor

i że inicjatywa jej uhonorowania miała być reakcją jej znajomych na depresję pani Hani”. Inni obserwatorzy warszawskiej polityki samorządowej wskazują, że obecny prezydent Rafał Trzaskowski zawsze był silnie związany z HGW. Wspierał ją osobiście w kampanii wyborczej w 2014 r., a potem zawsze bronił jej osiągnięć.

Jest wreszcie i trzecia teoria. Jej zwolennicy wskazują, że Rada Warszawy kontrolowana jest politycznie przez Marcina Kierwińskiego, uważanego dziś za politycznego żołnierza Donalda Tuska. Według tej teorii uhonorowanie HGW miało z jednej strony łagodzić jej rozżalenie wobec partii za zepchnięcie na boczny tor, a z drugiej strony stworzyć miało kłopotliwą sytuację dla Trzaskowskiego.

Ale są i cynicy, którzy wskazują: „Dlaczego Platforma to zrobiła? Bo mogła to zrobić. Niech pan zauważy, że cała sprawa odbiła się bardzo małym echem w mediach, a dla budowania świetlistej przeszłości PO jest bardzo wygodna”.

Faktem jest, że Lewica, która powinna najbardziej występować przeciwko HGW w imię Joanny Brzeskiej zachowała się stosunkowo wstrzymując. Owszem, tacy politycy Lewicy jak Anna Maria Żukowska czy Michał Szostak wyrazili swoje oburzenie w mediach społecznościowych, ale to już wszystko.

Działacze partii Razem nie znaleźli czasu na zorganizowanie jakiejś pikiety przed budynkiem Rady Warszawy. A na łamach Krytyki Politycznej tekst wyrażający oburzenie po nominacji dla HGW pt. „Zło honorowym obywatelstwem Warszawy” napisał Piotr Ikonowicz, czyli outsider warszawskiej Lewicy. Gdyby Krytykę Polityczną naprawdę oburzyła gloryfikacja pani prezydent, wówczas zagrożiliby Sławomir Sierakowski, Jakub Majmurek czy Kinga Dunin.

Dla wielu polityków Hanna Gronkiewicz-Waltz to postać, której życiorys kojarzy się bardzo znajomo. We wstępnej fazie kariery była politykiem akceptującym silnie wartości chrześcijańskie, potem była patronką zamieniania Warszawy w republikę deweloperów.

Była wreszcie HGW zagończykiem walki z pamięcią o Lechu Kaczyńskim, a dziś ma za sobą dziesiątki ludzi, którzy w warszawskim ratuszu dorobili się za jej rządów mocnych posad i niezłych zarobków. Jak można być w Platformie i nie utożsamiać się z kimś takim?



Rafał A. Ziemkiewicz

Zeszłoroczny Campus Polska Rafała Trzaskowskiego, delikatnie mówiąc, nie okazał się sukcesem. Mimo to nie tylko zostanie powtórzony, lecz także zdublowany przez analogiczny campus organizowany oficjalnie przez Radosława Sikorskiego, ale – zdaniem wtajemniczonych w życie partii – na polecenie Donalda Tuska i ku jego apoteozie

Rywalizacja historycznego lidera PO z odwiecznym „delfinem” jest powszechnie znana i zrozumiała. Ale dlaczego przejawia się w taki sposób? Przecież to właśnie sam Tusk miał w ubiegłym roku wypowiadać się o pomyśle rywala lekceważąco i tłumaczyć współpracownikom, że na organizowanie takich imprez szkoda energii i pieniędzy, bo nikogo nowego do partii nie przyciągną ani nie przekonają. Co sprawiło, że zmienił zdanie?

Odpowiedź wydaje się oczywista: zarówno Trzaskowski, jak i Tusk potrzebują pokazania się w towarzystwie młodzieży. Platforma w opozycji bardzo się zestarzała. Na organizowanych przez nią marszach, spotkaniach i dyskusjach średnia wieku zaczyna przypominać imprezy KOD. Nie widać entuzjazmu, energii ani nadziei; publiczność ożywa nieco tylko przy obelgach i pogróżkach pod adresem Kaczyńskiego i jego formacji. Największa partia opozycyjna wciąż nie potrafi być niczym innym jak tylko partią władzy odstawioną od władzy – z tego pierwszego powodu nie jest atrakcyjna dla ideowych zapaleńców, z tego drugiego dla myślących bardziej praktycznie.

PRZEDSMĄK KŁOPOTÓW

Pokazać się w otoczeniu 20-latków, przemówić do sali wypełnionej młodymi, zebrać ich aplauz – to łakomy kąsek i żaden z liderów nie chce się z trudem zorganizowaną młodą publicznością dzielić. Oczywiście do wypełnienia kampusowych sal nie trzeba aż takich tłumów, by któremuś z rywalizujących polityków ich zabrakło, zwłaszcza że obaj cieszą się

W poszukiwaniu młodej gwardii



Każdy z liderów chce się pokazać w otoczeniu 20-latków

FOT. WOJCIECH OLSZAK/EAST NEWS

statusem politycznych celebrytów. Ale każdy chciałby pokazać, że to właśnie w nim młode pokolenie widzi swego przewodnika.

Problem polega na tym, że młodzież, która szykuje się do pozytywnej odpowiedzi na wezwanie do uczestnictwa w spotkaniach i szkoleniach, nie do końca może być taką, o jakiej politycy ma-

rzą – klaszczącą grzecznie, niezadającą kłopotliwych pytań i ładnie się uśmiechającą do kamer. Przedsmak kłopotów miał już Trzaskowski w roku ubiegłym, kiedy jego kampusowa publiczność spontanicznie dość brutalnie i, co najgorsze, merytorycznie Leszka Balcerowicza. Okazało się wtedy, że niektórzy uczestnicy spędu przyjechali nań nie po to, żeby

śłuchać starszych i klaskać, ale po to, by im to i owo od siebie powiedzieć. I że to właśnie ci uczestnicy są najaktywniejsi i najbardziej rzucają się w oczy.

Chociaż PO jest z nazwy partią liberalną i nie ustawia w centrum swego przekazu tradycyjnych postulatów lewicy – a w dziedzinie szeroko rozumianej gospodarki wręcz się od nich dystansuje – przyciąga do siebie głównie młodzież lewicową. Wciąż nie jest ona znaczącą siłą w polskiej polityce ani nawet w najmłodszym pokoleniu wyborców, ale widać, że działacze i sympatycy lewicy są bardziej od innych aktywni. Rzucają się w oczy, tym bardziej że sprzyjają im opozycyjne media, co z kolei zachęca ich do jeszcze większej aktywności.

„DZIAŁAĆ” ZAMIAST „PRACOWAĆ”

Ta tendencja będzie narastać, podobnie jak pewien już czas temu stało się to na Zachodzie. Powszechnie wyznawana w zachodnim świecie utopia powszechnego wyższego wykształcenia (bodaj tylko jedna Szwajcaria oparła się jej, rozbudowując szkolnictwo zawodowe i oferując studia tylko kilku procentom najzdolniejszych) doprowadziła do ogromnej nadprodukcji ludzi z formalnym wyższym wykształceniem i rozbudzonymi przez nie aspiracjami życiowymi, którzy tak naprawdę niczego nie zostali nauczeni, do czego się nie nadają i nie mają na rynku pracy żadnych szans na sukces odpowiadający ich aspiracjom. Rodzi to zrozumiałą frustrację – śp. Ludwik Dorn mówił w jednym z ostatnich swych wywiadów, że tłumy absolwentów ze śmieciowymi dyplomami, które, wbrew temu, co obiecywano, nie dają absolwentom żadnej nadziei na radykalną poprawę statusu materialnego, są jego zdaniem najbardziej pokrzywdzonymi przez III RP grupą społeczną. I chyba coraz liczniej sobie to młodzi, znajdujący się na ścieżce do marnej pracy niezwiązanej z odbytymi studiami, zaczynają uświadamiać.

Frustracja czyni z tych młodych ludzi doskonały materiał na „mięso armatnie” lewicowej rewolucji. Tym bardziej że ma ona przecież hojnych i licznych sponsorów. Ogromne fundusze płynące z Unii Europejskiej i organizacji międzynarodowych, od korporacyjnych magnatów i globalnych koncernów, z najprzeróżniejszych fundacji, na „inkluzywność”, „ratowanie klimatu”, „wyzwalanie mniejszości” etc. sprawiają, że „działać” okazuje

się dzisiaj być bardziej atrakcyjne od „pracować”. Nie każdy oczywiście załapie się na taką karierę jak brylująca po całym świecie Greta Thunberg, ale wyróżnić się na tyle, by załapać się przy jakimś grancie i pojeździć trochę po różnych konferencjach, nawiązując tam międzynarodowe kontakty, które mogą się okazać pomocne w przyszłości, to rzecz warta zachodu, zwłaszcza gdy można się jeszcze przy tym dowartościować poczuciem bycia częścią historycznie słusznej siły, która po raz kolejny „rusza z posad bryłę świata”.

Z pozoru może się wydawać, że młodzi ludzie, których porwał lewicowy zapal, powinni raczej szukać swego miejsca w partiach lewicowych. Ale żadna z dwóch istniejących nie jest dla nich tak atrakcyjna jak PO. W Lewicy, trzymanej twardą ręką „starego komucha” (jak sam się z właściwym sobie wdziękiem prezentuje) Czarastego, nie czeka młodego aktywisty wiele więcej niż rozklejanie plakatów, wypełnianie sal konferencyjnych i przysłowiowe noszenie teczki za starszymi. Wszystkie miejsca są już zajęte, a nawet, po połączeniu SLD z Wiosną, obłożone i trudno się gdziekolwiek przecisnąć. Z kolei partia Razem stała się sektą, poświęcającą większość energii na zajadłe spory o to, czy wolno używać określenia „kobieta” zamiast „osoba z macicą” lub używać słów, które pośrednio dyskryminują osoby pracujące seksualnie albo osoby zwierzęce. Nie wszyscy mają ochotę się w tym zamykać.

Natomiast PO jest jednocześnie strukturą dużą, dającą znacznie większą szansę niż Lewica, nie mówiąc o Razem, że z zaangażowania w nią coś w przyszłości wyniknie – a jednocześnie ugrupowaniem praktycznie bezideowym, którego jedyna identyfikacja sprowadza się do „J...ć PiS” i, ewentualnie, „Teraz k.... znowu my”. Można się więc w nią włączać bez rezygnowania z lewicowych postulatów, jak pokazał ubiegłoroczny Campus Trzaskowskiego, nawet wtedy, gdy odrzuca się nauczanie takiego bożka starych lewicowo-liberalnych salonów jak Balcerowicz.

ŁOWIENIE MŁODEGO NARYBKU

Dowodem rozstrzygającym jest praktyka rządzenia przez ludzi PO wielkimi miastami, w tym zwłaszcza rządzona przez Trzaskowskiego Warszawa. „Stara” PO zastrzega tam dla siebie deweloperkę i kilka innych obszarów, gdzie gra idzie o wielkie interesy. Pozostałe sprawy Trza-

skowski i inni PO-wscy wóldarze miast oddają chętnie skrajnej lewicy, pozwalając jej na wszystko, nawet na rzeczy, od których w kampanii wyborczej PO się dystansowała. Zwężanie ulic, likwidowanie parkingów, zmiany nazw i symboli, jakieś tam różne „eko” – niech się dzieciaki bawią, a co nam to.

Nie wykluczalbym, że kolejny ostry zwrot Donalda Tuska ku tęczowej i antyklerykalnej lewicy – zaledwie kilka miesięcy po tym, jak na partyjnej konwencji w Płocku plótł o znaczeniu każdego napoczyzanego bochenka znakiem krzyża świętego – ma swoje korzenie właśnie w przygotowaniach do konkurencyjnego kampusu. Tusk jest za starym wyjadaczem, żeby nie wiedzieć, że radykalizm „rozporkowej lewicy”, pod którym się demonstracyjnie podpisał, działa odstręczająco na wyborców centrowych, kluczowych dla wygrania wyborów. Ale też wie, że wybory będą dopiero za rok, a do tego czasu elektorat zdąży kilka razy o wszystkim zapomnieć. Natomiast na razie trzeba ściągnąć do siebie jak najwięcej młodego narybku, inaczej zrobi to Trzaskowski – p.o. przewodniczący zaspął w ubiegłym roku, pozwalając mu się wyprzedzić, ale już kilka razy pokazał rywalowi, że łatwo go umie ogrywać, i ściągając ku sobie grawitującą ku partii, sfrustrowaną i instynktownie kierującą się ku skrajnej lewicy młodzież, zamierza to zrobić raz jeszcze.

Samo przeciągnięcie młodych radykałów na swoją stronę zapewne mu się uda. Pytanie, czy zdoła potem nad nimi zapanować. Problem – z punktu widzenia PO – z tą „szkoloną” na kampusach młodzieżą jest bowiem taki, że, zapewne ku zaskoczeniu starszych działaczy, przynajmniej część z niej wierzy w to, co mówi na głos. I nietrudno wyobrazić sobie sytuację, kiedy np. na własnym kampusie Tusk zacznie być publicznie, w sposób analogiczny, jak to się zdarzyło Balcerowiczowi, sztorcowany przez jakiegoś szczególnie ideowego młodziana za to, że dużo obiecuje LGBT i feministkom, kiedy nic dla nich zrobić nie może, ale kiedy mógł, to przecież nawet nie kiwnął palcem.

Pozostaje jeszcze jeden problem – dwa kampusy to fatalna sytuacja dla wielu wspierających PO „autorytetów”. Na który pojechać? Na którego z przywódców „totalnej opozycji” postawić? A może lepiej dyplomatycznie zachorować?



Tomasz Rowiński

Zakończył się czas pocucia bezradności osób poszkodowanych przez kościelnych przestępców seksualnych. Czas jednak nowe prawo udoskonalić, by kar nie traktowano z przymrużeniem oka

W czerwcu 2019 r. weszły w życie przepisy motu proprio „Vos estis lux mundi” („VELM”). Dokument ten jest w tej chwili

najważniejszym prawnym narzędziem Stolicy Apostolskiej wymierzonym w kościelnych przestępców seksualnych. Na podstawie tych przepisów ukarane zostało także całkiem liczne grono polskich biskupów, którzy dopuścili się zaniebdania w odniesieniu do przestępstw dokonywanych przez ich podwładnych. Można powiedzieć, że w tej palącej sprawie pojawiły się wreszcie w Kościele konkrety powstrzymujące zgorszenie.

Ponieważ przepisy „VELM” zostały zatwierdzone na okres trzech lat ad experimentum przez samego papieża, warto teraz właśnie dokonać pierwszego podsumowania. Można się też spodziewać w niedługim czasie watykańskiej ewaluacji działania tych, wciąż stosunkowo nowych, przepisów. Czy wnioski z zakończonego okresu próby zostaną opublikowane? To już inna sprawa. Być może działanie „Vos estis...” zostanie po prostu przedłużone, być może pojawią się dodatkowe, uściślające regulacje.

Co nowego wniósł do życia Kościoła dokument „Vos estis lux mundi”? W maju 2019 r. jego treść w taki sposób relacjonował Krzysztof Bronk na portalu vaticannews.va: „Nowe procedury dotyczą przestępstw przeciwko szóstemu przykazaniu w trzech przypadkach. Po pierwsze, zmuszanie do czynności seksualnych przy zastosowaniu przemocy, groźby lub nadużycia władzy. Po drugie, dopuszczanie się czynności seksualnych z osobą małoletnią lub bezradną, czyli o ograniczonej możliwości przeciwstawienia się agresji. Trzecia kategoria przestępstw jest związana z pornografią z udziałem osób małoletnich bądź bezradnych”. Szczególną uwagę trzeba zwrócić na rozszerzenie prawnej ochro-



FOT. ADBE STOCK/12 CREDEK

Trzy lata pilnowania pasterzy

ny w Kościele – obejmującej do tej pory małoletnich – także na seminarzystów czy siostry zakonne.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ PRZEŁOŻONYCH

Z perspektywy trzech lat działania motu proprio papieża Franciszka widać, jak wielkie znaczenie miało rozszerzenie odpowiedzialności przełożonych w Kościele – przede wszystkim biskupów. Pojawienie się wykroczenia, polegającego na działaniu mającym utrudnić lub uniemożliwić przeprowadzenie dochodzeń cywilnych lub kanonicznych, administracyjnych lub karnych przeciwko duchownemu lub zakonnikowi za przestępstwa o charakterze seksualnym, zmieniło klimat. Jakkolwiek można mieć zastrzeżenia do przebiegu postępowań prowadzonych przez Stolicę Apostolską w oparciu o „VELM”, to trzeba powiedzieć, że zakończył się czas pocucia bezradności osób poszkodowanych. Także w szerszym społecznym poczuciu pojawiła się nadzieja, że od Kościoła można oczekiwać nie tylko nauczania

o sprawiedliwości, lecz także tej sprawiedliwości stosowania.

Okres próby pokazał także, że to właśnie w Polsce mieliśmy do czynienia ze szczególnym oczekiwaniem, by Kościół wprowadził nowe narzędzia pozwalające egzekwować odpowiedzialność od przełożonych. Jak pisał Krzysztof Bramorski w swoim tekście „Trzy lata rozliczalności biskupów”, opublikowanym na portalu Wiece.pl – za danymi organizacji Bishop Accountability – wiadomo o 28 przypadkach dochodzeń dyscyplinarnych dotyczących biskupów z całego świata wszczętych na podstawie przepisów „Vos estis lux mundi”. Z tego aż 16 dotyczyło biskupów z Polski. Czy to znaczy, że sytuacja w Polsce jest w jakiś sposób szczególnie zła? Niekoniecznie. Jak wiadomo, jeszcze nie tak dawno również świeckie prawo w Polsce pozostawiało sprawę zgłaszania przestępstw seksualnych w gestii samych poszkodowanych. Raczej trzeba powiedzieć, że w naszym kraju uzyskaliśmy stosunkowo wysoki poziom świadomości istnienia problemu i konieczności zmierzania się z nim.

Nie dotyczy to tylko świeckich; struktury diecezjalne zareagowały prawidłowo i pojawiły się systemowe rozwiązania umożliwiające składanie powiadomień, pojawili się delegaci ds. ochrony dzieci i młodzieży. Warto zauważyć przynajmniej jeszcze jeden pozytyw – efekty dochodzeń, które przeprowadziła Stolica Apostolska, wskazują, że Kościół ani nie starał się na siłę uniewinniać swoich, ani też nie szukał kozłów ofiarnych. Mamy przypadki, w których stwierdzono właściwe postępowanie hierarchów, wymieniać tu trzeba kard. Stanisława Dziwisza i abp. Stanisława Gądeckiego oraz wiele decyzji Stolicy Apostolskiej stwierdzających różnego rodzaju odpowiedzialność i przewiny. Wymieńmy, o których hierarchów chodzi: kard. Henryk Gulbinowicz, abp Henryk Skworec, abp Leszek Sławoj Głódź, abp Marian Gołębiowski, bp Jan Tyrawa, bp Zbigniew Kiernikowski, bp Edward Janiak, bp Stefan Regmunt, bp Stanisław Napierała, bp Tadeusz Rakoczy. Właściwie także tę listę należałoby podzielić według różnych kategorii: od nieumyślnego zaniedbania do działania podejmowanego z większą czy mniejszą premedytacją.

BRAK PRZEJRZYSTOŚCI

Są też niestety problemy. Do tej pory procedurom wszczynanym na podstawie „Vos esti lux mundi” brakuje przejrzystości, i to na różnych poziomach. Dotyczy to zarówno komunikacji z duchownymi, wobec których toczą się postępowania, jak i komunikacji Stolicy Apostolskiej z opinią publiczną. Do dziś wraca do mnie dramatyczny fragment artykułu Agnieszki Bugały pt. „Bohater wylany z kąpielą? Publiczny demontaż życiorysu kardynała Gulbinowicza”, której autorka, przez wiele lat związana z wrocławską redakcją tygodnika „Niedziela”, opublikowała 24 listopada 2020 r. na portalu Więzi.

„Najważniejszy dokument w życiu kard. Gulbinowicza zostaje ogłoszony 6 listopada 2020 r. Nuncjatura publikuje komunikat o decyzjach podjętych wobec niego przez Stolicę Apostolską. Komunikat jest oszczędny, niektórzy twierdzą, że wręcz lakoniczny. Nie ma w nim nawet informacji, gdzie sprawę Gulbinowicza badano. Czy weryfikacji zgłoszenia dokonała Kongregacja Nauki Wiary (tam trafiają sprawy bezpośrednich sprawców) czy Kongregacja ds. Biskupów (tam najczęściej trafiają sprawy zaniedbań na mocy „VELM”), czy może Sekretariat Stanu (sko- ro sprawa dotyczy kardynała)? Z komu-

nikatu nie wynika, kto sprawę prowadził, na jakiej podstawie prawnej, w oparciu o jaką procedurę i ilu ewentualnych pokrzywdzonych [...] złożyło zeznania”.

Podobnie jak Bugała nie postuluję weryfikacji wyroków Stolicy Apostolskiej, wydaje się jednak, że powinny być one w sposób publiczny uzasadniane. Inaczej może pojawić się kolejny powód nieufności do Kościoła wynikający z podejrzenia, że prowadzone postępowania nie zachowują zasad rzetelności.

Trzeba także wspomnieć o problemach dyscyplinarnych i wizerunkowych, jakie wynikają z kar nakładanych przez Stolicę Apostolską. W kwietniu 2021 r. były ordynariusz kaliski Edward Janiak – mający już wtedy zakaz przebywania na terenie swojej dawnej diecezji – został przyłapany na tym, że przebywał w Domu Pomocy Społecznej Caritas Diecezji Kaliskiej w Złoczewie. Tłumaczył to okolicznością szczepienia się przeciw COVID-19. Jednocześnie jednak nie chciał dziennikarzom „Głosu Wielkopolskiego” odpowiedzieć na pytanie, gdzie mieszkał wcześniej ani jakie ma plany dotyczące przyszłości. Choć Stolica Apostolska została poinformowana o sytuacji, to nie wyciągnięto wobec bp. Janiaka żadnych konsekwencji.

Inny problem wiąże się z takimi karami, jak te nałożone na bp. Stefana Regmunt, byłego ordynariusza diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Jednym z ograniczeń jest zakaz uczestniczenia w celebracjach lub publicznych spotkaniach na terenie diecezji zielonogórsko-gorzowskiej. Regmunt dopuścił się zaniedbania w sprawach wykorzystywania seksualnego małoletnich przez dwóch podlegających mu księży. Trzeba zadać pytanie o sens tego typu kar w sytuacji, gdy ukarany nie widzi niczego niesłusznego w swojej publicznej aktywności. Przykład bp. Regmunta podaję nieprzypadkowo. Choć nie widziano go podczas uroczystości w diecezji gorzowsko-zielonogórskiej, to pojawia się gościnnie w innych diecezjach, dając wszystkim do zrozumienia, że kary Stolicy Apostolskiej są niewiele warte. 4 czerwca odprawił Mszę w kościele pw. Świętej Rodziny w Parszowicach, będącą upamiętnieniem 50. rocznicy prymicji bł. ks. Jerzego Popiełuszki. O wydarzeniu informował legnicki „Gość Niedzielny”. Z kolei 11 czerwca wziął udział we Wrocławiu jako koncelebrans w beatyfikacji siostr męczenniczek elżbietańskich. Biskupa można zobaczyć

na fotorelacji opublikowanej tym razem przez wrocławską stronę „Gościa Niedzielnego”. Dzień później bierzmował młodzież w parafii pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Resku. Zdjęcia z tego wydarzenia udostępniał w mediach społecznościowych proboszcz parafii ks. Marian Kaptur. Dzień później zostały one ukryte lub usunięte. Informacji o bierzmowaniu, a także, kto go udzielił, nie znalazłem na stronie parafii w Resku. Można zapytać: Dlaczego?

TRUDNOŚCI

Wskazać trzeba jeszcze na inny problem. W Internecie pojawiło się – datowane na 29 maja – nagranie z uroczystości pierwszokomunijnej z kościoła pw. śś. Apostołów Piotra i Pawła w Krakowie z udziałem bp. Jana Szkodonia. To chyba najjaskrawszy przypadek trudności, jakie może powodować „Vos esti lux mundi”. Biskupowi nie udowodniono zarzutu molestowania – przed ponad dwoma dekadami – 15-letniej dziewczyny. Ale jednocześnie nie oczyszczono go z zarzutów, zasądzono nawet pokutę za „nierozważne zachowanie [...] wobec małoletniej, polegające na przyjmowaniu jej w prywatnym mieszkaniu bez obecności jej rodziców, pozostających od lat w znajomości z biskupem”. Tak pisano w komunikacie nuncjatury z 23 lipca 2021 r.

Od tego czasu bp Szkodon pozostaje w niejasnym zawieszaniu, w którym nie wiadomo, czy powinien się ukrywać i wciąż pokutować czy może wrócić do życia publicznego. Od osoby zorientowanej w życiu archidiecezji krakowskiej usłyszałem, że kuria ma świadomość tego problemu i bp Szkodon w praktyce został wycofany z posługi duszpasterskiej, albo przynajmniej jego działania nie są podawane do publicznej wiadomości. Niezależnie, jaką mamy opinię o bp. Szkodoniu, nikt nie powinien znajdować się w sytuacji, która czyni jego status nieokreślonym. To poważny defekt „VELM”.

Trzy lata funkcjonowania „VELM” dało bez wątpienia wiele dobrych impulsów Kościołowi w Polsce. Czas ten pokazał, że dobre prawo, które dodatkowo jest stosowane, przynosi oczekiwane skutki społeczne – ogranicza występki i przywraca, przynajmniej częściowo, sprawiedliwość. Teraz jednak czas na konieczne poprawki, przejrzystość, jednoznaczność wyroków i adekwatne kary, które nie będą traktowane z przymrużeniem oka.

W imię dziecka?



Łukasz Zboralski

Wystarczyło zaproponować, by niesforny uczeń za karę mógł zostać ukarany np. obowiązkiem sprzątnięcia klasy, by stowarzyszenia uczniów zaprotestowały, a prawnicy nazwali to „represjami”. Gdzie my zabrnęliśmy?

Przepisy dotyczące resocjalizacji dzieci i młodzieży pochodzą z 1982 r. Czy są archaiczne?

Oczywiście. Jednak gdy Ministerstwo Sprawiedliwości zaproponowało nowelizację, wybuchła awantura. Najpierw o to, że Zbigniew Ziobro rzekomo chce wsadzać do poprawczaków 10-latkę i zgodzić się na rażenie dzieci paralizatorami (nie kłamie, takie tytuły pojawiły się w prasie).

To na szczęście była awantura o rzeczy, które nie istnieją. Zmiana prawa nie zakłada bowiem wcale zmiany granicy wieku, od którego możliwe jest wysłanie nieletniego do poprawczaka. Zgodnie z przyjętą przez Sejm 9 czerwca nowelizacją najsurowsze placówki przeznaczone będą dla tych, którzy skończyli 13 lat (czyli tak, jak do tej pory) i popełnili czyn karalny bądź są po prostu mocno zdemoralizowani: piją, biorą narkotyki, a wszystkie dotychczasowe metody wychowawcze wobec nich nie przynoszą skutku.

Ba, Ministerstwo Sprawiedliwości właśnie ustaliło granicę wieku, od której

nieletni będzie odpowiedzialny za zachowanie naruszające prawo lub stanowiące o zdemoralizowaniu. Dziecko będzie musiało mieć co najmniej 10 lat, by stanąć przed sądem. Do tej pory prawo w ogóle nie wyznaczało granicy wieku, więc – jak wskazywał resort – przed sądami mogły stawać sześciolatki czy ośmiolatki.

STRASZNE SPRZĄTANIE KLASY

Zmiana prawa zakłada jeszcze wiele innych rzeczy, które wydają się słuszne, m.in. podniesienie wieku, do którego można przebywać w zakładzie poprawczym (do teraz było to 21 lat bez względu na to, jak przebiegała resocjalizacja, a po zmianie sąd rodzinny będzie mógł od razu nakazać przebywanie w poprawczaku do 24. roku życia lub będzie mógł orzec o przedłużeniu kary, przy czym trzy lata dłuższej kary odbywane będą w nowym rodzaju zakładów poprawczych).

Jednak najwięcej emocji w debacie publicznej wzbudziło coś, co wydaje się zupełnie niewinne – czyli umożliwienie dyrektorom szkół skierowania ucznia

za karę do prac porządkowych na rzecz placówki. Chodzi tu oczywiście o występki mniejszej wagi niż te, za które staje się przed sądami rodzinnymi. No i dyrektorzy nie będą decydować o tym sami, muszą uzyskać zgodę i rodziców, i uczniów.

Okazało się to jednak dla niektórych regulacją oburzającą. Stowarzyszenie na rzecz Praworządności w Szkołach „Stowarzyszenie Umarłych Statutów” – zajmujące się obroną interesów uczniów – jeszcze podczas obrad w Sejmie wysłało opinię sprzeciwiającą się przyznaniu dyrektorom szkół takiego uprawnienia. Uznało, że dyrektor nie powinien karcić uczniów, bo byłoby to... nakładanie kary bez prawa do sądu. Prezes Stowarzyszenia Łukasz Korzeniowski pisał w tej opinii, że „propozycja godzi w prawo człowieka do sądu, a przede wszystkim w prawo dziecko do wypowiedzania się w każdym postępowaniu, które go dotyczy”, oraz uznawał, że nieletnim „w trakcie stosowania wobec nich środków o charakterze podobnym do środków stosowanych w postępowaniu karnym” należy się zapewnienie „równego z oso-



i wskazywało, że lepiej skorzystać ze „spopularyzowanych za granicą mediacji”, dzięki którym dyrekcja może wciągnąć ucznia w proces wychowawczy, „traktować go podmiotowo” i zostawić „poczucie sprawczości”.

Wiceminister sprawiedliwości Michał Woś uważa, że krytykowanie tego projektu to zacierzwanie polityczne. – Przeoczo- no nawet, że te rozwiązania pochwaliła Helsińska Fundacja Praw Człowieka – mówi „Do Rzeczy” Woś. – Chodzi przecież o to, by dyrektorzy mieli dobre narzędzie. Przy okazji wzmacniamy rolę rodziców w szkole, bo taką karę dyrekcja z nimi musi uzgodnić. Wzmacniamy też rolę naieletniego, bo nikt nie będzie go zmuszał do – jak to twierdziła opozycja – „mycia kibli”, tylko za jego własną zgodą będzie mógł naprawić jakieś szkody, np. zasadzić drzewko, które zniszczył – tłumaczy Woś. Podkreśla, że obecnie szkoła nie ma takich możliwości, dlatego nawet drobne sprawy lądują w sądach rodzinnych. To kilkadziesiąt tysięcy postępowań. Trafiają tam nawet dzieci z podstawówki, które się poróżniły i popychały. – Tego rodzaju rzeczy powinny być wyjaśniane w szkole – przekonuje wiceminister Woś. – I właśnie dlatego dajemy taką możliwość mądrym pedagogom i dyrektorom oraz rozsądnym rodzicom.

Dyrektorzy szkół na temat nowych regulacji milczą albo machają ręką, twierdząc, że jeśli będą musieli dogadać się z dzisiejszymi rodzicami przekonanymi o tym, że ich „bąbelki” nie mogły zrobić na pewno niczego złego, to i tak z nakazywania sprzątania klasy nic nie wyjdzie. – Oczywiście, jeśli rodzice nie będą chcieli z tego skorzystać, zawsze będzie mogło to pójść do sądu i będą mieli z takich spraw pełne postępowania – zauważa Woś.

79,2 proc.

TYTU BADANYCH UWAŻA, ŻE SPRZĄTANIE SZKOŁY MOŻE BYĆ JEDNĄ Z KAR DLA UCZNIÓW

Nauczyciele nieoficjalnie mówią, że nie widzą nic złego w tym, by oprócz ciężkiej pracy wychowawczej z uczniami mieli też na powrót w arsenale jakiegokolwiek narzędzie do dyscyplinowania tych, których nie da się zawrócić ze złej drogi prośbą, rozmowami i odsyłaniem do szkolnego psychologa (to ostatnie

wygląda obecnie w polskich szkołach często dokładnie tak, jak wyśmiewane już lata temu w serialu „South Park” wysyłanie uczniów do psychologa w amerykańskich placówkach – niczego w zachowaniu uczniów nie zmienia).

Tak samo sądzą Polacy. Przy okazji tych zmian prawa Ministerstwo Sprawiedliwości przedstawiło sondaż Instytutu Badawczego IPC na temat zmian w polskim prawie dotyczących nieletnich. Aż 79,2 proc. badanych uznało w nim, że jedną z kar mogłyby być prace porządkowe wokół szkoły. Zresztą i w pozostałych sprawach badani zgadzali się z kierunkiem zmian – 66,4 proc. uważa, że nieletni, którzy dopuścili się morderstwa lub innych najcięższych przestępstw, powinni pozostawać w zakładzie poprawczym nawet do 24. roku życia, a 62,9 proc. ankietowanych uważa, że sześciolatnie dziecko nie powinno odpowiadać przed sądem.

NAGŁA UTRATA ZAUFANIA

Nie sposób nie zauważyć, że w tej sprawie liberalne środowisko w Polsce wykonało właśnie niezłą woltę. Ci sami ludzie protestują często wobec narzucaniu szkołom przez MEN tego, czego mają uczyć i jak, a nawet jakie lektury dzieci powinny czytać. Uważają bowiem, że nauczycielom w Polsce można zaufać i szkoła powinna mieć jak najwięcej wolności przy kształtowaniu kolejnych pokoleń. Jednocześnie z tych samych środowisk nagle – gdyby dać dyrektorom do ręki jakiegokolwiek narzędzie wychowawcze – słychać protest, tak jakby za nic nie można było dyrekcji i nauczycielom zaufać. Czyż to nie sprzeczność?

I na koniec – dzieci wcale nie muszą za karę sprzątać klas. One mogą to po prostu robić na co dzień, zawsze – tak jak przyjęte jest to w części szkół w Japonii. Na przykład w szkole podstawowej Azabu w Tokio dzieci poświęcają codziennie 20 minut na sprząatanie klasy i całej placówki. I dzięki temu na pewno nie chce im się rzucić papierka czy gryzka na ziemię albo porysować ławki, którą same potem musiałyby czyścić. Wystarczy porozmawiać z nauczycielami albo obsługa kina, która sprząta dziś sale po wizycie szkolnych wycieczek, by dojść do wniosku, że właśnie to rozwiązanie każda dyrekcja podstawówki powinna wdrożyć jak najszybciej. A może to też zostałyby oprotestowane?

bami dorosłymi prawa do sądu”. Przedstawiciel uczniów tłumaczył dalej, że jeśli ktoś w szkole zniszczy mienie („Naszemu Stowarzyszeniu znane są przypadki”) i jeśli wielu uczniów przebywa w tym miejscu i czasie, to zastosowana została odpowiedzialność zbiorowa i wszyscy ponieśli karę. A bywa i tak, że przypadkowy uczeń znalazł się w takim miejscu i czasie, że nawet jeśli był niewinny, to władze szkoły uznały, że to on zrobił coś zakazanego.

Jeszcze dalej poszedł dr hab. Mikołaj Małecki z Katedry Prawa Karnego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Uznał wręcz, że kara sprzątania szkoły byłaby odpowiednikiem kary, na którą skazuje się w sądach. „Sprząatanie szkoły to istotne ograniczenie wolności obywatelskich. W zasadzie odpowiednik kary kryminalnej z art. 32 kk. Taka dolegliwość musi być nałożona w rzetelnej procedurze. Dyrektor, często zależny od lokalnych władz, nie jest jej gwarantem, szczególnie w sytuacjach spornych” – napisał Małecki na Twitterze.

OKO.press podczas relacjonowania sprawy pytało, czy „szkoły zastąpią sądy”,

Choroby nie czekają, aż będziesz miał czas. A Ty? Nie czekaj z badaniami – zachęcał lektor w spocie Ministerstwa Zdrowia reklamującym program „Profilaktyka 40 PLUS”, czyli bezpłatne badania profilaktyczne dla osób w wieku powyżej 40 lat. Program ruszył niemal dokładnie rok temu. Od 1 lipca 2021 r. Polacy po czterdziestce mogli wypełnić internetową ankietę na Internetowym Koncie Pacjenta lub za pośrednictwem infolinii. Na tej podstawie otrzymywali dostęp do bezpłatnego pakietu badań profilaktycznych, które można było wykonać w biorących udział w programie placówkach. „Profilaktyka 40 PLUS” miała być odpowiedzią na zapaść w wykonywaniu badań profilaktycznych, do której doprowadziła pandemia. „Dzięki właśnie badaniom profilaktycznym można wykryć chorobę bardzo wcześnie i uniknąć długotrwałego, a czasem nieskutecznego leczenia, które jest konsekwencją zbyt późnej diagnozy” – zachęcało do badań MZ. Polaków jednak nie przekonało.

400 TYSIĘCY Z 20 MILIONÓW

Uprawnionych do skorzystania z programu było 20 mln osób. Tylko 4,7 proc. wypełniło ankietę profilaktyczną, która była podstawą do wydania skierowania na badania – poinformowała nas Maria Kuźniar z Biura Komunikacji Ministerstwa Zdrowia. – Program do końca czerwca ma funkcjonować w obecnej formule, potem ma zostać przeorganizowany. Wśród pacjentów została przeprowadzona ankieta programu „Profilaktyka 40 PLUS”. Wnioski z niej uzyskane będą pomocne w dalszych pracach nad programem. Obecnie trwają analizy, po ich zakończeniu będą podejmowane decyzje dotyczące kontynuowania tego projektu – zaznacza Maria Kuźniar.

– To nie jest zły program, ale w jego ramach badania wykonało ostatecznie zaledwie 400 tys. osób, a to zdecydowanie za mało – ocenia dr Michał Sutkowski, lekarz z Kolegium Lekarzy Rodzinnych w Polsce. Dodaje, że te wyniki pokazują prawdę o polskich pacjentach. – Nie myślimy o wczesnym wykrywaniu chorób, na tym pierwszym etapie, gdzie możemy skutecznie je leczyć. Dwie trzecie tego, czym zajmują się lekarze, to medycyna naprawcza. Pacjenci przychodzą wtedy, kiedy choroba jest już bardzo zaawansowana, a szanse na powrót do zdrowia dużo mniejsze. Mamy niski poziom kultury zdrowotnej. Wychodzą wieloletnie zaniedbania tematu profilaktyki zdrowotnej zarówno w sys-

Profilaktyka? Nie praktykuję



Agnieszka Niewińska

Programem badań dla osób 40+ zainteresowało się ledwie 4,7 proc. uprawnionych. 65 proc. Polek przez dwa ostatnie lata nie wykonało żadnego badania ginekologicznego. Co mamy na swoje usprawiedliwienie?

temie ochrony zdrowia, jak i w systemach edukacji czy polityki zdrowotnej. Tego nie da się szybko nadrobić. W dodatku od dwóch lat wielu Polaków żyje w swego rodzaju bańce. Z jednej strony jest COVID-19 i w związku z nim mamy do czynienia ogromnym długiem zdrowotnym. Dopiero teraz zaczynają się zgłaszać pacjenci, którzy w czasie pandemii się nie badali. Często przychodzą już np. z zaawansowanymi nowotworami. Z drugiej strony jest Putin. Przyczailiśmy się, mamy już dość złych informacji, więc nawet z badaniami czekamy na moment, kiedy się to wszystko skończy.

„WCALE SIĘ NIE TŁUMACZĄ”

To, jak badaliśmy się przez dwa pandemiczne lata, sprawdził dla marki Berimal portal badawczy Zymetria. Z sondażu wynika, że badań profilaktycznych raczej unikaliśmy. W ciągu dwóch lat 20 proc. Polaków nie przeprowadziło żadnych badań. USG piersi wykonała tylko co 10. Polka. 65 proc. pań w ciągu dwóch ostatnich lat nie wykonało żadnego badania ginekologicznego. Unikamy najprostszych badań. Morfologię, poziom glukozy czy lipidogram w ciągu dwóch lat wykonało zaledwie 35 proc. Polaków.

– Nie chcemy badać takich parametrów jak cholesterol czy cukier, bo to nie boli – wysoki poziom cholesterolu nie boli, wysoki poziom cukru nie boli – mówiła podczas prezentacji wyników badań ankietowych Agnieszka Piskała-Topczewska, dietetyk. Dodawała, że jej pacjenci często lekceważą objawy takie jak np. nadmierne pragnienie związane z cukrzycą. – Jeden z pacjentów cukrzycowych, który do mnie trafił, wypijał dziennie sześć półtoralitrowych butelek wody. Kiedy zapytałam go, czy nie ma wewnętrznej refleksji, że to trochę sporo – mocno wydrenowało to zarówno jego portfel, jak i nerki – stwierdził: „Wy, dietetycy, mówicie, żeby dużo pić. A jak ktoś dużo pije, to też wam się nie podoba” – opowiadała Agnieszka Piskała-Topczewska. – Podchodzimy bardzo lekko do objawów, które się u nas pojawiają – dodała.

Jeśli już odwiedzaliśmy jakiegoś lekarza, to najczęściej był to lekarz pierwszego kontaktu. W ciągu dwóch lat z wizyty u niego skorzystało 45 proc. badanych. 43 proc. odwiedziło stomatologa, 30 proc. okuliste. Choć w pandemii przybraliśmy na wadze, to na wizytę u dietetyka zdecydowało się zaledwie 2 proc. z nas.

Jak tłumaczą się pacjenci, którzy od lat zaniedbują profilaktykę? – Wcale się nie

tłumaczą, bo ich po prostu nie ma, nie odwołują lekarzy do gabinetów. Gdyby się pojawili, to wiedziałbym, jak ich przekonać do tego, żeby zrobili badania profilaktyczne, poświęcili trochę uwagi swojemu zdrowiu – mówi dr Sutkowski.

ZDROWIE W NASZYCH RĘKACH

Minister zdrowia Adam Niedzielski nie krył rozczarowania brakiem zainteresowania Polaków programem „Profilaktyka 40 PLUS”. Jeszcze w kwietniu, podczas 14. Europejskiego Kongresu Gospodarczego, zapowiadał, że trwają rozważania nad wprowadzeniem obowiązku badań. – Dochodzimy powoli do wniosku, że tutaj dobrowolność nie jest dobrym rozwiązaniem, że trzeba zbudować takie mechanizmy, które będą z profilaktyki czyniły pewnego rodzaju przymus. Dlatego chcemy wiązać to z kwestią medycyny pracy – stwierdził minister Niedzielski.

Doktor Sutkowski jest zdania, że powiązanie badań profilaktycznych z medycyną zdrowia nie wystarczy. Potrzebna jest strategia ponadresortowa, wysiłek wielu podmiotów – nie tylko przedstawicieli zawodów medycznych. – 30–40 proc. naszego społeczeństwa to osoby, które w ogóle nie korzystają z wizyt lekarskich. Nawet jeśli oglądają w telewizji spoty kampanii zachęcających do badań profilaktycznych, to tego przekazu nie słyszą. Aby do nich dotrzeć, trzeba się z nimi spotkać, wytłumaczyć im, dlaczego badania profilaktyczne są ważne, dać ulotkę. Przekonać ich do zadbania o zdrowie mogą nie tylko przedstawiciele zawodów medycznych, lecz także odwiedzający ich pracownik socjalny, urzędnik samorządowy w urzędzie gminy, strażak czy działacz organizacji pozarządowych. To powinno być skoordynowane działanie. Innej drogi nie ma. Jesteśmy schorowanym i starzejącym się społeczeństwem, więc jeśli nie podejmujemy tego wysiłku, to co roku będziemy mieli tysiące nadmiarowych zgonów – mówi dr Sutkowski. Dodaje, że to zadanie na lata, ale sukces jest możliwy. Wskazuje na przykład Finlandii, której udało się znacząco poprawić zdrowie społeczeństwa, ograniczyć liczbę zgonów poprzez promocję programów profilaktycznych, edukację, propagowanie uprawiania sportu. – Naukowo udowodniono, że największy wpływ na stan zdrowia mamy my sami. W 53 proc. zależy on od naszego stylu życia, w 21 proc. od środowiska życia, w 16 proc. od genetyki i tylko w 10 proc. od opieki zdrowotnej – kwituje dr Sutkowski.



Piotr Semka

Polski romantyzm – genialny w sferze literatury, wybitny w utworach Chopina – w malarstwie nie wybrzmiał dziełami zbyt efektownie. Malczewski wypełnił tę lukę

Trzeba było Roku Romantyzmu ustanowionego przez Sejm RP, by Jacek Malczewski doczekał się wielkiej wystawy w Muzeum Narodowym w Krakowie. Dwieście lat po wydaniu „Ballad i romansów” Adama Mickiewicza – z ich fantastycznym światem rusałek, świtezianek i aniołów – wystawa pod Wawelem ukazuje Malczewskiego jako wielkiego romantyka i symbolistę. Malarza, który u schyłku niewoli i początku odrodzonej Rzeczypospolitej najlepiej zobrazował romantyczny świat wyobrażeń, który tak mocno wrósł w duszę Polaków.

Malczewski zawsze był twórcą osobnym, niedającym się porównać do żadnego innego zjawiska w panoramie polskich zjawisk przełomu XIX i XX w. Wychowany przez Jana Matejkę, nie ugrzązł w kopiowaniu stylu mistrza. Rozumiał tworzenie narodowego imaginarium w zupełnie inny, indywidualny sposób. Rekordowa frekwencja na krakowskiej wystawie potwierdza, że romantyzm jest Polakom wciąż potrzebny, by lepiej zrozumieć samych siebie.

MALCZEWSKI ZACZAROWANY

Konstrukcja wystawy oparta jest na trzech kolejnych fazach w twórczości malarza. Pierwsza to mesjanizm zbudowany na wpływie, który na artystę wywarł poemat „Anieli” Juliusza Słowackiego. To hołd dla polskich zesłańców syberyjskich i ich tragicznych losów. Potem następuje okres fascynacji rodzimą kulturą ludową z jej fantastyką i symboliką natury – postaciami rusałek, strzyg – wszystko namalowane na tle pejzażu mazowieckiego i krakowskiej wsi. I wreszcie trzecia faza – symboliczne obrazy, bardzo często autoportrety, obracające się wokół obowiązków artysty wobec ojczyzny i refleksji nad losami Polski. W czasie zaborów twórca często



„Śmierć Ellenai”, 1907 r.

FOT. FUNDACJA RACZYŃSKICH/MUZEUM NARODOWE W POZNANIU

Malczewski, czyli romantyzm namalowany

odgrywali zastępczo rolę przewodników narodu i twórców narodowego imaginariusium. Jak czytamy we wstępie do katalogu wystawy: „Artysty jako duchowego przywódcy narodu odpowiedzialnego za trwanie kanonu polskości”.

Na wystawie zgromadzono ponad 150 prac malarskich, w dużej części ze zbiorów prywatnych, które zazwyczaj są niedostępne dla widzów.

„Koniec wieku XIX, zwłaszcza w środowisku krakowskim, był powrotem do idei romantyzmu i cenionych przez romantyków haseł, sprowokowanych m.in. przez przypadającą w 1898 r. setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza, a także przez kult Juliusza Słowackiego” – pisze kuratorka wystawy Urszula Kozakowska-Zauchka.

Istotnie, malarzy z generacji Malczewskiego fascynował w romantyzmie idealistyczny stosunek do świata, akceptujący katolicyzm z jego wiarą w życie pozagrobowe. Była to reakcja na ateistyczny pozytywizm naturalistów drugiej połowy XIX w.

Myślenie prekursorów nowych trendów dobrze oddaje cytat z tekstu krytyki sztuki Artura Górskiego z czasopisma „Życie” z 1898 r.: „Żądamy od sztuki naszej, aby była polską, na wskroś polską [...]. Ale obok tego winna być młoda, mieć w sobie ogień młodości, skrzydła orle, królewskość ducha, płomiennego ducha Mickiewicza. Mickiewicz! To słowo starczy za całe wyznanie wiary. On nam wskazał drogi przyszłości i wiedzie po nich w brzask jutra”.

MEWA Z SYBIRU

Bez Jacka Malczewskiego kaźń setek tysięcy Polaków zesłanych w XIX w. na Syberię pozostałaby jedynie na sztychach Artura Grottgera. Jacek Malczewski – urodzony zaledwie dekadę wcześniej od Józefa Piłsudskiego – podobnie jak późniejszy marszałek Polski należał do pokolenia, które miało poczucie obowiązku oddania hołdu powstaniu 1863 r. i potrzebę godnego upamiętnienia ofiar zmiażdżonego brutalną siłą zrywu. W dzieciństwie wyczuwał dobrze aurę zagrożenia i terroru władz carskich.

„Jakżeby takie dziecko nie miało pamiętać pochodzą z brzozy, z głuchego marszu umundurowanych żołdaków? Czy to dziecko nie nasłuchiwało się o powieszonych i »wieszatielach«?” – pisał krytyk galicyjski Konstanty Górski.



„Autoportret (Zwycięstwo polskie z 1920 r.)” FOT. MUZEUM OKRĘGOWE W TARNOWIE

Już jako ukształtowany malarz oddał swym pędzlem hołd ludziom skazanym na zesłanie na lodową pustynię. Ukaranym w okrutny sposób za prometejską chęć obdarzenia Polaków wolnością. Na własne oczy obserwował też tych, którym udało się z zsyłki po latach wrócić. Pojawiali się jak duchy z jakiejś dawno minionej epoki w Kongresówce, ale i w Krakowie, który stał się miejscem życia i pracy malarza od 1871 r. Ludzi przetrzaconych, często rozgoryczonych obojętnością współrodaków na ich tragiczne losy.

Ale ci, którzy wracali, choć upokorzeni korzystaniem z carskiej łaski, i tak mogli mówić o szczęściu. Znacznie więcej było tych, którzy umierali na nieludzkiej ziemi bez nadziei, by ktoś opiekował się ich grobem. Malczewski postanowił ich uwiecznić. Oddać im honor i uświadomić sytym krakusom, jaką cenę musieli zapłacić insurgencom. Nosili często zniszczone, posodołackie szyniele. Ziemiostozare, nadające obrazom wygaszony, mało efektowny koloryt. Malczewski uczynił z nich atrybut ich tragedii.

Jak wspominają biografowie Malczewskiego – jego ojciec Julian, przykładowy i stateczny urzędnik Towarzystwa Kredytowego, czytał „ze sto razy” poemat „Anieli” Juliusza Słowackiego. Czy te pełne emocji lektury były odkupieniem za trzymanie się ojca z dala od powstania styczniowego na carskiej posadzie? Faktem jest, że Malczewski junior przełożył wizję i przesłanie poematu na język obrazu. „Anieli” to zapomniany już dziś poemat mityczny, zawierający mesjani-

styczne przesłanie, przynoszący obraz skłóconych, skazanych na zatracenie wygnańców, ukazany w realiach Syberii, miejsca zesłania Polaków. Słowacki szuka odpowiedzi na pytanie, czy jednostka czy też całe pokolenie emigrantów jest w stanie zbawić naród.

Symbolem samotnych śmierci na dalekim zesłaniu Malczewski uczynił śmierć Ellenai – bohaterki poematu Słowackiego. To zwłaszcza przed tym obrazem warto spędzić trochę czasu na krakowskiej wystawie.

Odkupiona grzesznica – z nieskalanym pięknem anielskich włosów, z uduchowionym obliczem, leżąca martwa na nędznym pościeli ze słomy – jawi się na obrazach Malczewskiego jako spełniona święta. Oświecona i uświęcona obrazem Matki Jasnogórskiej u wezłowania – często jedynej w syberyjskiej głuszy pamiątce z kraju. Wzruszającego dowodu więzi z ojczyzną – towarzyszące cierpienia wkładali obrazki do trumien zesłańców odprowadzanych do grobu na Syberii.

Subtelny dramatyzm syberyjskich obrazów Malczewskiego poruszył wiele lat potem Jacka Kaczmarskiego, który poświęcił mu w 1991 r. osobny utwór na bazie obrazu „Wigilia na Syberii”. Szkoda, że akurat tego obrazu zabrakło na krakowskiej wystawie.

„WSZĘDZIE GOŁĘ ME SYMBOLE”

Gdzieś ok. 1887 r. Malczewski podejmuje nowy temat – polską metafizykę z postaciami zaczerpniętymi z podań ludowych, czyhającymi na ludzkie życie rusałkami i nimfami. Ich partnerami w grze ze śmiertelnikami byli wiejscy pastuszkowie na tle polskiej wsi. Malczewski odmalowuje „łaki kwietne, gdzie kwitnie wilgotna konwalia, lasy pełne sosen, kalin, jodeł. Gdzie róża polna błyszczy się osamotniona, gdzie brzozy jasnych są kochanką źródeł”. Na obrazach Malczewskiego pojawiają się anioły – ci wysłannicy, zwiastuni, opiekunowie człowieka i narodu. W wywiadzie udzielonym Janowi Brzękowskiemu w 1925 r. Malczewski wyjaśniał: „Niech mi Pan wierzy, gdybym nie był Polakiem, nie byłbym artystą. [...] Nie zacieśniałem nigdy polskości mojej sztuki do pewnych wąskich, z góry nakreślonych ram. Wypisaliśmy np. ograniczyć pojęcie polskości do jednego miejsca. Tymczasem ja tłumaczyłem mu zawsze, że Polska to pola, miedze, wierzby przydrożne, nastrój tej wsi o zachodzie słońca”.

W ten polski krajobraz Malczewski wprowadza postacie z greckiej mitologii. Jak pisze Urszula Kozakowska-Zaucha, kuratorka wystawy: „Do tych wspomnianych przez niego pól, miedzi i wierzb przydrożnych zaprosił bohaterów romantycznych z literatury czy podań ludowych [...], całe rzesze ze świata mitologii: harpie, fauny i satyrów, Chimere, Meduze i Pegaza, a także Gorgony, trytony albo syreny”.

o 23 lata od Malczewskiego była kobietą niezależną, obytą w świecie. Na obrazach krakowskiej wystawy przybiera postać Erosa i Śmierci, Meduzy, Polonii i Nike, Eloie i Ellenai, Chimery, Harpii, Beatrycze i Eurydyki. Jak wspominał potem sam Malczewski: „Z szumem, pędem wdarła się w moje życie i jak meteor przeleciała, zgasała”. Nim wybuchła pierwsza wojna światowa, z płomiennego romansu niewiele zostało. Niewiele, jeśli nie liczyć

Malczewskiego pojawia się ton nadziei. Przystają przed dziełem „Dwa pokolenia” z 1915 r. Na tym powstałym w Wiedniu obrazie stoją obok siebie znany wówczas malarz Jan Kazimierz Mycielski (1864–1913), syn Stanisława Mycielskiego, powstańca wielkopolskiego z 1848 r., więzionego po upadku zrywu przez Prusaków, i znacznie młodszy Michał Żymierski w legionowym mundurze. Malczewski zderza ze sobą starsze pokolenie, które mogło walczyć o wolność narodu jedynie na polu sztuki z kolejną generacją, która sięgnęła już po broń. Historia zakpiła sobie z Malczewskiego. Namalowany przezeń w 1915 r. jako szermierz nadchodzącej wolności Michał Żymierski 30 lat po powstaniu obrazu przyłączy się do obozu PKWN i jako bierutowski minister obrony będzie nadzorować walkę z Żołnierzami Wyklętymi.

I jeszcze jeden obraz mistrza z 1920 r. To autoportret Malczewskiego z tytułem „Zwycięstwo Polski”. Za postacią artysty patrzą sobie w oczy uczestnicy śmiertelnego zmagania – personifikacja bolszewizmu w czerwonej czapce rewolucyjnej i Polska broniąca swego niepodległego bytu. Malarz, który zaczął od odmalowania tragedii polskich zesłańców, dożył chwili triumfu polskiego oręża. Gdy umierał w listopadzie 1929 r., miał prawo patrzeć w przyszłość ojczyzny z optymizmem.



„Dwa pokolenia”, 1915 r. FOT. ZAMEK KRÓLEWSKI NA WAWELU

Mitologiczne postacie poznawał i chłonał w czasie wielkiej Grand Tour arystokraty Karola Lanckorońskiego, z którym malarz wybrał się do Grecji i Azji Mniejszej. Trasa wiodła przez Wiedeń, Triest, wzdłuż albańskiego wybrzeża Adriatyku do Pireusu, wyspy Rodos, do Antalii w Turcji, z finałem w Atenach. Ten zadziwiający, egzotyczny epizod z kariery malarskiej Malczewskiego uwiecznia niewielki obrazek „Don Kichot i Sancho Pansa” z 1895 r. Zamożny Lanckoroński jedzie na solidnym koniu. Za nim pomyka na znacznie mniejszym koniku, jak się zdaje, sam Malczewski. Jak Sancho Pansa drepzczący na osiołku za swym panem.

Około 1902 r. na obrazach zaczyna pojawiać się portretowana wiele razy Maria Balowa, wyzwolona córka arystokraty Seweryna Brunickiego. Malarz, mimo że żonaty, zakochał się w niej po uszy. Maria Gralewska cierpiała w milczeniu, widząc swoją rywalkę na obrazach męża, o czym plotkował cały Kraków. Młodsza

obrazów, w których znawcy rozpoznają rysy Marii Balowej.

Mitologiczne stwory kuszące polskich wiejskich pastuszków – ten motyw stanie się wręcz znakiem rozpoznawczym Malczewskiego w latach 1897–1899. Szczególnie malarz malował Chimery – pół kobiety, poł koty. Kpił z tej pasji do symbolizmu w kabarecie Zielony Balonik sam Tadeusz Boy-Żeleński. W szopce wystawianej w Jamie Michalikowej lalka Malczewskiego wyposażona we włoskie nogi fauna śpiewała: „Ni to pies, ni to bies. Raz po raz zmieniam stan. To w pirogu, to znów bez. To profesor, to znów pan. Na Zwierzyńcu czy też w Tyńcu, husarz, dziwka, krowa chłop. Wszędzie gołęmie symbole. A tyś zgaduj alboś czop!”.

Podobno za ten i inne niewinne kupeliki na swój temat znany malarz serdecznie zniechęcił wesołą ferajnę z kabaretu Zielony Balonik.

Im większe były szanse na odzyskanie niepodległości, tym częściej na obrazach

MALARZ WIESZCZ

„Nikt lepiej nie namalował w Polsce romantyzmu” – wskazuje prof. Andrzej Szczerski, dyrektor Muzeum Narodowego w Krakowie, oprowadzając po wystawie. Istotnie, polski romantyzm – genialny w sferze literatury, wybitny w utworach Chopina – w malarstwie nie wyrzmił dziełami zbyt efektownie.

Malczewski wypełnił tę lukę. I choć liczba jego autoportretów może nużyć, to dzięki niemu romantyzm nie sprowadza się do paru obrazów Piotra Michałowskiego czy sztychów Andriollego ilustrujących „Dziady” Mickiewicza.

Profesor Szczerski puentuje: „Malczewski nie kojarzy się z prostymi uczuciami i sentymentalizmem ilustratorów odwołujących się do płytkich gustów. Dzięki niemu romantyzm polski w dziedzinie sztuk wizualnych nie stał się kiczem”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**Wystawa „Jacek Malczewski romantyczny”
w Muzeum Narodowym w Krakowie
będzie dostępna do 31 lipca br.**



Polskie odkrycia i osiągnięcia w medycynie



PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA EDUKACJI I NAUKI W RAMACH PROGRAMU „SPOŁECZNA ODPOWIEDZIALNOŚĆ NAUKI”



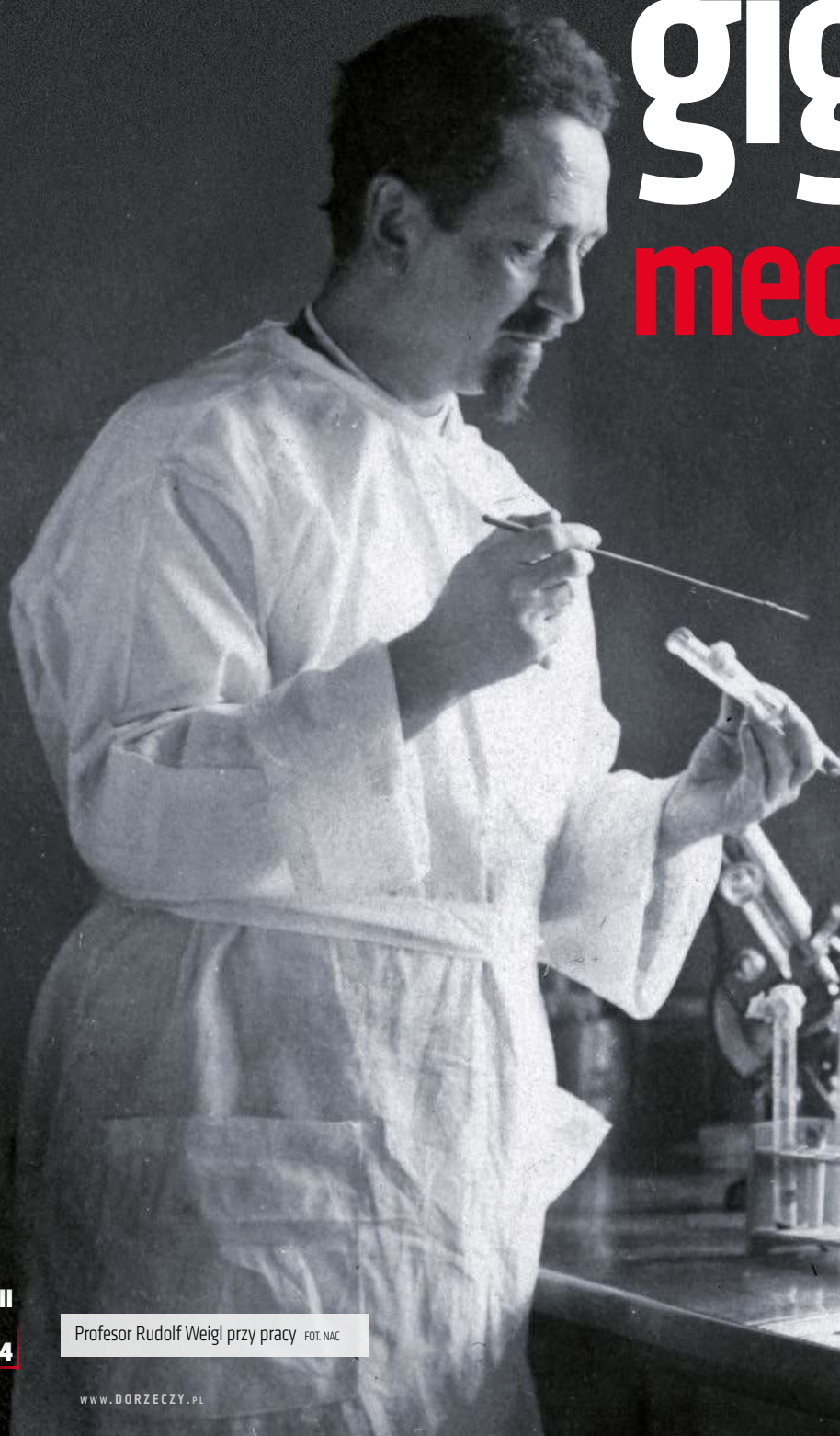
Ministerstwo
Edukacji i Nauki

eprasa.pl 9ebd9c95fb

Z dr hab. n. med. Barbarą
Bruzewicz-Mikłaszewską,
prezes wrocławskiego oddziału
Polskiego Towarzystwa Historii
Nauk Medycznych
rozmawia Piotr Włoczyk



Polscy giganci medycyny



Profesor Rudolf Weigl przy pracy FOT. NAC

PIOTR WŁOCZYK: Lekarz, który wprowadził oznaczenie grup krwi, odkrywca szczepionki przeciw tyfusowi czy może twórca pierwszej skutecznej szczepionki przeciwko polio? Kto zasługuje na pierwsze miejsce w panteonie Polaków, którzy mieli największy wpływ na rozwój medycyny?

DR HAB. N. MED. BARBARA BRUZIEWICZ-MIKŁA-SZEWSKA: Bardzo trudno wybrać tu jedno nazwisko. Wszyscy wspomniani przez pana naukowcy – Ludwik Hirszfelf, Rudolf Weigl oraz Hilary Koprowski – wnieśli ogromny wkład w rozwój medycyny, a ich badania uratowały niezliczoną rzeszę istnień ludzkich na całym świecie.

I wszyscy oni otarli się o Nagrodę Nobla, choć nie wszyscy byli lekarzami.

Profesor Weigl był biologiem, a nie lekarzem, ale dzięki niemu medycyna zyskała potężną broń w walce ze śmiertelnie groźną chorobą, która przez stulecia była zmorą ludzkości. Chociaż z pochodzenia nie był Polakiem – miał korzenie czesko-austriackie – to jednak zawsze z dumą podkreślał, że czuje się Polakiem. Był to doskonały przykład „Polaka z wyboru”.

Profesor Weigl w latach międzywojennych oraz w czasie drugiej wojny światowej cieszył się olbrzymim prestiżem w środowisku naukowym. Był on twórcą instytutu badawczego, w którym doskonalono sposoby zwalczania tyfusu. Do lwowskiego instytutu prof. Weigla jeżdżali naukowcy z całego świata, by lepiej poznać najnowsze metody przeciwepidemiczne. Jego szczepionka nie tylko uratowała tysiące ludzi – być może nawet miliony – na świecie, lecz także dzięki instytutowi uratowało się wielu lwowian, którzy pracowali u prof. Weigla w charakterze „karmicieli wszy”. Była to autorska metoda prof. Weigla, który hodował w ten sposób bakterie powodujące tyfus. Okupantom zależało na jak największej produkcji tego specyfiku, więc wykorzystując to, prof. Weigl mógł ochraniać ludzi szczególnie narażonych na aresztowanie. Przez jego instytut przewinęło się bardzo wielu członków polskiego podziemia. Jakby tego było mało, prof. Weigl narażał swoje życie w jeszcze inny sposób – w czasie okupacji niemieckiej przekazywał nielegalnie szczepionkę na tyfus do gett, gdzie, jak wiadomo, warunki sanitarne były fatalne i tyfus zbierał straszne żniwo wśród więzionych tam Żydów.

Patrząc na jego dorobek, ciężko zrozumieć, że prof. Weigl nie dostał Nobla...

Profesor Weigl stworzył całą kuźnię talentów. W jego instytucie tyfusowym

we Lwowie pracował m.in. prof. Tadeusz Baranowski, lekarz, wielki biochemik, który – nawiasem mówiąc – również otarł się o Nobla. Profesor Baranowski, późniejszy rektor Akademii Medycznej we Wrocławiu, pracował w Stanach Zjednoczonych z noblistami i odkrył ważny enzym, który nazwany został „enzymem Baranowskiego”.

Wspomniani przez pana prof. Hilary Koprowski także był bardzo blisko Nobla, ale niestety nie został w ten sposób uhonorowany. Tymczasem jego osiągnięcia dla medycyny były absolutnie kluczowe.

W 1950 r. stworzył on pierwszą skuteczną szczepionkę przeciwko wirusowi polio, wywołującemu chorobę Heinego-Medina. Jak wyglądały pod tym względem czasy sprzed szczepionki Koprowskiego?

Heinego-Medina to choroba układu nerwowego, która powoduje paraliż. Najstraszniejszy przebieg ma porażenie mięśni odpowiedzialnych za oddychanie. W 1957 r. byłam zaszczepiona przeciw chorobie Heinego-Medina. Był to dar od prof. Koprowskiego dla polskich dzieci. Ufundował on dużą partię szczepionki z własnych pieniędzy, widząc, jakie żniwo zebrała ostatnia epidemia tej choroby. Śmiało możemy założyć, że uratował on tysiące dzieci w samej Polsce, a przecież jego szczepionki używane były też na wielką skalę m.in. w Afryce.

Dziś to właściwie zapomniana choroba, ale przecież nieco ponad pół wieku temu Heinego-Medina była postrachem rodziców na całym świecie.

Tak, w społeczeństwie panował wielki strach, każde dziecko mogło na to zachorować i ulec paraliżowi lub umrzeć. Miałam starszych kolegów, którzy przemieszczali się z ogromnym trudem w swoich ortopedycznych uprzączach... Nawiasem mówiąc, prof. Kazimierz Czyżewski, chirurg, wykładowca Akademii Medycznej we Wrocławiu, przetłumaczył z języka francuskiego wstrząsające wspomnienia chorej na chorobę Heinego-Medina pt. „Doktorze ratuj”. To niezwykle świadectwo, szczególnie poruszające jest fragment książki o sposobach, jakie wykorzystywali do porozumiewania się ludzie z porażonymi mięśniami oddechowymi. Dla chorych, których stan był na tyle zły,

że nie mogli oddychać bez wspomagania, stworzono tzw. żelazne płuco, czyli rodzaj wczesnego respiratora. To był jedyny ratunek dla tych ludzi, inaczej nie byłiby w stanie żyć.

Dziś już mało kto pamięta, że istniały całe sanatoria dla dzieci chorych na Heinego-Medina, gdzie personel starał się ulżyć ich cierpieniom. Znakomity ośrodek tego typu prowadził w dolnośląskiej Trzebnicy prof. Jerzy Antoni Przybylski.

Wyeliminowanie zagrożenia ze strony Heinego-Medina sprawią, że prof. Koprowski siłą rzeczy musi się znaleźć bardzo wysoko w rankingu Polaków mających największy wkład w rozwój medycyny.

Nawiasem mówiąc, od znajomych lekarzy zakaźników wiem, że w Polsce cały czas skutecznie szczepi się dzieci przeciw tej chorobie, ale niestety nie we wszystkich krajach tak jest. Na Ukrainie akcja szczepień przeciw polio niestety nie jest zbyt powszechna. Należy to koniecznie wziąć pod uwagę i trzeba jak najszybciej pomóc dzieciom, które nie dostały takiej szczepionki, żeby ta choroba nie wróciła...

Kolejny z naszych uczonych, który był nominowany do Nobla, to prof. Ludwik Hirszfelf – twórca polskiej szkoły immunologicznej, naukowiec, który wraz z Emilem von Dungernem prowadził pionierskie badania nad grupami krwi. W 1928 r. oznaczenie te zostały przyjęte na całym świecie.

Co ciekawe, prof. Hirszfelf mówił o grupie „0”, a nie „0”. W moim rodzinnym Wrocławiu to bez wątpienia najważniejszy medyk. Dzięki prof. Hirszfelfowi w 1945 r. na tzw. Uczelni Wspólnej (połączonym Uniwersytecie i Politechnice) powstał u nas Wydział Lekarski. I właśnie głównie dzięki niemu wydział ten był na bardzo wysokim poziomie. Za sprawą swojej renomy i dużej sieci kontaktów prof. Hirszfelfowi udało się zaprosić do Wrocławia najlepszych specjalistów w swoich dziedzinach. Był to fantastyczny naukowiec i doskonały organizator. Dzięki jego fascynującej autobiografii pt. „Historia jednego życia”, opisującej m.in. tragiczne lata okupacji, gdy leczył Żydów zamkniętych w getcie warszawskim, wszyscy studenci medycyny chcieli się u niego uczyć. Badania prowadzone pod kierunkiem prof. Hirszfelfa otwierały nowe rozdziały w medycynie, mikrobiologii, immunologii i badaniach krwi.



„Kurier Lekarski” z 1930 r. informuje o dokonaniach prof. Weigla FOT. MBC



Ludwik Hirsfeld FOT. NAC



Kazimierz Funk FOT. DOMENA PUBLICZNA

■ To było jedno z tych niezwykłych naukowych małżeństw, ponieważ żoną profesora była Hanna Hirsfeld, doskonała klinicystka. Profesor Hirsfeld wykładał bardzo jasno, studenci kochali go za to, że był niezwykle skromny i wiedział, jak przekazać wiedzę. W auli jego imienia w Zakładzie i Katedrze Mikrobiologii Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich we Wrocławiu do dziś wisi tablica z jego słowami: „Żeby zapalić innych, trzeba samemu płonąć”. Bez wątpienia był to taki właśnie człowiek – płonął wiedzą i zapałem, a także wiedział, jak przekazać to dalej.

Profesor Hirsfeld był twórcą nowej dziedziny – seroantropologii. Co się kryje za tym terminem?

Seroantropologia to po prostu nauka skupiająca się na wyjaśnianiu różnic serologicznych między ludźmi. Jeszcze przed wybuchem pierwszej wojny światowej prof. Hirsfeld prowadził badania nad grupami krwi wraz ze wspomnianym już Emilem von Dungernem – niemieckim internistą. Poprzez swoją pracę naukową prof. Hirsfeld położył podwaliny również pod transplantologię. Bez jego odkryć nie sposób byłoby bezpiecznie dokonywać przeszczepów organów.

Dla nas grupy krwi to coś zupełnie naturalnego, ale jeszcze nieco ponad sto lat temu lekarze nie do końca rozumieli, dlaczego tylko niektóre transfuzje krwi kończą się sukcesem.

Tak właśnie było – transfuzja albo się udała (jeżeli trafiło się na odpowiednią grupę krwi), albo się nie udała... Rozmawiając o transfuzjach i prof. Hirsfeldzie, muszę wspomnieć o niezwykłym zabiegu,

który miał miejsce we Wrocławiu pod kierownictwem profesora. Wykonano wówczas transfuzję krwi u matki, która miała ogromne problemy z donoszeniem ciąży. Ta kobieta siedmiokrotnie poroniła z powodu niezgodności krwi. W czasie życia płodowego jej córeczki wymieniono jej całą krew i tylko dzięki badaniom oraz interwencji prof. Hirsfelda udało się jej urodzić zdrowe dziecko. Proszę sobie wyobrazić, że ta uratowana dziewczynka poszła potem na medycynę i została... neonatologiem!

Uczniem prof. Hirsfelda był doskonały wirusolog pochodzenia żydowskiego Henryk Makower. Wspominał on swoje uwięzienie w getcie warszawskim (Sam Hirsfeld przeszedł na katolicyzm, ale nie uratowało go to przed zamknięciem w tzw. dzielnicy żydowskiej) i transfuzję krwi, których udzielał potrzebującym. Makower miał bowiem grupę krwi zero, czyli pasującą wszystkim ludziom.

Kolejne z wielkich nazwisk w historii medycyny to Kazimierz Funk – biochemik, twórca nauki o witaminach.

I przy okazji, co nie każdy wie, jest to też twórca samego pojęcia „witamina”. To kolejny Polak, który otworzył nowy, wielki rozdział w historii światowej medycyny. Nie jestem jednak pewna, czy Kazimierz Funk byłby zachwycony, widząc, jak masowo przemysł farmaceutyczny wciska dziś konsumentom drażetki z całą paletą witamin, kiedy wiadomo, że najlepsze są witaminy ukryte w naturalnych produktach.

Bliską pani postacią wśród gigantów polskiej medycyny jest na pewno prof. Antoni Cieszyński, wybitny stomatolog. Dramatyczne okoliczności jego śmierci to symboliczna ilustracja losu, który Niemcy zgottowali polskiej inteligencji.

Niemcy nie mogli mu darować jego głębokiego przywiązania do polskości i manifestowania uczuć narodowych. Profesor Cieszyński, urodzony w 1882 r. w Oleśnicy w ówczesnych Prusach, zawsze powtarzał, że jest Polakiem. Jego rodzice nie puścili go na studia do pruskiego Breslau, tylko wysłali go do katolickiego Monachium. Jego dziełem jest pierwszy na świecie atlas rentgenowski zębów, ale nie sposób w jednym wywiadzie wyliczyć wszystkich zasług prof. Cieszyńskiego dla światowej stomatologii.

W 1935 r., gdy weszły w życie ustawy norymberskie, prof. Cieszyński był na wykładzie w Berlinie i w trzech językach – po niemiecku, francusku i angielsku – wystąpił w obronie kolegów pochodzenia żydowskiego. Podkreślał, że pochodzi przecież z kraju, którego do 1918 r. nie było na mapie, którego mieszkańcy byli traktowani jak obywatele drugiej kategorii, i w związku z tym rozumie, jak się czują jego żydowscy koledzy z Niemiec, gdy naziści tak brutalnie naruszają ich godność. Niemcy niestety zapamiętali mu te słowa. W lipcu 1941 r., tuż po zdobyciu Lwowa przez Wehrmacht, prof. Cieszyński został rozstrzelany w grupie 25 wybitnych lwowskich profesorów z wydziału medycznego. Mówimy tu o wykładowcach tylko jednego kierunku studiów! To rzeczywiście dosko-



Antoni Cieszyński. Po lewej: jedna z jego publikacji FOT. NAC, BIBLIOTEKA NARODOWA

nale pokazuje intencje Niemców, którzy chcieli całkowicie wyniszczyć polską inteligencję.

Ale to nie koniec tej historii. W tym momencie pojawia się postać syna profesora. Urodzony w 1920 r. Tomasz Cieszyński zasłynął później jako naukowiec, który pierwszy na świecie opatentował (w roku 1956) model sondy do badań wewnątrzsercowych będącej prekursorem USG.

Wróćmy do nocy z 3 na 4 lipca 1941 r., gdy Niemcy aresztowali prof. Cieszyńskiego.

W mieszkaniu byli też jego syn i żona Róża. Tomasz Cieszyński przeżył jedynie dzięki przytomności umysłu swojej matki. Choć miał on wówczas już 21 lat, to – pracując jako karmiciel wszy w instytutcie prof. Weigla – był bardzo chudy. Róża Cieszyńska zagrała *va banque* i z całkowitą pewnością w głosie powiedziała esesmanowi, że syn nie ma jeszcze skończonych 18 lat. To jedyny przypadek w tej grupie zamordowanych, gdy Niemcy nie wyprowadzili z ojcem dorosłego syna. Przypomnę tylko, że tej nocy prof. Roman Longchamps de Brier, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, został wyprowadzony na śmierć z trzema dorosłymi synami, a prof. Adam Sołowij razem z pełnoletnim wnukiem! W ten oto niezwykle sposób ocalał przyszły twórca teorii, na podstawie której powstały urządzenia do wykonywania USG. Profesor Tomasz Cieszyński, wspaniały teoretyk, bardziej niż praktyk, zamieszkał później we Wrocławiu. Nawiasem mówiąc, oprócz tego, że był lekarzem i stomatologiem, skończył też fizykę.

Ze stomatologią łączy się też praca wybitnego polskiego nefrologa prof. Zdzisława Wiktora, założyciela pierwszej kliniki nefrologii w Polsce. Wbrew pozorom ta dziedzina medycyny ma bardzo dużo wspólnego ze stomatologią. Chore zęby, zmiany patologiczne w jamie ustnej nierzadko odbijają się bowiem bezpośrednio na stanie nerek. To połączone kwestie. Wielu młodych ludzi umierało z powodu chorób nerek, w związku z czym zaczęto zwracać szczególną uwagę na stan uzębienia takich chorych i studenci stomatologii byli automatycznie przypisywani na zajęcia do kliniki nefrologii. Profesor Wiktor leczył nerki w sposób pionierski, zwracając szczególną uwagę na – jak się okazuje, bardzo istotne w tym kontekście – kwestie stomatologiczne.



Jan Mikulicz-Radecki FOT. DOMENA PUBLICZNA



Hilary Koprowski stworzył pierwszą skuteczną szczepionkę przeciwko wirusowi polio, wywołującemu chorobę Heinego-Medina FOT. WELLCOME COLLECTION

Z kolei Jan Mikulicz-Radecki to lekarz, który sprawił, że sale operacyjne przestały być tak zabójcze dla pacjentów. Co konkretnie zawdzięcza mu medycyna poza tym, że spopularyzował używanie tzw. masek Mikulicza, czyli kawałków bawełnianej tkaniny, które zasłaniały usta i nos chirurga?

Tak się składa, że Jan Mikulicz-Radecki to patron naszej Dolnośląskiej Izby Lekarskiej. Dziś pewnie powiedzielibyśmy, że można go uznać za Europejczyka, ponieważ kilka narodów chciałoby go sobie przypisać (śmiech). Jan Mikulicz-Radecki urodził się w Czerniowcach na terenie dzisiejszej Ukrainy, a studiował w Wiedniu. Fakt jest jednak taki, że pochodził z polskiej rodziny.

Salę operacyjną nie były w tamtym czasie zbyt sterylne. Chirurgi nosili długie brody, a operowano nie w fartuchach,

ale w tużurkach, czyli w eleganckich garniturach. Profesor Mikulicz-Radecki bardzo ściśle przestrzegał zasad dezynfekcji i sterylizacji, co też propagował w środowisku lekarskim. Antyseptyczne zalecenia i wytyczne profesora bez wątpienia uratowały bardzo wielu chorych, którzy dzięki temu nie zarazili się na salach operacyjnych groźnymi drobnoustrojami. Jednym z jego największych osiągnięć była operacja przeprowadzona w podciśnieniu, tak by płuca się nie zapadały. To było bardzo nowatorskie rozwiązanie w dziedzinie w chirurgii.

Przyjeżdżali do niego na nauki specjaliści z całego świata, m.in. z Japonii! Niestety, Jan Mikulicz-Radecki zmarł przedwcześnie w 1905 r. w wieku zaledwie 55 lat na nowotwór żołądka, który zresztą sam sobie zdiagnozował.

Jan Mikulicz-Radecki zasłynął też jako konstruktor pierwszego gastroskopu – narzędzia, które służy właśnie do diagnozowania chorób przewodu pokarmowego.

Ponadto Janowi Mikuliczowi-Radeckiemu przypisuje się opracowanie uroskopu, czyli narzędzia służącego do badania pęcherza moczowego.

Gastroskop wiąże się z kolei z diafanoskopem. Tymczasem pierwszy diafanoskop wymyślony został przez wrocławskiego dentystę prof. Juliusa

Brucka w XIX w. Chodziło o to, by

rozpoznać, który ząb ma szansę na wyleczenie, a który nie. W ciemnym pomieszczeniu zapalano paseczek platyny, który świecił bardzo intensywnym światłem i podświetlał od spodu zęby. Te, które rokowały dobrze i były żywe, świeciły na różowo, z kolei martwe były

czarne. Sądę, że prof. Mikulicz-Radecki mógł skorzystać z tego pomysłu i rozwinął to twórczo, konstruując gastroskop i uroskop.

Profesor Łukasz Kulczycki wniósł z kolei ogromny wkład w leczenie mukowiscydozy. Wciąż pozostaje ona jednak chorobą bardzo trudną w leczeniu.

Profesor Kulczycki był pionierem badań nad tą nieznaną wówczas chorobą, która otrzymała później nazwę „mukowiscydoza”. Ten absolwent weterynarii we Lwowie w czasie wojny przedostał się do Wielkiej Brytanii. W Edynburgu



skończył studia medyczne i stał się największym w świecie autorytetem w sprawach mukowiscydozy. Jest to straszna choroba. Cierpiący na nią ludzie się duszą. Profesor Kulczycki rozpoznał geny odpowiedzialne za chorobę i zaproponował odpowiednie leczenie. Jego metody się sprawdziły. Chorzy na mukowiscydozę są w stanie dożyć do późnego wieku.

W dawniejszych czasach też nie brakowało wśród Polaków doskonałych medyków. Jednym z nich był z pewnością Wojciech Oczko, nadworny lekarz Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy, który zasłynął jako świetny syfilidolog. W przeciwieństwie do innych medyków leczących syfilis przestrzegał jednak, żeby absolutnie nie stosować w terapii rtęci.

Wtedy nazywano tę chorobę „przymiotem”. Znanie jest też określenie „franca”, czyli ewidentnie uważano, że na ziemi polskiej przywędrowała ona z Francji. To była prawdziwa plaga w tamtych czasach. Kiła to choroba śmiertelna, która atakuje również dzieci zarażonych. Rodzą się one z bardzo poważnymi wadami. W tamtych czasach leczenie było bardzo trudne, próbowano stosować w terapii rtęć, ale był to fatalny pomysł, bo przecież metal ten jest silnie trujący.

Czy w XVI w. można było naprawdę skutecznie wyleczyć kiłę?

Nie, można było tylko łagodzić jej skutki. Wyleczyć kiłę można skutecznie



Wojciech Oczko
uhonorowany
znaczką Poczty
Polskiej FOT. ADOBE STOCK

jedynie antybiotykiem. I dlatego dopiero w XX w. syfilis przestał być złą.

Skoro już rozmawiamy o dawnych czasach, to muszę tu wspomnieć o pewnym medyku, którego osiągnięcia pomogłam nagłośnić. Żyjący w okresie renesansu Peter Monavius z Wrocławia napisał „De dentium affectibus” („O chorobach zębów”).

Była to pierwsza naukowa praca doktorska w Europie na temat chorób zębów. Znalazłam tę pracę i opowiedziałam o niej na konferencji naukowej we Francji. Francuzi chwalili się bowiem, że to ich rodak jako pierwszy Europejczyk wydał w 1602 r. pracę naukową na temat leczenia zębów. Tymczasem Peter Monavius napisał swoje dzieło już w 1578 r. Udało mi się przekonać kolegów historyków stomatologii, że jednak to nasz wrocławianin był autorem pierwszej poważnej pracy naukowej na temat chorób zębów, ich leczenia i unikania infekcji.

W czasach nam bliższym niekwestionowaną gwiazdą polskiej medycyny był prof. Zbigniew Religa, ale polska medycyna cały czas przeciera szlaki w nowych dziedzinach. W 2016 r. głośno było na świecie o lekarzach z pani rodzinnego Wrocławia, którzy operowali pacjenta z przeciętym rdzeniem kręgowym. Mężczyzna ten dzięki operacji wstał z wózka inwalidzkiego...

Neurochirurg prof. Paweł Tabakow przeprowadził tę operację, a pacjent przygotowywany był przez zespół prof. Gerwazego Świdzkiego, znakomitego znawcę chorób kręgosłupa. Przeszczepienie komórek węchowych pozwoliło na to, że operowany uzyskał czucie w nogach i dzięki temu może nawet jeździć na rowerze.

Rozmawiamy głównie o mężczyznach. Czyżby Polki nie wyróżniały się w tej dziedzinie?

Ogromne zasługi dla medycyny ma podwójna noblistka Maria Skłodowska-Curie, która – bardzo niewiele osób to wie – była honorową lekarką i dentystką. Nie miała wprawdzie formalnego wykształcenia medycznego, ale bardzo interesowała się tą dziedziną. Po odkryciu zjawiska promieniotwórczości pracowała jako radiolog na froncie zachodnim w czasie pierwszej wojny światowej. Razem z córką robiła prześwietlenia rannych żołnierzy, oceniała, gdzie są kule, które miejsca są uszkodzone, co ułatwia-



Maria Skłodowska-Curie FOT. NAC

ło przeprowadzanie operacji. Dla swojej nowej ojczyzny – Francji – wykonała ogromną pracę jako rentgenolog radiolog.

A to już dziedzina medycyny.

Dokładnie. Skłodowska-Curie została uhonorowana tytułami doktora honoris causa wielu uczelni medycznych. Nasza noblistka była pierwszą uhonorowaną kobietą przez powstałą po pierwszej wojnie światowej MWIA (Medical Women's International Association). Maria Skłodowska-Curie bardzo dużo wniosła do medycyny w sensie praktycznym, kształcąc techników radiologii i wykonując badania w tej dziedzinie.

I tu znowu wraca postać prof. Antoniego Cieszyńskiego. W 1925 r. pojechał on na kongres do Paryża. Profesor Cieszyński spotkał się tam z Marią Skłodowską-Curie i dostał od niej igły radowe. We Lwowie operował pacjentów z rakiem jamy ustnej, stosując te igły. Dzięki nim guzy się zmniejszały. Tak więc również w tym przypadku nasza noblistka miała swój udział w leczeniu jako niedyplomowany lekarz.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Zbigniew Religa FOT. WIKIPEDIA/CC BY 3.0



Dr hab. Barbara Bruziewicz-Mikłaszewska jest emerytowaną wykładowczynią Uniwersytetu Medycznego im. Piastów Śląskich oraz prezes wrocławskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Historii Nauk Medycznych.

Pionier balneologii i wenerologii



Jacek Przybylski

Wojciech Oczko, doktor medycyny i filozofii, nadworny lekarz Stefana Batorego oraz Zygmunta III Wazy, zapisał się na kartach historii jako prekursor polskiej medycyny uzdrowiskowej oraz ojciec polskiej wenerologii

Jeden z twórców polskiej medycyny urodził się w Warszawie – według różnych źródeł – w roku 1537 lub 1545. Wojciech Oczko (inna forma nazwiska: Ocellus) pochodził ze średnio zamożnej rodziny mieszczańskiej. Na Akademii Krakowskiej uzyskał tytuł bakałarza sztuk wyzwolonych i objął stanowisko rektora w szkole kolegiackiej w Warszawie. Podczas trwającej kilka lat podróży po Hiszpanii, Włochach i Francji nie tylko poznał języki obce i poszerzył wiedzę humanistyczną, lecz także na włoskich uniwersytetach obronił doktorat z medycyny.

W 1569 r. powrócił do Warszawy i rozpoczął praktykę lekarską, z powodzeniem opiekując się ubogimi chorymi. Szybko zyskał sławę dobrego medyka, dzięki której w 1576 r. objął stanowisko sekretarza i nadwornego lekarza króla Stefana Batorego. To on uznawany jest za autora powiedzenia: „Ruch zastąpi prawie każdy lek, podczas gdy żaden lek nie zastąpi ruchu”. Nadworny lekarz polskich królów zalecał zwłaszcza jazdę konną, zapasy, szermierkę, dzwiganie ciężarów, grę w piłkę oraz tańce. Dużą wagę przykładał również do regularnej gimnastyki, a także diety. Postulował nie tylko naprawę zwyczajów żywieniowych, lecz także moralności polskiego społeczeństwa. Z jego naukami powinni zapoznać się m.in. współcześni pracoholicy – już nadworny lekarz polskich królów mówił bowiem o konieczności zachowania równowagi pomiędzy wy-



Wojciech Oczko oraz karty tytułowe jego XVI-wiecznych dzieł: „Cieplíce” i „Przymiot”

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE, BIBLIOTEKA NARODOWA

siłkiem fizycznym, pracą intelektualną a odpoczynkiem.

Doktor Oczko prowadził badania źródeł leczniczych i został pionierem polskiej balneologii, a więc nauki zajmującej się badaniem właściwości leczniczych wód i borowin oraz zastosowaniem ich w lecznictwie. W wydanym w 1578 r. dziele „Cieplíce” określił wskazania oraz przeciwwskazania do korzystania ze źródeł leczniczych. Sklasyfikował również występujące na terenie kraju wody mineralne, podając ich właściwości lecznicze oraz metody leczenia.

Zasłynął również jako znakomity syfilidolog. W ukończonej w roku 1581 monografii zatytułowanej „Przymiot” – pierwszym polskim podręczniku wenerologii – przestrzegał m.in., aby lecząc syfilis, nie stosować powszechnie wówczas zalecanej terapii rtęcią, której użycie w formie maści lub podanie doustnie wiązało

się z poważnymi skutkami ubocznymi, ze śmiercią pacjenta włącznie. Doktor Wojciech Oczko podawał również genezę choroby w Polsce, wskazując, że nad Wisłą syfilis pojawił się podczas oblężenia Neapolu przez wojska francuskie. „Stądże go od ich narodu na wieczną hańbę frąncą nazwali” – wyjaśnia nadworny lekarz polskich królów, zauważając zatrażająco szybki wzrost liczby zachorowań („się tak pospolitował ten to przymiot, iż rzadki, któryby go w sobie jakiej sztuki nie miał”). A także opisywał objawy wstydliwej „choroby przerzutnej”, „która z sobą wstęchlinę jadowitą niesie, a duchy zaraz i krew wszytkę zaraża”, takie jak „wrzody, guzy, krosty, liszaje, dziury, pryszczelce, świerzby” etc. Jednocześnie obalał wiele innych mitów dotyczących ówczesnych sposobów leczenia. Podkreślał np., że przed przecięciem guzy muszą podejść ropą, zwracając uwagę, że jeśli leczenie ma być skutecznie, to żaden guz „sieczone ani palone przed czasem być nie ma”. W leczeniu franczy zalecał też leczenie w „cieplicach”, które co prawda choroby nie leczyły, ale skutecznie ponoć łagodziły jej objawy.

Obie lektury zostały zeskanowane i można je przeczytać w oryginale na portalu Polona.pl, nie wychodząc z domu. Zarówno ze względu na język, jak i na średniowieczny sposób składu książek nie jest to jednak najłatwiejsze zadanie. Zarówno w „Cieplicach”, jak i w „Przymiocie” dr Wojciech Oczko wprowadził jednak wiele nowych polskich terminów medycznych.

Zmarł w Lublinie w roku 1599, zyskując miano jednego z najwybitniejszych polskich lekarzy doby renesansu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Bugaj R., „Prace balneologiczne lekarzy polskich wieku odrodzenia”, PWN 1956.
- Kowalenko H., „Ruch jako element leczniczy w świetle poglądów Wojciecha Oczki”, „Roczniki Naukowe WSWF w Poznaniu” 1971.
- Kowalik P., „Wojciech Oczko – lekarz polskiego odrodzenia i jego koncepcje”, Wychowanie Fizyczne i Zdrowotne 2014.
- Oczko W., „Cieplíce”, Drukarnia Łazarzowa 1578.
- Oczko W., „Przymiot”, Drukarnia Łazarzowa 1581.
- Suchowierski H., „Rozpoznanie i leczenie chorób wenerycznych według »Przymiotu« Wojciecha Oczki”, Polska Akademia Umiejętności 1952.

Nasz bohater

walki z polio



Do połowy XX w. wywoływana przez wirus polio choroba Heinego-Medina – ostre nagminne porażenie dziecięce – była postrachem rodziców na całym świecie. Wirus polio dostaje się do organizmu przez układ pokarmowy i rozprzestrzenia po całym organizmie.

Dzieci w wieku do pięciu lat znajdowały się bowiem w grupie największego ryzyka. Było się czego bać. Co prawda, w większości choroba przebiega bezobjawowo, ale w ok. 1 proc. przypadków nie kończyła się jedynie na gorączce czy bólu gardła, lecz niszcząc neurony ruchowe, prowadziła do trwałego, nieodwracalnego porażenia ciała. W rzadkich przypadkach powodowała nie tylko porażenie kończyn, lecz także nawet mięśni oddechowych lub mózgu, prowadząc do śmierci małych pacjentów. W przypadku zespołu postpolio choroba Heinego-Medina mogła wywoływać problemy z układem oddechowym, pamięcią oraz koncentracją nawet u tych osób, które z powodu polio chorowały 20, 30, a nawet 40 lat wcześniej.

Zakaźna choroba wirusowa była źródłem epidemii w wielu zakątkach globu. Strach u rodziców na całym świecie był zaś tym większy, że nie było – i do dziś nie ma – możliwości leczenia przyczynowego choroby Heinego-Medina. Lekarze mogli jedynie podejmować działania zwiększające komfort życia chorego dziecka i łagodzić objawy, a także prowadzić rehabilitację zesztywniających kończyn, której celem było zmniejszenie problemów z związanymi z poruszaniem. Do połowy ubiegłego wieku w szkołach nierzadki był więc widok dzieci, które co prawda przeżyły chorobę, ale poruszały się z ogromnym trudem w specjalnych aparatach ortope-



Jacek Przybylski

Profesor Hilary Koprowski był lekarzem wirusologiem i immunologiem, który wniósł ogromny wkład w rozwój medycyny, ratując miliony istnień na całym świecie. Twórca pierwszej skutecznej szczepionki przeciw polio w latach 50. XX w. ofiarował Polsce 9 mln dawek swego preparatu. Dar ten sprawił, że liczba zgonów spadła w ciągu kilku lat ze 111 do dwóch rocznie

dycznych. Istniało też wiele sanatoriów dla dzieci chorych.

CZŁOWIEK RENESANSU

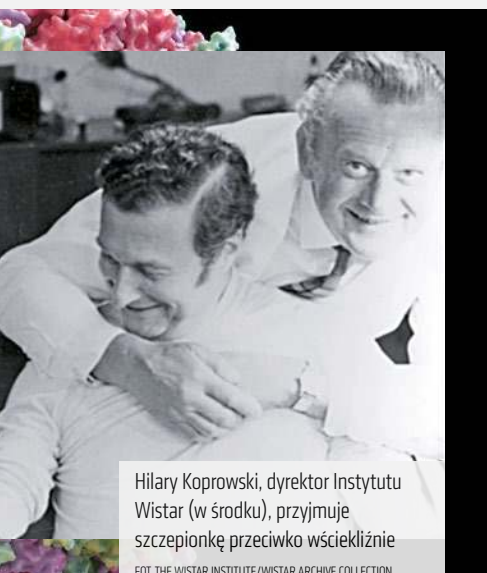
Do dziś jedyną skuteczną odpowiedzią na chorobę jest szczepienie. W Polsce jest obowiązkowe, refundowane i podawane w kilku dawkach. Twórcą pierwszej na świecie skutecznej szczepionki, która trwale wyeliminowała śmiertelne zagrożenie, był prof. Hilary Koprowski. Urodzony w Warszawie 5 grudnia 1916 r. ukończył warszawskie liceum im. Mikołaja Reja. Dyplom ukończenia studiów medycznych otrzymał na Uniwersytecie Warszawskim.

Jako prawdziwy człowiek renesansu nie tylko interesował się medycyną, lecz także lubił sztukę, poezję i świetnie grał na fortepianie. W stolicy Polski kształcił się również w konserwatorium muzycznym. Z kolei w Rzymie studiował w prestiżowej Conservatorio di Musica Santa Cecilia. Międzynarodowa kariera pianisty stała przed nim otwartą – ostatecznie wybrał jednak biomedycynę, co pozwoliło mu uratować wiele milionów istnień. Jednocześnie nie porzucił marzeń o sztuce i muzyce, jako znawca malarstwa kolekcjonował obrazy, grywał na

fortepianie, komponował własne utwory, pisał wiersze oraz nowele.

W 1939 r. wraz z żoną Ireną – lekarką i cytologiem – opuścił Polskę. Zamieszkali we Włoszech. Następnie przez Hiszpanię oraz Portugalię wyemigrowali do Brazylii, gdzie Hilary Koprowski znalazł zatrudnienie w Laboratorium Żółtej Febry Fundacji Rockefellera. Przez cztery lata naukowiec z Polski pracował w Rio de Janeiro nad szczepionką przeciwko żółtej febrze.

Od 1944 r. mieszkał w Stanach Zjednoczonych. W Laboratorium Lederle w Pearl River w stanie Nowy Jork rozpoczął pracę nad szczepionką przeciwko poliomyelitis. Jako jeden z ostatnich badaczy należał do prestiżowego grona „klubu pasteurowskiego”, jak nazywano największych wakcynologów zajmujących się opracowywaniem nowych generacji szczepionek. Odnosił sukces i opracował pierwszą na świecie skuteczną szczepionkę przeciwko polio. Było to możliwe dzięki odkryciu gospodarza dla wirusa – szczura bawelnianego. Pochodzącemu z Polski naukowcowi udało się uzyskać osłabionego, lecz wciąż żywego wirusa. W 1949 r. posłużył on do produkcji pierwszych dawek szczepionek. – Pierwszą szczepionkę wypiliśmy technik i ja,



Hilary Koprowski, dyrektor Instytutu Wistar (w środku), przyjmując szczepionkę przeciwko wścieklźnie

FOT. THE WISTAR INSTITUTE/WISTAR ARCHIVE COLLECTION

ale trzeba być fair: mieliśmy przeciwciała. Chcieliśmy jednak wypróbować, czy ta szczepionka nie wywołuje efektów ubocznych – opowiadał prof. Koprowski podczas uroczystości przyznania mu tytułu doktora honoris causa SGGW w 2008 r. Udało się! Skutków ubocznych nie stwierdzono.

Pierwszy raz szczepionkę opracowaną przez Koprowskiego podano 27 lutego 1950 r. grupie 20 dzieci w Letchworth Village. Znów odnotowano sukces. Żadne z zaszczepionych dzieci nie zachorowało na polio, a w ich organizmach stwierdzono pożądane przeciwciała. Pierwszą akcję szczepień na masową skalę przeprowadzono osiem lat później w Kongu. Wygodna, doustna forma jej podawania sprawiła, że w krótkim czasie udało się zaszczepić ćwierć miliona dzieci i niemowląt. Szczepionka kolejny raz okazała się skuteczna i bezpieczna.

DAR DLA DZIECI OD POLSKIEGO PROFESORA

W połowie ubiegłego stulecia z epidemią polio zmagali się również polscy rodzice i lekarze. W 1959 r. prof. Koprowski zorganizował przekazanie przez firmę Wyeth za darmo do Polski ok. 9 mln dawek szczepionki. Akcja zaszczepienia 7,3 mln polskich dzieci przyniosła spektakularny efekt. Liczba zachorowań na chorobę Heinego-Medina spadła z niemal 6 tys. w roku 1958 do zaledwie 35 pięć lat później. Liczba zgonów zmalała zaś w tym okresie ze 111 do dwóch. Dalsze skuteczne szczepienia pozwoliły całkowicie opanować epidemię w Polsce oraz Europie i sprawić, że w 2001 r. Światowa Organizacja Zdrowia uznała Europę za wolną od polio.

Profesor Koprowski nie spoczął na laurach. Jego dorobek naukowy obejmuje

niemal 900 publikacji, z których wiele uznawanych jest za kluczowe dla rozwoju biomedycyny. Opracował również modyfikację szczepionki Pasteura przeciwko wścieklźnie, zwiększając jej efektywność i zmniejszając skutki uboczne. Szczepionka stosowana w postaci wstrzyknięć domięśniowych i podskórnych zastąpiła wersję Pasteura podawaną boleśnie pod skórę brzucha.

Od 1957 r. do 1991 r. naukowiec z Polski był dyrektorem Instytutu Wistara w Filadelfii, przyczyniając się do głębokiej reformy i głośnych sukcesów tej instytucji, do której Koprowski ściągał wielu wybitnych naukowców z różnych krajów świata, w tym z Polski. We współpracy z włoskim genetykiem Carlo M. Crocem zajmował się też m.in. immunogenetyką nowotworów. Immunolog z Polski dokonał też wielu ważnych odkryć w dziedzinie tzw. szczepionek jadalnych, a więc podawanych np. w pomidorach, szpinaku, tytoniu etc. Prowadził badania m.in. nad uzyskaniem w sałacie przeciwciał przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B.

Chociaż kierował amerykańskim instytutem i był profesorem na filadelfijskim Uniwersytecie Thomasa Jeffersona, a do tego na stałe mieszkał w Ameryce, do końca życia uważał się za Polaka pracującego za granicą. Był członkiem zagranicznym Polskiej Akademii Nauk. Konsekwentnie wspierał polskich naukowców i fundował stypendia dla młodych uczonych znad Wisły w czołowych amerykańskich instytutach badawczych. Profesor założył również Fundację im. Koprowskich, której misją jest wspomaganie nauki polskiej w dziedzinie podstawowych badań biologicznych i medycznych.

„Osiągnięcia w dziedzinie wirusologii i immunologii, znaczone setkami publi-

kacji naukowych, doktoratami honoris causa i prestiżowymi nagrodami, stawiają Pana w rzędzie najwybitniejszych współczesnych biologów na świecie. Choć większość Pańskiego życia upłynęła na emigracji, dawał Pan wyraz swojemu przywiązaniu do Ojczyzny. Dowodem tego było zapraszanie polskich badaczy i naukowców do odbycia praktyk i staży w kierowanych przez Pana instytucjach. Z myślą o rodakach stworzył Pan także fundację wspierającą polsko-amerykańską współpracę naukową” – tak w liście z okazji 90. urodzin profesora napisał prezydent Lech Kaczyński.

Za osiągnięcia naukowe, a zwłaszcza za uratowanie przed śmiercią i kalectwem wielu tysięcy polskich dzieci został odznaczony m.in. Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski, a także wyróżniony m.in. doktoratami honoris causa przyznanymi przez akademie medyczne w Poznaniu, Lublinie oraz w Warszawie, tytułem Honorowego Obywatela Warszawy, a także Kawalera Orderu Uśmiechu. Imię słynnego naukowca z Polski nosi też m.in. Gdański Park Naukowo-Technologiczny. Profesor Hilary Koprowski zmarł 11 kwietnia 2013 r. w Filadelfii w wieku 96 lat. „Był świetnym ojcem, oryginalnym i charyzmatycznym. To najwspanialszy człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałem” – powiedział po jego śmierci agencji Associated Press jego syn Christopher Koprowski.

W 2018 r., w setną rocznicę odzyskania przez Polskę niepodległości, prezydent Andrzej Duda odznaczył pośmiertnie prof. Koprowskiego Orderem Orła Białego.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Doustne szczepionki przeciw wirusowi polio podawano dzieciom na kostkach cukru FOT. WELLCOME COLLECTION

Bibliografia:

„Polio vaccine developer Koprowski dies”, Associated Press, 14.04.2013.

„Polski wkład w przyrodznawstwo i technikę. Słownik polskich i związanych z Polską odkrywców, wynalazców oraz pionierów nauk matematyczno-przyrodniczych i techniki”, t. 2, red. nauk. Bolesław Orłowski, Warszawa 2015.

„Stworzył szczepionkę przeciw polio, marzył o innej – przeciw głupocie”, Polskieradio.pl, 29.04.2013.

Chorąży M., „Profesor Hilary Koprowski (1916–2013)”, „NOWOTWORY Journal of Oncology” 2013; vol. 63, nr 63.

Koprowska I., „O moim życiu i medycynie. Wspomnienia”, Wydawnictwo Poznańskie 1998.

Koprowski H., „Wygrać każdy dzień”, Wydawnictwo Diana 1996.

Legocki A.B., „Hilary Koprowski (1916–2013)”, „Nauka” 2/2013, Biuro Upowszechniania i Promocji Nauki PAN.

Vaughan R., „Listen to the Music: The Life of Hilary Koprowski”, Springer 2000.



Piotr Włoczyk

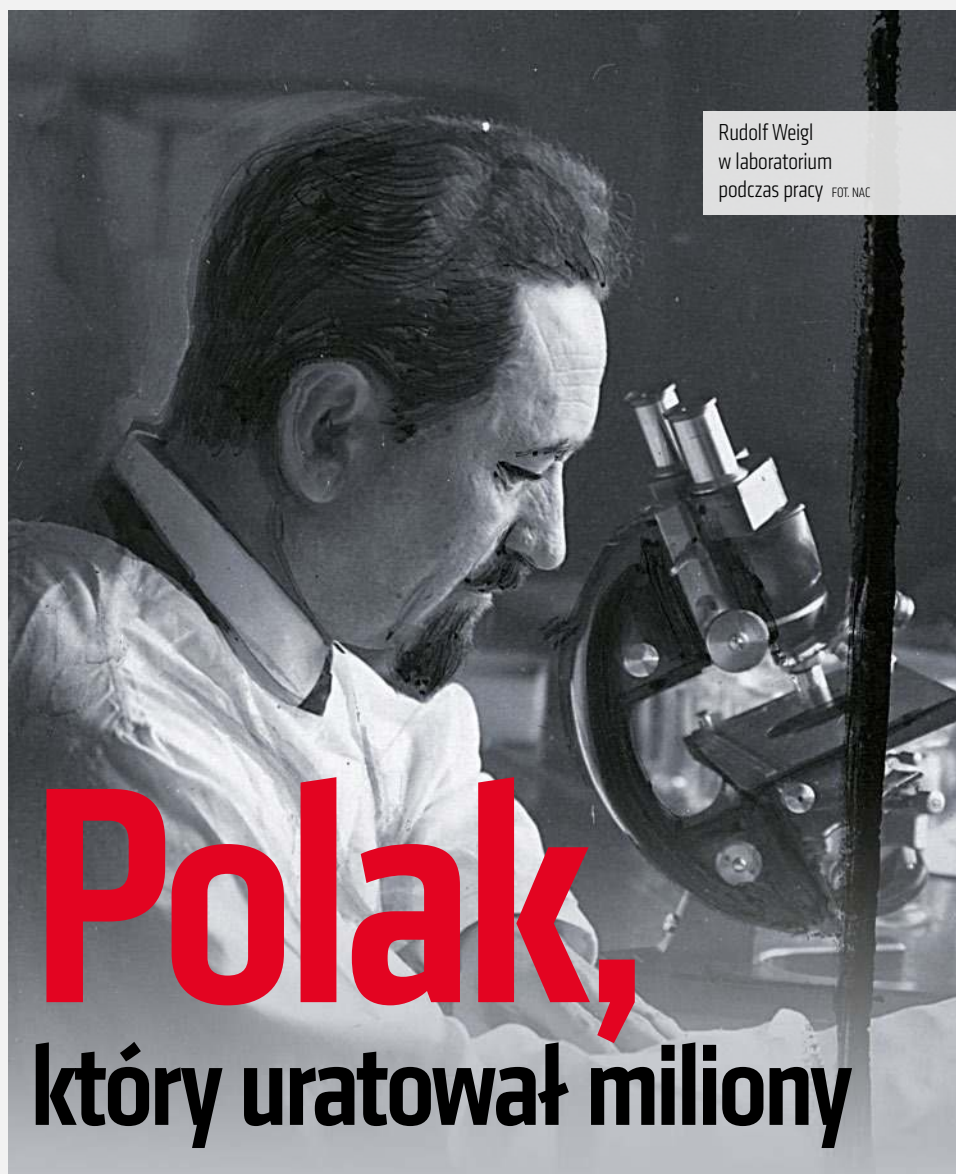
Profesor Rudolf Weigl jako pierwszy na świecie opracował skuteczną szczepionkę przeciw tyfusowi plamistemu. W czasie wojny ratował w swoim instytucie członków polskiego podziemia, a także nielegalnie przekazywał preparat Żydom zamkniętym w gettach

O jego względy zabiegali zarówno sowieccy, jak i niemieccy okupanci. Nikita Chruszczow, pełniący wówczas funkcję szefa partii komunistycznej na Ukrainie, nęcił prof. Weigla prestiżową posadą w Akademii Nauk w Moskwie. „Panie sekretarzu, nigdzie nie ma tak wspaniałych wszy jak we Lwowie, dlatego go nie opuszczę” – odpowiedział Chruszczowowi profesor.

Gdy w 1941 r. Niemcy zajęli miasto, instytut tyfusowy prof. Weigla odwiedził z kolei gen. Fritz Katzmann, dowódca SS i policji w Dystrykcie Galicji, snując przed pogromcą tyfusu wizję otwarcia w Berlinie wspaniałego instytutu jego własnego imienia. Jedynym warunkiem miało być wyrzeczenie się polskości i podpisanie reichslisty. Katzmann otrzymał dwuzdaniową odpowiedź: „Wybrałem ojczyznę w 1918 r. Raz jeden i na zawsze”.

Opracowana przez prof. Weigla metoda produkcji szczepionki z wszy bazowała na strukturze piramidy. Na samym dole znajdowali się hodowcy, którzy dbali o dobrostan wszy, m.in. czyszcząc ich klatki. Wyżej uplasowani byli karmiciele. Do ich nóg przywiązane były małe klatki pełne insektów, które piły krew. Jeszcze wyżej znajdowali się tzw. strzykacze i preparatorzy. Ci pierwsi zarażali wszy drobnoustrojami powodującymi tyfus (wstrzykiwano je pod mikroskopem do odbytnic tych insektów), a ci drudzy uzyskiwali z ich jelit preparat. Nad całą tą niesamowitą linią produkcyjną czuwał prof. Weigl. Szacuje się, że w czasie okupacji laboratorium prof. Weigla wyprodukowało szczepionki dla kilku milionów ludzi.

Ten ambitny biolog na samym początku swojej kariery naukowej wyznaczył

Rudolf Weigl
w laboratorium
podczas pracy FOT. NAC

Polak, który uratował miliony

sobie jasny cel: pokonanie choroby, która była zmurą ludzkości. W czasie powracających epidemii tyfusu śmiertelność wynosiła nawet 60 proc. Opracowana przez niego metoda była na tyle mało konwencjonalna, że początkowo najważniejsi eksperci w tej dziedzinie nie wiązali z nią jakichkolwiek nadziei. Do czasu.

„Weigl poinformował o swoim odkryciu dopiero wtedy, gdy w 1930 r. upewnił się, że jego szczepionka jest skuteczna – piszą Sławomir Koper i Tomasz Stańczyk w książce »Ostatnie lata polskiego Lwowa«. – Był to przełom w walce z tyfusem, a wynalazek lwowskiego uczonego natychmiast zaczęto stosować w wielu miejscach świata. Na prośbę pracujących w Chinach belgijskich misjonarzy katolickich, których dziesiątkował tyfus, profesor pomógł w zorganizowaniu tam akcji szczepień. Jego szczepionka umożli-

liwiła opanowanie sytuacji w koloniach francuskich w Afryce Północnej, a on sam wyjechał do Abisynii, gdzie skutecznie zwalczał epidemię tyfusu. W Polsce dzięki jego szczepionce niszczone ogniska tej choroby w Karpatach Wschodnich”.

POLAK Z WYBORU

Urodzony w 1883 r. w Przerowie na Morawach w niemiecko-austriackiej rodzinie Rudolf Weigl został Polakiem w sposób absolutnie przypadkowy. Jego ojciec zginął w tragicznym wypadku, gdy przyszły pogromca tyfusu miał zaledwie cztery lata. Matka wyszła w niedługim czasie za mąż za Polaka Józefa Trojnarę i rodzina przeniosła się do Galicji. Dzięki ojczymowi (nauczycielowi gimnazjalnemu) Weigl nasiąknął polskością. W 1907 r. skończył studia przyrodnicze na Uniwersytecie Lwowskim. Na począt-

ku pierwszej wojny światowej został wcielony do wojska austro-węgierskiego jako parazytolog (ekspert ds. zwalczania pasożytów). I to właśnie wówczas wziął pod lupę wszy zarażające żołnierzy śmiertelnie groźnym tyfusem plamistym.

W odrodzonej Polsce objął profesurę w Katedrze Biologii Ogólnej na Uniwersytecie Lwowskim i pełną parą zaczął badania nad efektywną metodą pozyskiwania szczepionki przeciw tyfusowi. Profesor Weigl tyfus poznał nie tylko od strony teoretycznej. W czasie badań skaleczył się i zaraził się chorobą, bardzo ciężko ją przechodząc. Wynalezienie szczepionki sprawiło, że lwowski biolog stał się prawdziwą gwiazdą w środowisku naukowym. „Bakteriologowie europejscy, daremnie głowiący się nad tym, zjeżdżają dziś do skromnej pracowni Weigla, podziwiając okoliczności, wśród jakich zdołał osiągnąć rezultat tak wspaniały” – zachwycił się „Kurier Poznański”.

W dwudziestoleciu międzywojennym prof. Weigl nominowany był wielokrotnie do Nagrody Nobla, ale nigdy nie spotkał go ten zaszczyt. Charles Nicolle, francuski bakteriolog, laureat Nagrody Nobla w 1928 r. za odkrycie, że to wszy przenoszą tyfus, podkreślał, że jego odkrycie błędnie przy osiągnięciu lwowskiego biologa. W 1932 r. Nicolle – który sam bezskutecznie starał się opracować szczepionkę przeciw tyfusowi – przybył do Lwowa, by przyjrzeć się procesowi produkcji szczepionki. Powiedział wówczas polskiej prasie: „Weigl uratował życie tysiącom ludzi. Jest to człowiek, który zasługuje na najwyższe uznanie, jako pierwszorzędną głowę, niezmordowany pracownik, jako fanatyk nauki”.

Po wybuchu wojny popyt na preparat wytwarzany przez prof. Weigla znacząco wzrósł. Szczególnie Niemcy panicznie bali się tyfusu i robili wszystko, by lwowski zakład miał jak najlepsze warunki do pracy. Profesor Weigl wykorzystywał ten „parasol ochronny” i udzielał pomocy zagrożonym członkom podziemia, zatrudniając ich w swoim instytucie w charakterze karmicieli wszy. Ignorując nazistowskie zarządzenia, pogromca tyfusu przekazywał tysiące dawek szczepionki do getta, gdzie choroba ta zbierała straszliwe żniwo. Szczepionki Weigla nie tylko były przemycane do getta we Lwowie, lecz także trafiały do największego getta, jakie stworzyli Niemcy – do Warszawy.

„Wszy tak gęsto pokrywały głowy niezliczonych dzieci ulicy, że tworzyły

W dwudziestoleciu międzywojennym prof. Weigl nominowany był wielokrotnie do Nagrody Nobla, ale nigdy nie spotkał go ten zaszczyt

jakby lśniące hełmy i praktycznie zjadały swe ofiary żywcem. Co miesiąc w getcie umierały tysiące ludzi. Żydzi z warszawskiego getta, wbrew naciskom niemieckich lekarzy, woleli żyć. Skoro nie mogli uciec, szukali jedynej znanej ochrony przed tyfusem: szczepionki Weigla” – pisze Arthur Allen w książce „Fantastyczne laboratorium doktora Weigla”. Już w listopadzie 1940 r. był to towar niezwykle pożądanym na czarnym rynku, a sam Weigl stał się jedną z najbardziej podziwianych w getcie postaci. W ciągu następnego półtora roku różnymi drogami za mury



Laboranci podczas karmienia zakażonych wszy w pracowni badań nad dudem plamistym prof. Rudolfa Weigla FOT. NAC



Weigl ze współpracownikami z Instytutu Zoologii we Lwowie

FOT. ARCHIWUM MUZEUM I INSTYTUTU ZOOLOGII PAN

przeszmuglowano co najmniej trzydzieści tysięcy dawek szczepionki, czasami w sposób wymagający bohaterstwa, czasami po prostu za łapówkę”.

AKCJA „TYFUSY”

Szczepionki ze Lwowa odegrały też swoją rolę na warszawskim Pawiaku – w więzieniu gestapo, gdzie przetrzymywano wielu członków polskiego podziemia. W drugiej połowie 1941 r. Polacy zorganizowali tam brawurową akcję „Tyfusy”.

– Wykorzystywano w tym celu szczepionki przeciwtyfusowe prof. Rudolfa Weigla oraz wszy zarażone tą chorobą. Oba materiały przemycano na Pawiak – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” Robert Hasselbusch, historyk z Muzeum Więzienia Pawiak. – Plan był prosty: wzywano więźnia na konsultację lekarską, szczepiono go przeciw tyfusowi, a następnie zarażano go tą chorobą. Nie groziła mu już śmierć, ale jednak wykazywał objawy choroby. Niemieckie funkcjonariusze z Pawiaka bali się tyfusu i wybuchu epidemii na terenie więzienia. Do początku 1942 r. zezwalali, aby zakażonego więźnia przewieźć do szpitala „wolnościowego”. Naturalnie z placówki mieszczącej się poza gettem łatwiej było odbić więźnia niż z Pawiaka.

„Nie zważając na swoją światową sławę – wspominał prof. Zbigniew Stuchly, biolog, który był współpracownikiem prof. Weigla – był wyjątkowo skromny. Prostotą i naturalnością zyskiwał sobie szacunek i sympatię. Do wszystkich odnosił się życzliwie, zarówno do naukowego pracownika, jak i sanitariuszki, dla każdego miał zrozumienie, każdemu starał się pomóc, zwłaszcza w ciężkich czasach okupacji niemieckiej. Dziesiątki profesorów i docentów, przeszło tysiąc studentów wyższych, zamkniętych przez Niemców szkół i uczelni, znalazło w pracowni Weigla pracę przy wyrobie szczepionki, a to dawało kartę żywnościową i świadectwo pracy – »Ausweis« – chroniący od wywozu na roboty do Reichu”.

Profesor Rudolf Weigl zmarł w 1957 r. w wieku 73 lat. W 2003 r. instytut Yad Vashem przyznał mu pośmiertnie medal Sprawiedliwego wśród Narodów Świata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Allen A., „Fantastyczne laboratorium doktora Weigla”, Wydawnictwo Czarne 2016.

Koper S., Stańczyk T., „Ostatnie lata polskiego Lwowa”, Fronda 2019.

Urbanek M., „Profesor Weigl i karmiciele wszy”, Wydawnictwo Iskry 2018.

Polski obrońca noworodków

Wojciech Simon

Ludwik Hirszfeld przeszedł do historii jako twórca polskiej szkoły immunologicznej oraz zupełnie nowej dziedziny nauki – seroantropologii. Jego odkrycia uratowały życie wielu noworodkom. Za wyjaśnienie zagadki zjawiska konfliktu serologicznego między matką a płodem w 1950 r. był nominowany do Nagrody Nobla w dziedzinie medycyny

Urodzony w 1884 r. w Warszawie Ludwik Hirszfeld studiował medycynę w Würzburgu i Berlinie. Jako 30-latek uzyskał doktorat za prekursorskie badania nad krzepliwością krwi. Utalentowany polski bakteriolog i immunolog pracował w Instytucie Badań Raka w Heidelbergu oraz w Zakładzie Higieny uniwersytetu w Zurychu.

PRAWA KRWI

Przeszedł do historii jako twórca polskiej szkoły immunologicznej oraz zupełnie nowej dziedziny nauki – seroantropologii. I chociaż grupy krwi oznaczył w 1901 r. austriacki badacz Karl Landsteiner, to właśnie Ludwik Hirszfeld – pracując w latach 1907–1911 razem z Emilem von Dungernem w Zurychu – wprowadził znane do dzisiaj oznaczenie: A, B, AB oraz 0 (początkowo było to literka „O”, a nie „zero”), które w 1928 r. zostało przyjęte przez Komitet Higieny Ligi Narodów i rozpowszechnione na całym świecie. „O” było skrótem od „ohne”, czyli z niemieckiego „bez”, co oznaczało grupę krwi bez antygenów. Badacze odkryli także, że grupa krwi nie zmienia się przez całe życie, a także opisali prawa dotyczące dziedziczenia grupy krwi.

W czasie pierwszej wojny światowej Ludwik Hirszfeld wraz z żoną pojechał jako ochotnik do Serbii, gdzie z sukcesem walczył z dudem płamistym. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości małżeństwo powróciło do Warszawy. Hirszfeld, który mógł z powodzeniem pracować na zagranicznych uczelniach, decyzję tę tłumaczył prosto: „W ojczyźnie ma się i przeszłość, i przyszłość, na obczyźnie – tylko teraźniejszość”.

Od 1920 r. pracował w Państwowym Zakładzie Badania Surowic i współtworzył słynny Państwowy Instytut Higieny w Warszawie, którym kierował od 1924 do 1939 r. Podczas drugiej wojny światowej zorganizował w stolicy ośrodek przetaczania krwi. Gdy Niemcy weszli do Warszawy, został zmuszony do przeprowadzki do getta, gdzie leczył chorych na tyfus płamisty dzięki szczepionkom przekazanych przez Rudolfa Weigla. W lipcu 1942 r. zdołał uciec z getta, a następnie ukrywał się w podwarszawskich miejscowościach.

Słynny polski badacz oznaczył również czynnik Rh – i wymógł oznaczanie czynnika Rh podczas badania krwi – oraz odkrył przyczynę konfliktu serologicznego. Jego prace uratowały więc życie wielu noworodkom w Polsce i na całym świecie. W 1947 r. Hirszfeld opracował zaś zasady pierwszej w Polsce transfuzji krwi u niemowlęcia z konfliktem serologicznym. Wraz z żoną Hanną analizował także dane dotyczące różnic statystycznych w częstości występowania grup krwi w populacjach pochodzących z różnych obszarów geograficznych.

Podczas swojej pracy naukowej odkrył kilka gatunków nowych bakterii, a także skonstruował wiele nowych urządzeń laboratoryjnych. Wniósł też ogromny wkład w prace nad produkcją nowych surowic i szczepionek. Ludwik Hirszfeld prowadził również badania naukowe nad błonicą, paciorkowcami oraz chorobami zakaźnymi dzieci.

W 1932 r. wygłosił tezę o znaczeniu antygenów nowotworowych, co znacząco ułatwiło prace nad sposobami leczenia raka i zapobiegania nowotworom.



Ludwik Hirszfeld, który mógł pracować na zagranicznych uczelniach, tłumaczył: „W ojczyźnie ma się i przeszłość, i przyszłość, na obczyźnie – tylko teraźniejszość” FOT. NAC

Po drugiej wojnie światowej brał udział w pracach nad powstaniem lubelskiego Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, a następnie wraz z żoną przeprowadził się do Wrocławia, gdzie został dziekanem wydziału lekarskiego miejscowego uniwersytetu. Skupiał się głównie na dydaktyce. W 1952 r. utworzył we Wrocławiu Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej.

USTALENIE OJCOSTWA

Dorobek znakomitego polskiego badacza liczy niemal 400 prac naukowych, z których wiele wniosków do dziś ma ogromne znaczenie w biologii i medycynie. Przez wiele dekad zasady dziedziczenia grupy krwi opisane przez Hirszfelda wykorzystywano również na salach sądowych w procesach o ustalenie nieślubnego ojcostwa (obecnie wykorzystuje się w tym celu badania genetyczne).

W 1930 r. Karl Landsteiner za swoje odkrycie grup krwi otrzymał Nagrodę Nobla. Do prestiżowego wyróżnienia w 1950 r. – za wyjaśnienie zagadki zjawiska konfliktu serologicznego między matką a płodem – nominowany był również Ludwik Hirszfeld. Nagrody Nobla jednak nigdy nie otrzymał. Za wybitne zasługi w pracy naukowej został jednak odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Umarł na zawał serca w 1954 r.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Gromulska M., „Ludwik Hirszfeld w Państwowym Zakładzie Higieny”,

„Przegląd Epidemiologiczny” nr 68/2014.

Hirszfeld L., „Historia jednego życia”, Wydawnictwo Literackie 2011.

Wielka Encyklopedia PWN. Tom 11. Wydawnictwo Naukowe PWN 2002.

Polak, który wyprzedził Freuda

Wojciech Simon

Lekarz, naukowiec, publicysta, społecznik i jeden z najwybitniejszych światowych fizjologów XIX w. Do historii przeszedł jako jeden z twórców endokrynologii i współodkrywcza adrenaliny. Jako jeden z pierwszych na świecie zmierzył też aktywność elektryczną mózgu. Za swoje badania aż trzykrotnie był nominowany do Nagrody Nobla

Urodzony 14 września 1854 r. Napoleon Cybulski pochodził z Wileńszczyzny. Studia z wyróżnieniem skończył w Petersburgu, a na Uniwersytecie Jagiellońskim stworzył tak prężny ośrodek światowej fizjologii, że wprost mówiono wówczas o krakowskiej szkole fizjologicznej. W tym gronie były tak wybitne postacie jak Adolf Beck, Władysław Szymonowicz, Aleksander Rosner czy Stanisław Maziarski.

FOTOHEMOTACHOMETR I MIKROKALORYMETR

Jako jeden z pierwszych na świecie zastosował rejestrację fotograficzną do mierzenia szybkości przepływu krwi w naczyniach krwionośnych i uczynił to przy zastosowaniu przyrządu własnej konstrukcji o nazwie fotohemotachometr. Stosowana przez niego metoda pozwalała nie tylko na oznaczenie średniej szybkości w tętnicach i żyłach, lecz także „szybkości zmiennej w czasie każdej z faz czynności serca”. Dokonane przez polskiego naukowca odkrycia przyczyniły się do kolejnych badań nad ciśnieniem krwi tętniczej. Cybulski wynalazł również mikrokalorymetr, a więc przyrząd do mierzenia ilości ciepła wytwarzanego przez mięśnie.

W 1890 r. jako jeden z pierwszych na świecie zmierzył też aktywność elektryczną mózgu, otrzymując zapis bioelektrycznej aktywności (EEG) kory



Najważniejszym odkryciem Napoleona Cybulskiego było odkrycie w 1895 r. hormonów rdzenia nadnerczy FOT. NAC

mózgowej. Jako pionier elektroencefalografii wraz z Adolfem Beckiem zlokalizował w mózgu okolice czuciowe, przeprowadzając eksperymenty m.in. na psach i królikach. Jak zauważył Beck we wspomnieniach wydanych po śmierci prof. Cybulskiego, badacz ten budził ogromny podziw, ponieważ „przez szereg lat nie tylko opracowywał i zdobyczami zasilał różnorodne działy fizjologii, ale nawet i pokrewne nauki, jak: anatomię mikroskopową, patologię doświadczalną i inne przez znaczne prace wzbogacał”.

ODKRYCIE ADRENALINY

Najważniejszym odkryciem polskiego naukowca było jednak odkrycie w 1895 r. hormonów rdzenia nadnerczy. Wraz z uczniem Władysławem Szymonowiczem zdołał otrzymać nadnerczynę, a więc wyciąg z kory nadnerczy. Zawierał on m.in. adrenalinę – termin ten wprowadził do języka kilkanaście lat później japoński naukowiec Jōkichi Takamine – nazywaną dzisiaj również hormonem strachu, walki i ucieczki lub po prostu hormonem stresu. Odkrycie Cybulskiego i Szymonowicza w znacznym stopniu przyczyniło się do rozwoju endokrynologii. W czasach, gdy powszechnie sądzono, że za reakcje w organizmie odpowiada tylko układ nerwowy, polscy naukowcy

udowodnili, że ogólnoustrojową reakcję wywołuje substancja wydzielana przez nadnercza.

BADANIA NAD HIPNOZĄ

Napisał ok. 90 prac naukowych. Wydał także podręcznik „Fizjologia człowieka”. Wyprzedził również Freuda, formułując w książce „O hypnotyzmie ze stanowiska fizjologicznego” tezy dotyczące koncepcji nieświadomości. W 1910 r. jako pierwszy w Polsce – we współpracy ze swoim uczniem – uzyskał zapis pracy serca za pomocą wykresu EKG. Aby zapewnić rodzinie godne utrzymanie, łączył obowiązki profesorskie z prowadzeniem prywatnej praktyki stomatologicznej. Jednocześnie interesował się teatrem, uwielbiał kabaret i regularnie grywał na wiolonczeli.

Był aż trzykrotnie nominowany do Nagrody Nobla: w latach 1911, 1914 oraz 1918. Niestety, nigdy jej nie otrzymał. Polska Akademia Umiejętności przyznała mu jednak prestiżową Nagrodę im. Erazma i Anny Jerzmanowskich, której wartość pieniężna odpowiadała 12 kg złota. Przeliczając to na dzisiejszą wartość złotego kruszcu, wybitny naukowiec otrzymał równowartość ok. 3 mln zł.

Jako publicysta wielokrotnie zajmował się problemami ludności w Galicji. Opowiadał się również za kształceniem – również na poziomie wyższym – kobiet. Nie ograniczał się zresztą tylko do pisania, lecz wraz z Odo Bujwidem założył także w Krakowie pierwsze żeńskie gimnazjum.

Zmarł nagle na udar mózgu 26 kwietnia 1919 r. w swoim gabinecie w Zakładzie Fizjologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. W 1936 r. został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

Beck A., „Prof. Napoleon Cybulski: wspomnienie pośmiertne i ocena działalności naukowej”, odbitka z „Gazety Lekarskiej” 1919.

Dobroczyński B., „Idea nieświadomości w polskiej myśli psychologicznej przed Freudem”, Universitas 2005.

Ilkowiecki M., „Dzieje nauki polskiej”, Wydawnictwo Interpress 1981.

Mateja A., „Recepta na adrenalinę. Napoleon Cybulski i krakowska szkoła fizjologów”, Wydawnictwo Czarne 2019.

Odkrywca witamin

Wojciech Simon

Polski biochemik w XX w. dokonał tak istotnego przełomu w badaniach, że zapoczątkował zupełnie nową erę w medycynie. Jego odkrycia dały również początek nauce o żywieniu. Kazimierz Funk, autor kilkuset publikacji naukowych, aż cztery razy był nominowany do Nagrody Nobla



Kazimierz Funk FOT. MUSEU DO UNIVERSO DA FARMÁCIA

Urodzony w 1884 r. w lekarskiej rodzinie zapisał się na kartach historii jako światowej sławy twórca nauki o jednych z ważniejszych dla zdrowia człowieka składników odżywczych: witaminach. Absolwent warszawskiego liceum (maturę zdał jako 16-latek), student biologii w Genewie oraz chemii w Bernie, po odebraniu dyplomu szwajcarskiej uczelni wyższej wyjechał do Paryża, gdzie w roku 1904 podjął pracę w Instytucie Pasteura w Paryżu. Swoje badania naukowe prowadził również na Uniwersytecie Berlińskim. W 1910 r. przeniósł się do londyńskiego Instytutu Medycyny Zapobiegawczej Listera. To właśnie tam 27-latek z doktoratem z biologii dokonał jednego z największych odkryć w historii medycyny. Przez wiele miesięcy badał otręby ryżowe, aż w końcu – w 1911 r. – udało mu się wyodrębnić życiodajny składnik znany dziś jako witamina B1.

BLISKO NOBLA

Kazimierz Funk nazwał otrzymany związek witaminą, tworząc nowy termin z połączenia łacińskich słów „vita” – życie oraz „amine” – związki chemiczne zawierające grupę aminową. Zarówno same odkrycie, jak i wymyślona przez Funka nazwa były na tyle przełomowe, że początkowo szefowie polskiego naukowca nie zgadzali się na proponowane przez niego nazewnictwo. Z tego powodu „witaminy” po raz pierwszy pojawiły się na łamach międzynarodowej literatury medycznej dopiero dwa lata po ich odkryciu przez Polaka. Kazimierz Funk wykorzystał

swoje odkrycie do leczenia wielu groźnych schorzeń, w tym awitaminozy. Szybko zdał sobie bowiem sprawę z tego, że to właśnie niedobory witamin prowadzą do beri-beri, szkorbutu, krzywicy, anemii, celiakii czy pelagry. Nie było to wcale takie oczywiste, ponieważ na początku XX w. wielu naukowców i lekarzy było wciąż przekonanych, że choroby wywołują bakterie i wirusy. Polak udowodnił zaś, że przyczyną dolegliwości może być również wynikający ze złej diety niedobór życiodajnych substancji.

Opublikowana po niemiecku w 1914 r. praca „Die Vitamine” szybko zyskała miano rewolucyjnej i została przetłumaczona na wiele języków. Polski naukowiec odrzucił jednak niemiecką propozycję przyjęcia obywatelstwa Niemiec w zamian za istotne ułatwienie dalszej kariery naukowej. Uzdolniony polski patriota robił zresztą ogromne wrażenie nie tylko w Berlinie. Aż czterokrotnie nominowano go do Nagrody Nobla. Dwukrotnie – w latach 1914 i 1925 – w dziedzinie fizjologii lub medycyny, a także dwukrotnie – w latach 1926 i 1946 – w dziedzinie chemii. Tego wyróżnienia nigdy jednak nie otrzymał.

W 1923 r. Kazimierz Funk powrócił do Warszawy. W nowo utworzonym Państwowym Zakładzie Higieny kierował wydziałem biochemii i prowadził badania nad hormonami, których najważniejszym celem było wyizolowanie insuliny. Za własne pieniądze kupił aparaturę do produkcji tego hormonu z trzustki bydłowej. Między innymi z tego powodu Polska stała się przed wojną trzecim na świecie producen-

tem insuliny. W 1927 r. przeniósł się do Francji, gdzie udało mu się wyodrębnić m.in. witaminę B3 (kwas nikotynowy), odpowiedzialną za prawidłowe funkcjonowanie układu nerwowego oraz hormonalnego. Prowadząc badania nad hormonami, doprowadził także do wyizolowania androsteronu oraz odkrycia właściwości estrogeny i testosteronu.

EMIGRACJA DO USA

Po wybuchu drugiej wojny światowej wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie kontynuował badania nad witaminami. Dowiedział m.in., że witaminy przyjmowane w odpowiednich dawkach mogą podnosić odporność organizmu. Opisywał również możliwości zastosowania w medycynie hormonów oraz insuliny. Pod koniec życia prowadził także badania nad przyczynami powstawania chorób nowotworowych.

Był również prekursorem nauki o właściwym odżywianiu, znaczeniu zbilansowanej diety oraz aktywności fizycznej. Aż do śmierci robił, co mógł, aby zostawić po sobie jak najwięcej narzędzi do zapobiegania chorobom. Dzięki niemu ludzkości udało się uporać z wieloma schorzeniami uważanymi wcześniej za nieuleczalne.

Polskiego naukowca uważa się również za współtwórcę wielu działów medycyny, takich jak farmakologia czy endokrynologia. Od 1995 r. Polski Instytut Naukowy w Ameryce (PIASA) wręcza co roku Nagrodę im. Kazimierza Funka. Przyznawana jest wybitnym naukowcom polskiego pochodzenia. A jednym z jej laureatów był prof. Hilary Koprowski (czytaj więcej na s. VIII–IX).

Zmarł na raka 19 listopada 1967 r. w Albany w stanie Nowy Jork. Miał 83 lata.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- Grimmer P., „Casimir Funk – a biographical sketch (1884–1967)”, „The Journal of Nutrition” 1972, Vol. 102, No. 9.
- Harrow B., „Casimir Funk – Pioneer in Vitamins and Hormones”, New York 1955.
- Howiecki M., „Dzieje nauki polskiej”, Wydawnictwo Interpress, Warszawa 1981.
- Spedding S., „Vitamins are more Funky than Casimir thought”, „Australasian Medical Journal” 2013.

Mistrzowie z Polski



Jacek Przybylski

Wiesław Jędrzejczak, Kazimierz Kobus, Tadeusz Koszarowski, Zbigniew Religa, Maria Siemionow, Henryk Skarżyński, Paweł Tabakow, Mirosław Ząbek i Marian Zembała...
To tylko niektóre nazwiska genialnych współczesnych lekarzy z Polski, których osiągnięcia w medycynie zna cały świat

Polska od wieków jest ważnym ośrodkiem na mapie przełomowych odkryć w światowej medycynie. Również w ostatnich dekadach XX i pierwszych XXI w. genialni lekarze z naszego kraju osiągnęli sukcesy, które pozwoliły im trwale zapisać się na kartach historii i pierwszych stronach światowych gazet.

WIESŁAW JĘDRZEJCZAK

Ceniony hematolog, autor lub współautor 30 książek (np. „Zagadka tworzenia krwi”), ponad 300 prac naukowych i wielu tekstów prasowych.

W listopadzie 1984 r., wraz z zespołem lekarzy z Wojskowej Akademii Medycznej, przeprowadził pierwszy w Polsce udany przeszczep szpiku kostnego od dawcy rodzinnego. Sukces był tym większy, że z powodu braku odpowiedniego sprzętu pobieranie szpiku lekarz trenował na pluszowym misiu, a do filtrowania szpiku wykorzystano filtry z sokowirówki.

Przeszczep był drugim na świecie zabiegiem, który wykonano u osoby cierpiącej na chorobę Diamonda-Blackfana, która wywołana jest wrodzonym brakiem krwinek czerwonych. Wiesław Jędrzejczak dokonał w ten sposób rewolucji w polskiej medycynie. I wcale na tym nie skończył. W 1985 r. przeprowadził pierwsze w Polsce przeszczepienie szpiku

autologicznego (przeprowadzanego przy użyciu własnych komórek chorego). Profesor Jędrzejczak w 1993 r. otrzymał Nagrodę Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, a w 2003 r. – Medal Jędrzeja Śniadeckiego Polskiej Akademii Nauk. W 2003 r. kierowanemu przez niego zespołowi jako drugiemu na świecie udało się też przeszczepić krew pępowinową od dwóch dawców. To m.in. dzięki prof. Jędrzejczakowi oraz prof. Jerzemu Hołowieckiemu – który w 1997 r. przeprowadził pierwszy w Polsce przeszczep szpiku od dawcy niespokrewnionego – Polska jest obecnie na trzecim miejscu w Europie i piątym na świecie pod względem liczby zarejestrowanych potencjalnych dawców szpiku.

KAZIMIERZ KOBUS

Jeden z najlepszych polskich chirurgów plastycznych, wieloletni szef renomowanej Kliniki Chirurgii Plastycznej w Polanicy.

Współpracował tam z nestorem polskiej chirurgii plastycznej prof. Michałem Kraussem. Ośrodkiem w Polanicy prof. Kobus kierował od 1976 r., tworząc z niego jedną z najlepszych klinik chirurgii plastycznej nie tylko w Polsce, lecz także w Europie, zajmującą się m.in. korekcją wad wrodzonych, będących skutkiem chorób i operacji onkologicznych, wypadków etc. Rozwinął mikrochirurgię, opracował również nowe techniki operacji twarzy i czaszki. Operował w siedmiu krajach, stając za stołem operacyjnym m.in. w Trypolisie, Damaszk, Dubaju, Phenianie, a nawet w dalekim Niamey (stolicy Nigru). Wykształcił kilkunastu chirurgów. Ma w dorobku ponad 160 publikacji naukowych, jest też autorem m.in. „Atlasu chirurgii plastycznej”.



TADEUSZ KOSZAROWSKI

Twórca polskiej chirurgii onkologicznej urodził się w 1915 r. w Brazylii, w rodzinie emigrantów, którzy w roku 1920 powrócili do Polski. W 1939 r. ukończył studia na Wydziale Lekarskim na Uniwersytecie Józefa Piłsudskiego w Warszawie.



W czasie wojny walczył, leczył w Szpitalu Wolskim i prowadził działalność konspiracyjną. Przeżył Pawiak. W czasie powstania warszawskiego kierował szpitalem polowym na Pradze. Po zakończeniu wojny nadzorował odbudowę szpitali oraz m.in. Instytutu Radowego. W 1948 r. zainicjował działalność chirurgiczną w odbudowanym Instytucie przy ul. Wawelskiej. To właśnie Tadeusz Koszarowski jest autorem terminu „onkologia” w polskiej medycynie. Już w latach 50. napisał, że „onkologia to nauka o etiologii, patologii, epidemiologii, zapobieganiu i wczesnym wykrywaniu nowotworów złośliwych, skojarzonym leczeniu chorych na raka, opiece nad nieuleczalnie chorymi oraz organizacji walki z rakiem”. Od 1952 do 1972 r. był wicedyrektorem Instytutu Onkologii, a od 1953 do 1973 r. – konsultantem krajowym ds. onkologii. W latach 1962–1968 był prezesem Polskiego Towarzystwa Lekarskiego. Funkcję dyrektora Instytutu Onkologii sprawował od roku 1972 aż do 1985. Koszarowski jako pierwszy w Polsce zainicjował tzw. zabiegi oszczędzające pierś, wykonywane u chorych w niskim stopniu zaawansowania klinicznego. Doprowadził również do powstania w Warszawie dużego centrum onkologii. Wspierał także powstawanie i rozwój nowych specjalności onkologicznych. Zmarł w 2002 r.

ZBIGNIEW RELIGA

Profesora od serca – urodzonego w 1938 r. w Miedniewicach, niedaleko Żyrardowa – znają wszystkie pokolenia Polaków. W 1985 r. w Śląskim Centrum Chorób Serca w Zabrze przeprowadził pierwszy w Polsce udany przeszczep serca. Operacja była przełomem nie tylko w polskiej medycynie.

Profesor Religa podejmował coraz trudniejsze zadania. Wśród jego niezwykłych dokonań trzeba zwrócić uwagę choćby na równoczesny przeszczep serca i płuca. W Instytucie Kardiologii w Warszawie jako pierwszy lekarz nad Wisłą zaczął wszczepiać pacjentom stymulatory serca.



Jednocześnie usilnie pracował nad stworzeniem sztucznego serca. W 1991 r. stworzył prototyp sztucznego serca i zastawki biologicznej. Leczył również przewlekłą zatorowość płucną. Założył Fundację Rozwoju Kardiologii. Za swoje zasługi Zbigniew Religa w 2008 r. został odznaczony Orderem Orła Białego. Zmarł w marcu 2009 r. na nowotwór płuc. Pierwszą pulsacyjną protezę serca – Religa Heart XT – wszepił pomyślnie pacjentowi ze skrajną niewydolnością serca syn profesorowi, dr med. Grzegorz Religa, w roku 2013.

MARIA SIEMIONOW

Wybitna polska chirurg plastyczna i transplantolog. Urodzona

w 1950 r. w Krotoszynie, ukończyła studia medyczne w Akademii Medycznej w Poznaniu. W 1985 r. wyemigrowała do USA i zaczęła pracę w największym na świecie centrum replantologii w Louisville w Kentucky, gdzie nauczyła się m.in. mikrochirurgii, a więc operowania pod mikroskopem operacyjnym z dużym powiększeniem. Tytuł naukowy profesora nadał jej prezydent Lech Kaczyński w roku 2007. W 2008 r. dokonała czwartej na świecie i pierwszej w USA udanej operacji przeszczepu twarzy. Operacja uznana za najbardziej rozległy jak dotąd przeszczep twarzy od zmarłej dawczyni kobiecie postrzelonej w twarz przez męża trwała aż 22 godziny i wymagała łączenia kości, mięśni, nerwów etc. Informacja o zabiegu oraz o prof. Siemionow trafiła na pierwsze strony gazet całego świata. Za ten wielki sukces w roku 2009 otrzymała od prezydenta RP Krzyż Komandorski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej.



HENRYK SKARŻYŃSKI

Profesor dr hab. n. med. dr h.c. multi to twórca i dyrektor Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu, światowej sławy otochirurg i specjalista z otorynolaryngologii, audiologii i foniatrii, który sprawił, że Polska stała się światową stolicą leczenia wad słuchu, częściowej i całkowitej głuchoty. Ze współczesnych polskich lekarzy to właśnie on jest zapewne najpoważniejszym kandydatem do Nagrody Nobla z dziedziny medycyny. Genialny polski profesor sprawił, że



w podwarszawskich Kajetanach wykonuje się obecnie najwięcej na świecie operacji poprawiających słuch. Przez 25 lat istnienia Instytutu Fizjologii i Patologii Słuchu dokonano w nim ponad pół miliona zabiegów chirurgicznych, wszczepiono też kilkanaście tysięcy różnego rodzaju implantów słuchowych. Najczęściej nagradzany polski lekarz ma na swoim koncie wiele rekordów. Jako pierwszy w Polsce wszczepił implanty: ślimakowy, do pnia mózgu, do ucha środkowego. W 2002 r. zoperował pierwszego na świecie pacjenta dorosłego z klasyczną częściową głuchotą, a w 2004 r. pierwsze na świecie dziecko z takim typem niedosłuchu.

Wiceprzewodniczący Komitetu Nauk Klinicznych PAN zajmuje niezwykle wysoką pozycję naukową we współczesnej literaturze medycznej. Na podstawie ponad 1,30 tys. przeprowadzonych przez siebie operacji pokazowych w różnych państwach i w Światowym Centrum Słuchu wydał monografię naukową poświęconą leczeniu częściowej głuchoty, jest autorem lub współautorem 17 rozdziałów w podręcznikach polsko- i angielskojęzycznych, ma też ponad 65 publikacji z tzw. listy filadelfijskiej.

PAWEŁ TABAKOW

Kierownik Katedry i Kliniki Neurochirurgii Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Wraz z młodym ambitnym zespołem jako pierwszy na świecie po nowatorskiej operacji postawił na nogi człowieka z przerwaniem rdzenia kręgowym, specjalną mikroigłą wstrzykując poniżej i powyżej uszkodzenia komórki glejowe. O udanej operacji pisał cały świat. Młody lekarz nie próżnuje. Czekając na kolejnych kandydatów do operacji, wszczepia również osobom z bólem kręgosłupa specjalne elektrody, które dają szansę na ulżenie w bólu. Ambitny młody lekarz ma w przyszłości szansę nawet na Nagrodę Nobla.



MIROŚLAW ZĄBEK

Jest neurochirurgiem, kierownikiem Kliniki Neurochirurgii i Urazów Układu Nerwowego Centrum Kształcenia. W 1981 r. ukończył studia medyczne na kierunku lekarskim na Akademii Medycznej w Warszawie. Wykonał ok. 3 tys. operacji tętniaków mózgu. Jako je-



den z niezliczonych na świecie przeprowadził serię operacji mózgu w krążeniu pozaustrojowym i głębokiej hipotermii. Pierwszy w tej części Europy, wspólnie z neurochirurgami z Francji, przeprowadził operację wszczepienia stymulatora mózgu w leczeniu dystonii, a także operację wszczepienia elektrod do głębokich struktur mózgu w zespole Tourette'a. Jest autorem ponad 140 prac oryginalnych ogłoszonych w piśmiennictwie krajowym i zagranicznym.

MARIAN ZEMBALA

Wybitny kardiolog i były minister zdrowia. Wspólnie z prof. Zbigniewem Religą oraz prof.



Andrzejem Bochenkiem współtworzył zabrzańską kardiologię i transplantologię. W 1985 r. asystował prof. Relidze przy pierwszej udanej transplantacji serca. W 1998 r. wykonał wraz z zespołem pierwszy w Polsce zabieg transplantacji pojedynczego płuca u chorej z krąćową postacią samoistnego włókniaka płuc. W 2001 r. przeprowadził pierwszy w Polsce udany przeszczep jednocześnie płuc oraz serca. Ratował serca noworodkom (wykonał udaną operację przeszczepu serca u ośmiomiesięcznego chłopca), wszczepił też by-passy 103-letniej wrocławiance. Zmarł w 2022 r. Miał 72 lata.

Autor ma świadomość, że zarówno w tym krótkim tekście, jak i w całym dodatku zabrakło nazwisk wielu wybitnych polskich lekarzy. Jednocześnie tak wielka liczba Polaków będących mistrzami światowej medycyny nie tylko cieszy, lecz także jest dowodem na to, jak ważne w historii i współcześnie były i są polskie odkrycia oraz osiągnięcia w medycynie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Bibliografia:

- <https://pokoleniew.pl/paweł-tabakow>
Jędrzejczak W., Wojteczek J., „Pozytywista do szpiku kości”, Studio Emka.
Kobus K., „Ze skalpelem po świecie”, UM Wrocław, Wrocław 2019.
Kortko D., Watola J., „Religa. Biografia najśłynniejszego polskiego kardiologa”, Warszawa 2014.
Koszarowski T., „Urywki wspomnień”, „Nowotwory”, Warszawa 2006.
Kubiński D., Zembala M., „Spotkania. Opowieść o wierze w człowieka”, Wydawnictwo Editio 2017.
Siemionow M., „Twarzą w twarz. Moja droga do pierwszego pełnego przeszczepu twarzy”, Wydawnictwo Znak.
Towpik E., Rozmowa z prof. dr. hab. med. Tadeuszem Koszarowskim, nestorem polskiej onkologii, „Nowotwory” 2000.
Towpik E., Tadeusz Koszarowski – wielka postać polskiej onkologii, „Postępy Nauk Medycznych” 2011.
Współcześni uczeni polscy. Słownik biograficzny, redaktor naukowy Janusz Kapuściński, Ośrodek Przetwarzania Informacji OPI, 2000.

STUDIO PRASOWE

Przedstawiciele różnych redakcji dyskutują
na ważne polityczne tematy, które elektryzowały
opinię publiczną w trakcie minionego tygodnia.

niedziela
10:06

zaprasza
Adrian Stankowski



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, w internecie na stronie www.tvrepublika.pl
oraz drogą naziemną w systemie DVB-T w Katowicach i okolicy oraz w systemie DVB-T2
w Warszawie na kanale 23, we Wrocławiu na kanale 41 i w Gdańsku na kanale 31.



Piotr Gociek

Niespodziewany hit ostatnich miesięcy w amerykańskich kinach – „Pies” to opowieść staromodna, niegłupia i wzruszająca

Jackson Briggs to równy chłopak. Roboty się nie boi, serce ma po właściwej stronie. Jest może trochę prostoduszny; wychowany na prowincji niezbyt dobrze czuje się w barach dla hipsterów w wielkim mieście. Jest żołnierzem (i to nie byle jakim – członkiem elitarnych Army Rangers, czyli specjalsów piechoty), więc przemądrzałe dziewczuszki w knajpach nazywają go pionkiem w rękach naftowych koncernów. Tymczasem wiemy od chwili, gdy zobaczymy go na ekranie, że tacy jak Briggs to sól ziemi. Dzięki takim jak on – nadstawiającym karku w niebezpiecznych misjach – hipsterzy z Portland mogą rozprawiać o wirtualnym piwie i popijać ekologiczne drinki.

Jeśli miałby być Briggs narzędziem, to trzeba odnotować, że jest to narzędzie zepsute. Trzy lata od ostatniej misji wciąż próbuje wrócić do aktywnej służby, jednak raporty medyczne są bezlitosne. Fizycznie wszystko z nim w porządku, ale z głową nie do końca. Na razie jedyne poważniejsze zadanie, na jakie może liczyć, to tydzień w drodze jako psi opiekun. Kumpel z dawnych lat (i dawnych wojskowych misji) właśnie pożegnał się z życiem. Rodzina chce, by na pogrzebie obecny był pies, który służył z Rileyem Rodriguezem. Psi weteran – suczka Lulu – cierpi na zespół stresu pourazowego, nie może lecieć samolotem. Briggs rusza więc w podróż samochodem – 500 mil do celu plus dotknięty głęboką traumą pasażer na tylnym siedzeniu.

NAJSŁABsze OGNIWA

Metafora jest czytelna: oboje wrócili z wojny mocno pokiereszowani. Tylko niektóre blizny widać na skórze; tylko niektóre rany się zabiłiły. Szalejące zwierzę uspokaja się jedynie po kolejnych porcjach tabletek. Ale i Briggs, by być w formie psychicznej, łyka piguły garściami. „W armii nie ma miejsca na jednostki, które są tylko ciężarem – mą-

Psi los



Jackson Briggs i suczka Lulu

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

drzy się Briggs, gadając do psa. – To właśnie nas od siebie różni”. Otóż nie. Nic ich nie różni. Droga na front jest przed nimi zamknięta nie z powodu decyzji nieczułych biurokratów czy przez złośliwość lekarzy. Chodzi o to, że dla towarzyszy broni byłoby właśnie ciężarem. Ryzykiem. Najślabszym ogniwnem. Koniec psiej męki jest bliski, rozkazy mówią, by po pogrzebie zawieźć Lulu do miejsca, gdzie zostanie uśpiona. A co z męką Briggsa?

Ciekawa jest historia tego filmu.

Wcielający się w rolę Jacksona Briggsa (i współreżyserujący) Channing Tatum opowiada w wywiadach o ostatniej podróży ze swoim psem, u którego zdiagnozowano raka. Bezradność, współczucie, miłość, godzenie się z losem. Pożegnanie. Wiele tych emocji znalazło odzwierciedlenie w scenariuszu, który napisał Reid Carolin, od lat dobry znajomy Tatum. Carolin to scenarzysta i producent „Magic Mike’a” (Tatum grał tu u Stevensa Soderbergha) oraz jego kontynuacji, a także współproducent kilku innych filmów z Tatumem („22th Jump Street”, „Świat w płomieniach”). Komediodramat zatytułowany po prostu „Pies” („Dog”) wyreżyserowali razem. Dla obu jest to debiut w takiej roli.

Myliłby się jednak ten, kto w związku z opisanymi wyżej inspiracjami szukał będzie w filmie elegii na psie odejście czy – nie daj Boże – rodzinnej rozrywki. „Pies” sytuuje się bardzo daleko od wszystkich tych komedijek o przyjaźni oraz współpracy zawodowej człowieka i zwierzęcia typu „K-9” z Jimem Belushim czy serialu „Komisarz Alex”. Carolin i Tatum serwują nam opowieść bardzo poważną. Zastanawiam się, czy można ten film nazwać antywojennym – tak, ale nie chodzi o zideologizowane przesłanie, wedle którego Ameryka ma nieustannie przepraszać za wszystkie toczzone przez siebie wojny i interwencje militarne. Refleksja jest głębsza – wojna zmienia wszystko, jest to często próba o charakterze niszczącym; ci, którzy wrócili i próbują dalej żyć sami, nie zdają sobie sprawy z tego, jak zostali odmienieni.

Najpierw wzruszający jest w tym filmie optymizm (ktoś powie: wyparcie) Briggsa, który nieodmiennie jest przekonany, że wszystko się samo ułoży, kiedy tylko znów trafi w miejsce, gdzie czuje się najlepiej – na misję. Potem poruszająca jest jego głęboka samotność, z której zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy w drugiej połowie filmu przyglą-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

damy się jego monologom wygłaszanym do psa i dziecinnej radości, gdy Lulu jakkolwiek zareaguje. Nie jest to samotność odludka, który ma do świata pretensje, żaden z Briggsa mizantrop, sam do końca nie zdaje sobie sprawy z tego, dlaczego jest osobny, przemielony, skrzywdzony. To też rozdziera serce – psy nie są obdarzone talentem do autorefleksji, ale człowiek jednak powinien poradzić sobie lepiej. Sympatycznemu wojakowi bardzo wiele czasu zajmie zrozumienie, że coś z nim jednak nie jest w porządku.

ZROZUMIENIE DLA WETERANÓW

W miarę, jak opowieść o wędrowce dwóch weteranów się rozwija, dostrzegamy kolejne warstwy. Briggs nie jest taki bezrefleksyjny, jak nam się zdawało. Gorzej – przemyslenia poprowadziły go w bardzo mroczne miejsce; poczekajcie na moment, kiedy w słoneczne sobotnie popołudnie, gadając z innym byłym żołnierzem, niechcący powie, co tak naprawdę gna go do kolejnej wyprawy na wojnę. Życie weterana łatwe nie jest, mało kto rozumie, przez co przeszedłeś, jak trudno wrócić do domu – mentalnie, nie fizycznie. Wpisuje się „Pies” pięknie w długą chwalebą tradycję upominania się przez amerykańskie kino o szacunek i zrozumienie dla weteranów, dla „naszych chłopców powracających zza morza”. Wspomnijmy arcydzieło tego podgatunku, którym był film „Najlepsze lata naszego życia” („The Best Years of Our Lives”, 1946) w reżyserii Williama Wylera, nagrodzony siedmioma Oscarami).

„Uczono nas dźwigać na barkach odpowiedzialność za cały świat, a najtrudniej zapukać nam do drzwi kolegi” – mówi jeden z bohaterów filmu, żałując, że nie zdołał pomóc w trudnej chwili przyjacielowi, który nie potrafił znaleźć dla siebie miejsca w starym-nowym życiu. Wojna zabiera ofiary jeszcze długo po jej zakończeniu. A im bliżej końca, tym mocniej wybrzmiewa uzasadniona pretensja: szkoliliście nas, by robić za was to, co trzeba było zrobić, a teraz nie interesuje was, co będzie z nami dalej. Losy psi i ludzki łączą się w jedno, dawni towarzysze broni mają tylko siebie. Dzieło duetu Carolin/Tatum pełne jest szacunku do munduru, do wysiłku tych, którzy na swoje sumienie biorą rzeczy najtrudniejsze.

Oto film bardzo staromodny, oto film, który idzie pod prąd współczesnych politycznych oskarżeń tak lekko rzucających we współczesny Hollywood, i oto film, który z tego powodu został z entuzjazmem przyjęty przez publiczność.

Nakręcony za 15 mln dol. (to w warunkach amerykańskich de facto budżet kina niezależnego) w trzy i pół miesiąca zarobił ponad 80 mln dol. – przebitka, o której marzą producenci największych hollywoodzkich hitów. Prosta opowieść o ważnych sprawach. Poszukajcie filmu „Pies” w serwisach streamingowych (w tej chwili oferuje go sześć z nich – od Cinemaxa przez Player, Polsat Box Go do Play Now). Ukazał się także na płytach DVD. Ja swojej kopii nie oddam.





FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Z miłości do kosza



★★★★★

REŻ. JEREMIAH ZAGAR

„RZUT ŻYCIA” („HUSTLE”)

USA 2022

wyst. Adam Sandler, Juancho Hernangómez, Queen Latifah, dystr. Netflix

Zamiast kolejnej typowej komedii z Adamem Sandlerem (ileż ich już było!) reżyser Jeremiah Zagar proponuje krzepiący dramat sportowy; coś w duchu „Rocky’ego”, tyle że ze świata zawodowej koszykówki. Stanley Sugerman (Sandler z brodą), starzejący się skaut drużyny NBA Philadelphia 76ers, przemierza świat w poszukiwaniu utalentowanych zawodników. Choć sam o sobie mówi: „Ludzie po pięćdziesiątce nie mają już marzeń, tylko koszmary i egzemy”, to tak naprawdę jedno wielkie marzenie wciąż pielęgnuje – chciałby zostać trenerem (no, przynajmniej asystentem trenera). Nowy (i antypatyczny) szef klubu składa mu obietnicę, której

oczywiście nie zamierza dotrzymać: „Znajdź mi nową wielką gwiazdę, to awansujesz”.

Tak na scenę wkracza Bo Cruz, wielce utalentowany młodzian z Hiszpanii, który wedle Sugermana może być objawieniem w NBA. Cruza gra zawodowy koszykarz Juancho Hernangómez, mistrz świata z drużyną Hiszpanii, zawodnik m.in. Boston Celtics, Minnesota Timberwolves i Utah Jazz. Sugerman bierze chłopaka pod opiekę i stara się wykrzesać z niego to, co najlepsze. Obaj jednak mają swoje demony do pokonania – a i świat NBA pokazuje swoje okrutne oblicze. Choć starzejący się skaut zna wszystkich i widział wszystko, to jednak nikt nie zamierza się nad nim litować,

gdy zaryzykuje własną karierę (i pieniądze).

W kategorii „feel-good movies” jest to dokonanie zdecydowanie godne zauważenia. Oczywiście „Rzut życia” popada w schematy, tak jak w schematy popadają komedie romantyczne, ale rzecz jest opowiedziana wdzięcznie, z wielką empatią dla bohaterów. Swoje dokładają aktorzy z drugiego planu: Queen Latifah jako żona Sugermana, Robert Duvall w roli właściciela klubu, Maria Botto jako matka Cruza. Przede wszystkim jest to jednak wielki hymn miłosny ku czci koszykówki. Sekwencje sportowe nakręcone są rewelacyjnie, a liczba prawdziwych gwiazd NBA, które pojawiają się na ekranie, jest oszałamiająca: w napisach podsumowujących obsadę częściej niż nazwiska aktorów pojawia się zwrot „zagrał samego siebie”. Widz, który nie interesuje się koszykówką, i tak daje się ponieść narracji „Rzutu życia”; dla miłośnika NBA film Zagara to uczta i obraz, który trzeba zobaczyć kilka razy, żeby wyłapać wszystkie smaczki. ©©



NOWE SERIALE: „THE MANDALORIAN”

Pierwszy aktorski serial ze świata „Gwiezdnych wojen” pozostaje najlepszy. „Mandalorianin” opowiada o losach samotnego wojownika (Pedro Pascal), wynajętego, by dostarczyć niedobitkom Imperium małego istotę z rasy, do której należał mistrz Yoda. Mandalorianin postanawia jednak przekazać dziecko Rycerzom Jedi. Powstał barwny

serial przygodowy w duchu kosmicznego westernu, z dużą dawką humoru i uroczymi gościnnymi występami tak znanych postaci, jak Werner Herzog, Nick Nolte czy Giancarlo Esposito, a w drugim sezonie także Timothy Olyphant. ©©

Piotr Gociek

• sezony 1–2, „The Mandalorian”, USA, wyst. Pedro Pascal, Gina Carano

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• sezon 1 „Dom z papieru: Korea” („Jong-i-eui jib”)

Korea Południowa 2022

• sezony 1–2 „Zbrodnie po sąsiedztwu” („Only Murders in the Building”), USA 2021–2022

• sezon 2 „Innowacyjne domy” („Home”), USA 2022



Zatrute majtki



Putinowi jego nazwisko nie przechodzi przez gardło. Trudno się dziwić. Aleksiej Nawalny zrobił wiele, by udowodnić, że jest większym kozakiem od aktualnego gospodarza Kremla. Odcięty od dostępu do krajowych mediów wyprowadzał tysiące ludzi na ulice. Gdy zakazano wieców, stał się gwiazdą YouTube, Facebooka, Telegramu, a nawet TikToka. Bez owijania w bawełnę mówi, że Rosję rządzi szajka skorumpowanych złodziei. Rodzina stoi za nim murem, istnieje też grupa ludzi, których lojalności może być pewny. Kanadyczyk Roher, który z politykami nie miał dotąd do czynienia, uległ charakternie rozmówcy, rezygnując z zadawania mu trudnych pytań. O wartości dokumentu stanowi

relacja z najbardziej (jak dotąd) dramatycznego etapu walki Nawalnego o demokrację – od próby otrucia go nowiczkami na Syberii do aresztowania na lotnisku w Moskwie. Spece od toksycznej bielizny zostali zdemaskowani i ośmieszeni, lecz zesłanie opozycjonisty numer jeden do łagru masowych protestów nie wywołało. Gwiazdor Internetu przegrał z państwem policyjnym, wciąż jednak ma szansę



★★★★★
REŻ. DANIEL ROHER
„NAWALNY”
(„NAVALNY”)
USA 2022

wyprowadzić Rosję ze ślepego zaułka. Jeśli przeżyje Putina. Indagowany o przesłanie dla rodaków na wypadek, gdyby go zabito, odparł bez namysłu: „Nie poddawajcie się, nie bądźcie bierni!”. Gdyby Rosjanie posłuchali Nawalnego, to byłaby prawdziwa rewolucja. ©©

Wiesław Chełmiński



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

TOŻSAMOŚĆ BLONDYNKI

KINO

Żyje się tylko trzy razy. Judith mieszka we Francji, jest żoną cenionego dyrygenta i matką dwóch dorastających synów. Margot z ukochanym przebywa w Szwajcarii, wspólnie wychowują małą córeczkę. I nikomu to nie przeszkadza dopóty, dopóki nie pojawią się podejrzenia, że Margot i Judith to jedna i ta sama osoba. Bohaterka z zawodu jest tłumaczką, co stwarza pretekst do permanentnych „podróży służbowych”. Brzmi nieprawdopodobnie? Po pierwsze: naiwność ludzka nie zna granic, po drugie: do prawdy zbliżamy się stopniowo. Sens początkowej sekwencji pojmiemy dopiero pod koniec filmu. Scenariusz jest dość precyzyjny, Efiru udźwignęła ciężar roli. Jak u Hitchcocka: nie wiadomo, czy mamy do czynienia z pospolitą oszustką czy kobietą chorą psychicznie. Problemem jest tempo, narracja długa się ślimaczy. Brakuje też poczucia humoru. Jeden dowcip, w dodatku mimowolny („Kogo interesuje Warszawa?”) to za mało.



wyst. Virginie Efira, Quim Gutiérrez, Bruno Salomone

★★★★★
REŻ. ANTOINE BARRAUD
„SEKRET MADELEINE COLLINS”
BELGIA/FRANCJA/SZWAJCARIA 2021

KSIĘŻYCOWY PECH

arte

Niestety, twórcy dokumentu nakręconego w 50. rocznicę pamiętnej wyprawy, zamiast spełnić obietnicę zawartą w tytule, raczą nas animacjami, którym towarzyszą fragmenty kilkunastu utworów muzycznych oraz poematu autorstwa guru bitników Jacka Kerouaca. Neil Young ustanowił rekord trudny do pobicia, wspominając o satelicie Ziemi aż w 28 piosenkach, zawsze w pozytywnym kontekście. Nie mogło też zabraknąć „Sonaty księżycowej”, pożyczonej od Georges’a Mélièsa sceny układania kosmitów parasolami, niemieckiej bajki o krawcu czy wideoklipu kapeli Rammstein, dającego do zrozumienia, że lądowanie jankesów na Srebrnym Globie to była ściema stulecia. Z końcowych kadrów przebija żal, że bogini Selene się zamerykanizowała. Przedsiębiorca z USA sprzedał już 200 mln ha powierzchni Księżyca. ©©



★★★★★
REŻ. HANNES ROSSACHER
„JAK KSIĘŻYC PRZESZEDŁ DO POPKULTURY”
NIEMCY 2019

recenzuje Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „THE QUARRY”

Nie jestem fanem tego typu gier, ale coś poradzić, że segment ten rośnie i w zasadzie wylania się nowy gatunek będący połączeniem gry i filmu. Jeśli z pełną świadomością tego faktu podejmiemy do „The Quarry”, to możemy dobrze się bawić. Grupa maturzystów dorabia w wakacje,

wyjeżdżając na letni obóz z dziećmi w roli opiekunów. Kiedy podopieczni pakują walizki i wracają grzecznie do domu, opiekunowie postanawiają przedłużyć swój pobyt, by też zażyć trochę rozrywki. Miała być dobra zabawa, jest walka o przetrwanie. Brzmi znajomo? No pewnie, ale nie jest to



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

historia aż tak oczywista, jak mogłoby się z początku wydawać. ©©

Radosław Wojtas

• **Gatunek:** Przygoda, horror
• **Platforma:** XSX, XONE, PS5, PS4, PC
• **Producent, wydawca:** Supermassive Games, 2K Games

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Do Grottgera szło się zawsze najpierwej

Wokół listów Artura Grottgera do Wandy Monné i pozostającego w rękopisie pamiętników tej wybranki serca twórcy „Branki” i „Kucia kos” osnuta jest powieść Marii Jentys-Borelowskiej o miłości dwojga młodych ludzi, niespełnionej, a obrosłej legendą, trwającej przez pokolenia. Ona uchodziła za jedną z najpiękniejszych lwowianek, wykazywała inklinacje artystyczne, które w literackiej formie znalazły ujście później, gdy po śmierci ukochanego wyszła za mąż za jego przyjaciela, też zdolnego malarza i drzeworytnika, Karola Młodnickiego.

Urodzony w 1837 r. Artur Grottger, malarz, ilustrator i rysownik, stał się twórcą narodowym za sprawą cyklu swoich „kartonów” o powstaniu styczniowym. Przeżył zaledwie 30 lat, ale pozostawił po sobie ogromny dorobek, uprawiając niemal wszystkie możliwe rodzaje malarstwa. A malował dosłownie od dziecka. Gdy w 1851 r. do Lwowa przyjechał cesarz Franciszek I, w prezencie od polskiej szlachty otrzymał akwarelę upamiętniającą jego wjazd do miasta. Jej autorem był nie kto inny, jak Artur Grottger właśnie, wtedy 14-latek (!). Cesarz ufundował chłopcu stypendium (20 guldenów miesięcznie), nakazując mu odbyć studia malarskie najpierw w Krakowie, a następnie w Wiedniu. Tak też się stało. To cesarskie stypendium zostało mu cofnięte, kiedy w 1863 r. artysta zaangażował się w pomoc uchodzącym z rosyjskiego zaboru powstańcom. Zmuszony wkrótce do opuszczenia Wiednia wrócił do Galicji, gdzie zarabiał na chleb, podejmując się dorywczych prac malarskich

w tamtejszych dworach, a także tworząc cykle powstańczych rysunków. To wówczas powstały „Polonia” i „Lithuania” (wcześniej, jeszcze w Wiedniu – „Warszawa”). Poznał też wtedy, na balu w lwowskim Towarzystwie Strzeleckim, 16-letnią Wandę Monné. Związkowi ich przeciwstawiły się jednak jej matka i ciotka i miłość ta pozostała niezrealizowana, kwitnąc jedynie w... korespondencji. A artysta postanowił szczęścia (i pieniędzy) poszukać w Paryżu, gdzie – już poważnie chory – zdążył ukończyć inny cykl – „Wojna”.

Sympatyzując z powstańcami, dał sobie wytłumaczyć, że dla sprawy polskiej więcej uczyni sztuką niż orężem. Gryzł się tym jednak, bo w końcu jego młodszy brat Jarosław za udział w powstaniu zesłany został na Syberię; jego kolega z dzieciństwa, poeta i konspirator Mieczysław Romanowski poległ w bitwie pod Józefowem, „A taki Michał Elwiro Andriolli, pół-Włoch, poszedł i pod Dubiczami został ciężko ranny”. Zaprzysiężniony z nim hrabia Stanisław Tarnowski przekonał go w końcu słowami: „Aby naród nie zginął, ty musisz żyć i tworzyć, Arturze. Jesteś jednym z naszych wielkich duchowych przewodników”. I tak rodził się kult malarza narodowego, szczególnie intensywny na przełomie stuleci.

Zmarł Grottger w 1867 r., w uzdrowisku w Amelie-les-Bains we francuskich Pirenejach, skąd prochy artysty sprowadzono pół roku później i złożono na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie. W „Portrecie w półcieniach” znajdziemy opowieść o tym pośmiertnym powrocie, o tym, jak Wanda Monné zrozpaczona po stracie ukochanego (i obwiniająca się o to, że uległa dyktatowi rodziny

niechętniej Grottgerowi) zapraszała „Karola Maszkowskiego, Daniela Penthera, Parysa Filipiego oraz Andrzeja Grabowskiego – tego ostatniego tylko przez wzgląd na jego iście braterską miłość do Artura, bo sam Grabiec, sarkastyczny wobec niej i podejrziwy, był jej niemiły – a oni opowiadali o czasach wiedeńskich Grottgera, o tym, jak biedując i głodując, błędząc i miotając się, szukał Idei (przez duże „I”), której mógłby oddać cały swój talent, poszukiwał formy, tej jednej jedynej, dla swych wizji. I jak pod wpływem dramatycznych wydarzeń w Warszawie dojrzewał do roli wieszczki narodowej, kto wie, czy nie równego Wielkiemu Adamowi”. I to o nich, bo nie tylko o samym Grottgerze, traktuje książka Marii Jentys-Borelowskiej. A także o autorze „Chorału” („Z dymem pożarów”), ostatnim wielkim poecie polskiego romantyzmu Kornelu Ujejskim, o Adamie Chmielowskim (Bracie Albercie), o Janie Matejce. I, oczywiście, o Karolu Młodnickim, przyjacielem twórcy „Lithunii”, który ożenił się z Wandą Monné, a ich córka, poetka Maryla Wolska, matka też poetki i pisarki Beaty Obertyńskiej, we wzruszającym i przez lata opromienionym sławą wierszu „Zaduszki” wspominała:

**Do Grottgera szło się zawsze najpierwej...
Wiedziałam, że Mama,
Nim ucałuje kamień,
Nim na grobie rozłoży wieńce,
Wpierw zawsze zdejmie rękawice,
Z płyty i obramień
Dołmi liść suchy odgarnie,
Wyjmie zapałki i świecę
I sama zapali latarnię.
Tak dobrze pamiętam jej ręce,
Ręce z „Lituanii” i „Wojny”!** ©



★★★★★
**MARIA JENTYS-
BORELOWSKA**
**„PORTRET
W PÓLCIENIACH”**
PAŃSTWOWY
INSTYTUT
WYDAWNICZY,
WARSZAWA 2022



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wyznania tępaka

To się nazywa być krytycznym wobec własnego dorobku – Thomas Pynchon czekał 20 lat, nim pozwolił na opublikowanie swoich młodzieńczych opowiadań. W dodatku opatrzył je wyjątkowo surową przedmową, w której szczegółowo wskazuje to, co zrobił źle, a całość opatrzył tytułem „Niepojętny uczeń” (w oryginale brzmi to mocniej: „slow learner”). Pięć zamieszczonych tu tekstów powstało w latach 1959–1964, opowiadanie „Drobny deszcz” było jego literackim debiutem. Książka ukazała się oryginalnie w 1984 r. Na polski przekład czekaliśmy niemal cztery dekady.

Obszerne wprowadzenie w młodzieńcze fascynacje literackie, rozterki poczynającego pisarza (oraz wspomniana ostra krytyka pod własnym adresem) to najważniejsza część książki. Wręcz sensacyjna. Bo choć Pynchon cieszy się sławą jednego z największych współczesnych pisarzy amerykańskich, to pozostaje enigmą. Tak jak kiedyś Salinger żyje z dala od zgiełku, nie rozmawia z reporterami, nie udziela wywiadów, zazdrośnie strzeże szczegółów życia prywatnego, jedyne znane fotografie pochodzą z lat młodości. Przedmowa do

„Niepojętnego ucznia” to właściwie jego jedyna tak obszerna wypowiedź na temat sztuki pisania. Szkoda, że ograniczona jedynie do tekstów młodzieńczych, bo chciałoby się wiedzieć więcej o tym, jak powstawały tak głośne powieści jak „Tęcza grawitacji”, „V.” czy „49 idzie pod młotek” (na ten temat pada jedno zdanie – to opowiadanie wzięte przez innych za powieść, komentuje Pynchon).

Choć nie są to teksty udane, to widać zapowiedzi przyszłych obsesji pisarza. Szpiegowski „Pod różą” zwiastuje jego zamiłowanie do rozgałęzionych spisków, „Entropia” – skłonność do wstawek niby-naukowych. Najlepszy wydaje się debiutancki „Drobny deszcz”, w którym ładnie udało się pokazać kontrast między trywialnym życiem wojaków a prawdziwą ludzką tragedią w tle. Pozostałe teksty robią wrażenie przekombinowanych. „Na wczesnych etapach życia wielu autorów sądzi, że wie już wszystko, w istocie zaś nie zdaje sobie tylko sprawy ze skali i układu własnej ignorancji” – trzeba zauważyć po latach Pynchon. „Niepojętny uczeń” to nie jest ważna i znacząca książka (choć niejeden debiutant dziś może tylko marzyć o takich początkach), ale pozostaje ważną lekcją. Pisania oraz skromności. ©

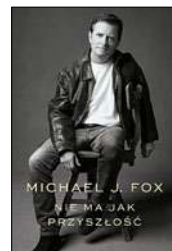


★★★★★

THOMAS PYNCHON
„NIEPOJĘTNY UCZEŃ”
WYDAWNICTWO OSTROGI 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Trzy dekady walki z chorobą Parkinsona, potem także z nowotworem kręgosłupa. Wspomnienia aktora znanego m.in. z „Powrotu do przyszłości” poruszają i krzepią: walczyć trzeba zawsze, bez względu na rokowania.



MICHAEL J. FOX
„NIE MA JAK PRZYSZŁOŚĆ”
INSIGNIS

Pierwsze wydanie tej książki opowiadało dzieje Ukrainy w latach 1914–2018. Teraz dostajemy edycję rozszerzoną i zaktualizowaną – zakończenie ostatniego rozdziału autorzy pisali już w marcu 2022 r., po nowej agresji Rosji.



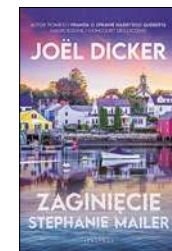
MICHAŁ KLIMECKI, ZBIGNIEW KARPUS
„CZAS SAMOTNOŚCI”
BELLONA

Opowieść o Jerzym Pawłowskim („Od PRL-owskiego celebryty do wroga państwa numer 1”) odsłaniająca skazy na wizerunku legendy. Nim został szpiegiem USA, pisał raporty dla SB – także na swoich bliskich.



WIKTOR BOŁBA
„SZPIEG OLIMPIJSKI”
FRONDA

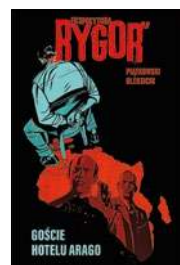
Wścibska dziennikarka powraca do sprawy sprzed 20 lat: głośnego morderstwa i szybkiego wymierzenia sprawiedliwości. Jej zdaniem prawda była inna, a przeświadczenie to sprawia, że sama Stephanie znika bez wieści. ©



JOEL DICKER
„ZAGINIĘCIE STEPHANIE MAILER”
ALBATROS

KOMIKS TYGODNIA: „EKSPOZYTURA »RYGOR«”

„Goście hotelu Arago” to pierwszy zeszyt nowej serii historyczno-szpiegowskiej stworzonej przez twórców chwalonych za cykl „Brad”. Tym razem poznajemy kulisy działalności siatki wywiadowczej stworzonej przez Mieczysława Słowikowskiego w Algierii, znajdującej się wówczas pod kontrolą rządu Vichy. Efekty pracy Słowikowskiego były imponujące, do współpracy



TOBIASZ PIĄTKOWSKI, MAREK OLEKSICKI
„EKSPOZYTURA »RYGOR«”
EGMONT 2022

zwerbowano kilka tysięcy osób, ekspozytura działała aż do 1944 r. Komiks wydany we współpracy z Agencją Wywiadu, która w popkulturowy sposób postanowiła uczcić 20 rocznicę istnienia. ©

poleca Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Rzeczy **bardzo osobiste**

Obrączka, zegarek, długopis, portfel, pogniecione zdjęcie kogoś bliskiego... Oddane w depozyt, z nadzieją odebrania, bo przecież „Arbeit macht frei”. Rzeczy bardzo osobiste, czasem jedyna materialna pozostałość po właścicielu. Anonimowe, przechowywane z pietyzmem do dziś. Ale może ktoś na nie czeka? Może ktoś rozpozna? Po detalu? Po napisie? Na podstawie starej fotografii?

Wystawa plenerowa przed Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau prezentuje losy więźniów i pozostawionych przez nich przedmiotów – od momentu ich odebrania, skatalogowania przez obozową administrację, aż do odzyskania ich przez aliantów i przekazania do Międzynarodowej Służby Poszukiwań (Arolsen Archives) z zadaniem odszukania rodzin właścicieli tych przedmiotów i zwrotu depozytów. I taki jest też cel tej wystawy – odnalezienie spadkobierców depozytów. Wszystko w ramach prowadzonej od 2016 r. akcji #StolenMemory, dzięki której odnaleziono już ponad 600 rodzin byłych więźniów, którym zwrócono pamiątki po ich bliskich. ©©

GDZIE? Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau
KIEDY? do końca czerwca



FOT. JOHANNA GROSS



FOT. MONIKA MAJDA/MUZEUM MIASTA ŁÓDZI

POLSKIE FOTOGRAFIKI

Trzydzieścioro autorek i blisko 150 zdjęć na wystawie „Jedyne. Nieopowiedziane historie polskich fotografek” będącej przekrojowym spojrzeniem na polską fotografię (w wykonaniu kobiet, które były w mniejszości w tej branży) od lat 70. do połowy lat 90. XX w. Ekspozycja zorganizowana w ramach Międzynarodowego Festiwalu Fotografii w Łodzi nosi taki sam tytuł jak wydana w 2021 r. książka, w której można przeczytać wywiady z polskimi fotografkami. ©©

GDZIE? Muzeum Miasta Łodzi
KIEDY? do 18 grudnia



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

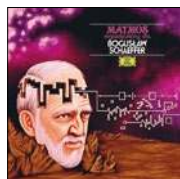
NA SŁUCH

Dekonstrukcja **na całego**

Od czterech lat Instytut Adama Mickiewicza udostępnia sample twórców Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia, które powstało w 1957 r. Jednym z pionierów muzyki elektronicznej był Bogusław Schaeffer, który „wymyślił” partytury graficzne. Ten klasyk awangardy, rówieśnik Pendereckiego i amerykańskich „elektroników” Johna Cage’a i Mortona Feldmana, był również dramaturgiem, grafiką i teoretykiem muzyki.

Drew Daniel i M.C. Schmidt zasłynęli niekonwencjonalnym podejściem do elektroniki. Tworzą, wykorzystując m.in. dźwięki plastikowych przedmiotów, pralek czy telepatię. Tym razem, opracowując nowe suitę stworzone z dzieł Schaeffera, sięgnęli po

konwencjonalne instrumentarium (altówka, waltornia, harfa), ale wykorzystali je w niekonwencjonalny sposób. Początek albumu łączy upiorną atmosferę wczesnej muzyki elektronicznej z pełnym zwrotów akcji kameralnym popem. Następnie duet oddaje się kiczowatej egzotyce, by stopniowo kierować się w stronę mrocznych dźwięków. Prowadzą one do nieziemskiego finału, w którym dominuje sycząco-miażdżąca destrukcja. W utworach pojawiają się deklamowane po polsku teksty. Tytuły piosenek i przypisy do nich są w języku angielskim i polskim (m.in. „Uff... Bosh gra Wałęsę”). Okładkę wykonał Robert Beatty znany z projektów dla zespołów Tame Impala, Oh Sees czy Mdou Moctara. ©©



★★★★★
MATMOS
„REGARDS/
UKLONY DLA
BOGUSŁAW
SCHAEFFER”
THRILL JOCKEY



★★★★★
SBB
„LIVE CUTS/KOLN
1978”
GAD

Finałowy koncert z trasy promującej zachodniemiecki album „Follow My Dream”. Półtorej godziny rozkoszy, w tym pięciominutowa orgia na bębny i przeszkadzajki dla fanów rocka progresywnego. Występ z 18 grudnia 1978 r. wieńczy kolęda „Cicha noc”.



★★★★★
THE CLASH
„COMBAT ROCK
+ THE PEOPLE'S
HALL”
SONY

Najpopularniejszy album Anglików wzbożony o drugą płytę. Z 11 dodatkowych nagrań tylko cztery nie były publikowane. Fani wprawdzie oczekiwali na wydanie „mitycznej” wersji albumu przygotowanej pierwotnie przez gitarzystę Micka Jonesa, ale tak czy owak, to wielka płyta. ©©

Kłopoty z Brittenem

FOT. KINCA KARPAT & DANIEL ZAREWICZ



Grzegorz Kondrasiuk

Orkiestra pod batutą Lilianny Krych zagrała tego skomplikowanego, złożonego Brittena tak klarownie i olśniewająco, że nawet dziecko by zrozumiało

Pomimo pewnych kłopotów z nutami kontynuuję moje dyletanckie zapiski na marginesie oper granych w polskich teatrach. Skoro do oper biorą się reżyserzy teatralni z analogicznymi kłopotami... To jeden argument, a drugi, już bardziej na serio: operze, najsztudniejszej ze sztuk scenicznych, należy się promocja. Jest świetną, komunikatywną alternatywą dla wsobnych eksperymentów w teatrach dramatycznych. Poza tym na naszych oczach toczy się niemożliwa do definitywnego rozstrzygnięcia debata na temat uwspółcześniania starych, mistrzowskich dzieł. Jak daleko można się posunąć, narzucając aktualny kostium na kanoniczne libretta i partytury? Każda kolejna inscenizacja bierze udział w tej debacie, przy czym i skrajny pietyzm, historyzm i radykalna aktualizacja mogą okazać się chybione.

Jedną z premier Polskiej Opery Królewskiej w mijającym właśnie sezonie dostarcza doskonałego materiału do przemyśleń na ten temat. Dyrektor Andrzej Klimczak i dyrygentka Lilianna Krych we frapujący sposób uzasadniają decyzję o wystawieniu tego prawie zapomnianego tytułu. Jest rok 1946, w powojennej Anglii Britten komponuje operę na nieduży skład instrumentalno-wokalny, z którym może jeździć i występować w skromnych warunkach. Te pozamuzyczne, finansowe okoliczności są sekretem zaistnienia unikalnej formuły kompozytorskiej „The Rape of Lucretia”: uszczuplone instrumentarium i niewielka liczba ról wyzwoliły inwencję melodyczną i brzmieniową. A dziś, w czasach pandemii i kryzysu, przy mniejszych budżetach i ograniczeniach – kameralna opera znów się przydaje.

Pozostaje jeszcze, bagatelka, kwestia treści. W programie

Dorota Kozińska wylicza zarzuty krytyków, z którymi spotkało się libretto Roberta Duncana, sugerując, by „zamknąć uszy na słowa” i wsłuchać się w rekompensującą wszelkie mankamenty muzykę. Poeta był najwidoczniej, eufemistycznie rzecz ujmując, artystą skłonny do pretensjonalnego patosu. Sięgając po mityczną fabułę o nieszczęsnej, wiernej żonie, która zhańbiła na popełnieniu samobójstwo, stworzył dzieło przeładowane poetyckimi symbolami, oparte na naiwnej chrystianizacji antyku (ponoć pomysł kompozytora – tak to bywa, kiedy muzycy chwytają za pióro...). Śmierć niewinnej Lucretii ma być w tym ujęciu prefiguracją ofiary Zbawiciela – ciekawe to świadectwo stanu rozchwiania umysłowego, w którym znajdowali się angielscy esteci z kręgu Wystana H. Audena po drugiej wojnie światowej.

Sama w sobie mityczna historia Lucretii, czytana z pominięciem libretta, jest ciekawsza i wielowarstwowa, bo można ją np. rozpatrywać w kategoriach mordu politycznego (konflikt o władzę między Etruskami a Rzymianami), a także – jakżeby inaczej – jako jedną z archetypicznych feministycznych fabuł.

I właśnie tym tropem, pomijając wszelkie inne znaczenia, podążyła reżyserka Kamila Siwińska, co powoduje zabawne sprzeczności. Z pietyzmem odśpiewywany jest angielski oryginał tekstu, libretto Duncana, które poucza, moralizuje, namawia do spojrzenia na przemoc, na której ufundowany jest świat, z perspektywy uniwersalnej, eschatologicznej. Tymczasem napisane nad dziełem Brittena-Duncana wizualizacje i choreografie osadzają mit w naszym tu i teraz, aluzyjnie nawiązując do protestów ulicznych, krzyku i kobiecych wspólnot. Pełna cierpienia twarz kobiety, jej niemy krzyk w wielkim, dominującym obrazie albo przemieszczające się szeregi kobiet w poziomym kadrze filmowym umieszczonym nad sceną...

Inscenizacja teatralnymi środkami właściwie unieważnia padające ze sceny słowa, sufluje znaczenia ponad nimi. A wszystko to skąpane w nieziemsko pięknej muzyce Brittena, która jest jeszcze o czymś innym. Kompozytor zasyfrował w partyturze własną opowieść o ścieraniu się żywiołów męskiego i żeńskiego, a przepływy i kontrasty pomiędzy liryzmem

a gwałtownością wywindował na niebotyczne poziomy. Obsada zespołu wokalnego Polskiej Opery Królewskiej (Lucretia – Dorota Lachowicz; bezwzględny Tarquinius – Piotr Halicki; współczujący, szlachetny mąż Collatinus – Sławomir Jurczak) w pełni sprostała tym zadaniom.

Orkiestra pod batutą Lilianny Krych zagrała tego skomplikowanego, złożonego Brittena tak klarownie i olśniewająco, że nawet dziecko (czyli niżej podpisany) by zrozumiało.

W istocie jest tak, jak pisze Dorota Kozińska: muzyka wynagradza wszystkie interpretacyjne cierpienia i niemożność uzgodnienia czegośkolwiek. Może – ulegnijmy na chwilę patosowi tego dzieła – oddaje nieusuwalny tragizm egzystencji i empatycznie oddaje rozpacz ofiar, i bezwzględnie odmalowuje ciemne, bestialskie skłonności kąt? Ot taka, pozornie niewielka, różnica między reżyserką a kompozytorem, który przekazał w subtelnej formie problem z istnieniem zła uniwersalnego. Czy ofiara Lucretii, rezygnacja z życia w świecie, jaki mamy do dyspozycji, jest po nic? A może jest po coś, bo Lucretia jest męczennicą w kobiecej sprawie? ©©

POLSKA OPERA KRÓLEWSKA
BENJAMIN BRITTEN, „THE RAPE OF LUCRETIA”/„GWAŁT NA LUKRECIJ”
KIEROWNICTWO MUZYCZNE:
LILIANNA KRYCH
REŻYSERIA, SCENOGRAFIA, WIZUALIZACJE: KAMILA SIWIŃSKA

Póki jest szansa na



Sygnaly o pokoju, który „nie upokorzy” Rosji, wysyłane przez Berlin i Paryż, przekonują Putina, że wojnę można zakończyć kolejnymi zdobyczami terytorialnymi, przesuwaniem przyszłej linii przerwania ognia (czyli prowizorycznej, ale faktycznej granicy) „czut’-czut’” – jak mówił Stalin gen. Sikorskiemu. Rosjanie nie mają więc politycznych powodów przerywać ofensywy, hamować ich mogą jedynie kalkulacje proporcji między osiągniętymi korzyściami terytorialnymi z jednej strony, a dalszymi kosztami materialnymi, politycznymi i (nawet Rosja musi się z tym liczyć) ludzkimi z drugiej.

Ukraińcy przygotowują się do kontrofensywy, ale bez większych dostaw sprzętu nie będą w stanie skutecznie jej przeprowadzić. Skuteczni tymczasem są Niemcy, którzy przekonują europejskich sojuszników do nieprzekazywania czoł-



Marek Jurek

Armia rosyjska naciera i materialnie niszczy Ukrainę. Wykorzystuje swą naturalną przewagę rezerw i fizyczne wyczerpanie obrońców. Zachód – mniej lub bardziej zgodnie – utrzymuje sankcje stanowiące substytut rzeczywistej politycznej reakcji, ale jego solidarność się chwieje

gów Ukrainie. W sytuacji więc, gdy Rosja, wielkim kosztem wprowadzie, osiągnęła podstawowe cele wojenne, rozszerzając okupację Zagłębia Donieckiego i zajmując południe kraju, jeśli Ukraina nie zdoła choćby częściowo tych terytoriów odzyskać, coraz bardziej realną perspektywą stanie się zawieszenie broni utrwalające rosyjskie zdobycze. Warto mieć świadomość ich uogólnionego sensu. Zabór Zagłębia Donieckiego pozbawia Ukrainę

przemysłu wydobywczego, okupacja dużej części wybrzeża czarnomorskiego i blokada Odessy dramatycznie ograniczają Ukraincom możliwości eksportowe. Utrata części terytorium narodowego jest tragedią samą w sobie, a tu dodatkowo mamy do czynienia z zasadniczą degradacją geopolitycznej pozycji Ukrainy jako państwa.

Zapobieżenie tej fatalnej perspektywie, odparcie lutowego najazdu to

pokój

w wojnie o Górski Karabach dwa lata temu. Sytuacja tych wszystkich regionów jest tymczasowa tylko z nazwy i nie jest to wcale zjawisko nowe. Drugiej wojny światowej nie kończyły traktaty pokojowe, a i w dawnych czasach rozejmy, jak andruszowski, mogły prowadzić do petryfikacji stanu formalnie doraźnego.

Stawką wojny jest dziś rozstrzygnięcie między rozejmem utrwalającym rosyjskie podboje lub – w wypadku ewentualnych sukcesów ukraińskiej kontrofensywy – doprowadzenie do przerwania ognia i wycofania wojsk rosyjskich na pozycje sprzed lutowej agresji. Snucie dalej idących zamiarów to po prostu ryzykowanie samej przyszłości Ukrainy.

Doprowadzenie do korzystnego rozejmu jest dziś i tak bardzo trudne, ale ciągle możliwe przy połączeniu militarnej i politycznej presji. Presja militarna to kontynuacja dostaw broni i sukcesy ukraińskiej kontrofensywy, presja polityczna to przede wszystkim perspektywa rozszerzenia NATO o Szwecję i Finlandię. Zwrot w polityce tych państw to najważniejsza do tej pory, bo tworząca perspektywę najbardziej trwałych faktów, reakcja Zachodu. Możliwość jej zawieszenia może być najsilniejszą kartą przetargową w czasie negocjowania wycofania wojsk rosyjskich z zajętych w tym roku obszarów. Oczywiście niewystarczającą, ale wzmacniającą efekty zmian na froncie.

Tak zarysowany wspólny, konkretny cel powinien być zwornikiem zrewitalizowanej solidarności Zachodu. Naszym europejskim partnerom trzeba pokazać, że presja na Rosję ma możliwy i konkretny cel polityczny.

PRESJA CZY EGZALTACJA?

Dwa miesiące przed wybuchem wojny pisałem na tych łamach o kosztach nadchodzącej wojny dla Polski i dla Ukrainy. Dla naszych sąsiadów oznaczać bowiem musiała – nawet w wypadku ocalenia niepodległości i przystąpienia do NATO, co stało się bardzo wątpliwe – ryzyko dalszych strat terytorialnych. Dla Polski – zamienienie nas w państwo frontowe, z koncentracją wojsk rosyjskich na naszej białoruskiej granicy. Przekonywałem więc o wartości pokoju, który dla Ukraińców oznaczał wówczas zachowanie tego, dla odzyskania czego ponieśli już i ponoszą obecnie tyle ofiar.

Jeśli jednak wybuchnie wojna – pisałem – to powinniśmy prowadzić politykę „w zjednoczonym froncie Zachodu, ani

nie wybiegając przed szeregiem (żądając »jeszcze większych« sankcji czy zgłaszając inne postulaty, których nikt nie będzie zamierzał podejmować), ani nie cofając się poza stanowisko państw decydujących, w pierwszym rzędzie Stanów Zjednoczonych”. A potem, już w trakcie wojny, wielokrotnie wskazywałem presję, szczególnie w postaci dostaw broni, jako niezbędny warunek nakłonienia Rosji do rozmów i przywrócenia pokoju. Przypominam to, bo w Polsce nie ma sporu o to, czy wspierać Ukrainę czy bronić jej niepodległości, czy nieść jej pomoc humanitarną, co nie znaczy, że nie ma potrzeby wyboru i ustalenia, prowadzenia i kontroli właściwej polityki.

Doprowadzenie do korzystnego rozejmu jest dziś bardzo trudne, ale ciągle możliwe przy połączeniu militarnej i politycznej presji

Tuż przed wybuchem wojny, na początku lutego, szef unijnej dyplomacji Josep Borrell mówił, że należy rozmawiać z Rosją o tym, czy nastąpi rozszerzenie NATO, a Emmanuel Macron proponował „finlandyzację” Ukrainy. Abstrahując nawet od stanowiska emerytowanej kanclerz Merkel, gołym okiem było widać, że (czy nam się to podoba, czy nie) przymierze atlantyckie nie jest gotowe na przyjęcie Ukrainy. Bo (i ciągle to trzeba przypominać) traktat waszyngtoński ma nie tylko jeden, najbardziej znany artykuł, a zaproszenie nowego państwa do przymierza następuje „za jednomyślną zgodą” wszystkich państw należących do NATO.

Jaki więc sens wobec tych faktów miało stanowisko wicemarszałka Sejmu Ryszarda Terleckiego, który kilka dni przed wybuchem wojny mówił w kijowskiej Radzie Najwyższej, że „nie wyobraża sobie NATO bez Ukrainy”? Więcej finezji wykazywał prezydent Andrzej Duda, który w tym samym czasie w „Die Welt” występował przeciw „poświęcaniu zachodnich aspiracji Ukrainy w imię spokoju” i domagał się respektowania „zachodnich aspiracji Ukrainy i jej narodu”. Prezydent pozostawiał pewne niedomówienie, czy chodzi o NATO czy o Unię Europejską, ale deklaracja ta również nie przedstawiała

stawka toczącej się wojny. Tym bardziej zaskoczyły mnie niedawne apele Jacka Bartosiaka, aby – gdy „armia ukraińska przekroczy granicę Krymu” – „nie dopuścić, aby prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski zgodził się na własną wersję traktatu ryskiego”. Autora „Rzeczypospolitej między lądem a morzem” zawsze ceniłem za łączenie politycznej wyobraźni z realistyczną trzeźwością sądu, ale w tym wypadku staje się on heroldem nie realizmu, ale egzaltacji.

JAKI ROZEJMY?

Ani dziś, ani wczoraj – narzucony pokój nie był jedyną formą utrwalenia zaborów. Współczesna Europa zna wiele niezaakceptowanych, a mimo to trwałych zmian terytorialnych: Cypr Północny, Kosowo, Naddniestrze, północne prowincje Gruzji to tylko parę przykładów. Najświeższy to azerskie zdobycze

FOT. ADRIAN STOK

■ realistycznie Ukraińcom ich położenia. Tymczasem dla zagrożonego najazdem państwa nawet czasowe odroczenie agresji byłoby wartością.

CZY LICZĄ SIĘ JESZCZE OFIARY?

Gdy już wojna wybuchła, premier Morawiecki oficjalnie oświadczył, że przedmiotem polityki polskiej w czasie wojny będzie, wspólnie z sojusznikami, przywrócenie integralności Ukrainy, czyli – interpretując te słowa poważnie – wyzwolenie Sewastopola. A potem cele wojny przesuwały się jeszcze dalej. W połowie maja premier zanegował potrzebę podejmowania rozmów z Rosją, bo choć „dyplomacja wymaga dialogu, to nie można negocjować z terrorystami, przestępcy muszą zostać pociągnięci do odpowiedzialności”. To zaś już nie był program trzeciej wojny krymskiej, ale w istocie wojny prowadzonej aż do bezwarunkowej kapitulacji Rosji. Tylko że te cele wyznaczaliśmy nie sobie samym, ale walczącej Ukrainie.

Ktoś powie, że to retoryka, której nie należy brać dosłownie, oceniać w kategoriach politycznych, ale moralnych. No właśnie, ta perspektywa musi być zawsze na pierwszym miejscu! Cóż bowiem oznacza rezygnacja z prób zakończenia wojny? Że po Buczy ofiary przestały się liczyć? Że teraz już liczy się tylko całkowite zwycięstwo, a wszystkie masakry, które jeszcze będą miały miejsce, idą i tak na rachunek sprawców, których rozliczy się później? To dość względna pociecha dla ofiar.

Oczywiście można by stanowisko premiera rozumieć i tak, że separatystyczne rozmowy Paryża i Berlina osłabiają presję na Rosję, osłabiają presję Zachodu przed przyszłymi dwustronnymi lub wielostronnymi rozmowami. Ale wtedy trzeba proponować ich format (mediację dla rozmów dwustronnych lub podmiotów wielostronnych z udziałem państw czy organizacji świata zachodniego). Można zakładać takie intencje, tyle że to rząd powinien w jakikolwiek sposób je pokazać. Premier tymczasem mówił po prostu, że „nie można negocjować”, i nie robił tu żadnych zastrzeżeń.

Arcybiskup Światosław Szewczuk, którego księża bez wythnienia służą na froncie, w czasie pierwszej wojny w Zagłębiu Donieckim pytał, czy jakiegolwiek „geopolityczne dywidendy” i wszelkie polityczne „ambicje – biorąc pod uwagę ból i cierpienie człowieka – mają jakieś znaczenie”. Nie chodzi o to, by traktować to pytanie jako retoryczne, należy się po

prostu nad nim poważnie zastanowić. Bezpieczeństwo narodów to bezpieczeństwo ludzi i zawsze ma wymiar geopolityczny. Przeciwwstawienie się agresji zawsze pociąga ofiary. Chodzi jednak o to, by wpatrując się w miraż przyszłej sprawiedliwości wyegzekwowanej przez uniwersalną demokrację, nie stracić sprzed oczu jej ceny, po prostu ludzi.

WIDMO ROZSZERZENIA KONFLIKTU

Umiar w polityce bywa często opacznie rozumiany. Traktuje się go najczęściej jako wyrachowaną ostrożność w zaangażowaniu albo wręcz ustępstwo ze sprawiedliwości. Tymczasem umiar to coś przeciwnego, to nie pomniejszanie powinności, ale uwzględnianie ich wszystkich. To wybór miary wskazującej, ile należy zrobić w danej sprawie, bez pomijania innych spraw, które trzeba realizować lub podjąć.

Amerykanie potrafili Ukraińcom powiedzieć: „Chcemy, żebyście wygrali tę wojnę, i zrobimy, co możemy, żeby wam

Jeśli najbliższe tygodnie poprawią sytuację Ukrainy, to powinniśmy wziąć czynny udział w działaniach na rzecz zakończenia wojny, a nie je utrudniać

pomóc, ale nie chcemy, żeby wojna rozlała się na sąsiednie państwa i przekształciła w konflikt światowy. To byłoby nieszczęście dla wszystkich. Rozumiemy, że zaatakowane państwo nie chce być samo i chce umiędzynarodowienia konfliktu, to naturalne. Jednak umiędzynarodowienie musi mieć swoje granice i dlatego nie damy wam broni, z której moglibyście atakować terytorium Rosji. Nie możemy ryzykować ich odwetu poprzez atak na linie zaopatrzenia w pomagających wam państwach trzecich”. A w chwilach jeszcze większej szczerości może dodają: „Świat jest, niestety, większy niż Ameryka i Europa, naszą słabość mogliby wykorzystać inni wrogowie, których mamy. Nawet my moglibyśmy nie udźwignąć wojny rozszerzonej na inne kontynenty, a wtedy już pomóc wam byśmy nie mogli”. I przyjmując takie założenie,

przekazują im broń do nadchodzącej kontrofensywy, ale bez wyrzutni dalekiego zasięgu. Z perspektywy „egzaltacyjnej” to przejaw małodusznego pragmatyzmu. W planie realnym zaś to doskonałe urzeczywistnienie realizmu narodowego i uniwersalnej odpowiedzialności. Robienie wszystkiego, co w danej sprawie zrobić należy, bez zapoznawania innych pól odpowiedzialności.

CZEKAJĄC, AŻ UMILKNĄ DZIAŁA

Polska musi oczywiście optować za udzielaniem Ukraińcom pomocy koniecznej do oporu i odrzucenia nieprzyjaciela, szczególnie teraz, gdy sytuacja armii ukraińskiej staje się coraz trudniejsza. Musimy też uczestniczyć i uczestniczymy w realizacji tej polityki. Wynik tej wojny ma zasadnicze znaczenie dla polskiej racji stanu. Ale pomoc Zachodu, która zaważy na wyniku wojny, zależy od zgody państw zachodnich i zdolności jej osiągnięcia. Nie da się jej wymusić medialnymi pretensjami, a budowanie wizerunku państwa, które irytują wszelkie próby pokojowe, które uważa pokój za niemożliwy (przynajmniej dopóty, dopóki „nie wydadzą Putina”), będzie jedynie izolować Polskę i osłabiać, a nie wzmacniać siłę naszych argumentów.

Musimy więc (1) prowadzić własną narodową politykę, ale ze świadomością, że realizujemy ją w dużym stopniu (2) w ramach struktur i porozumień kolektywnych, w pierwszym rzędzie NATO, to zaś wymaga działania (3) ze świadomością tendencji politycznych państw, z którymi musimy współpracować. Naszą inicjatywę narodową, sondowanie nastawienia partnerów, powinniśmy podejmować przede wszystkim na forach wewnętrznych, odnosząc się do realnych rozważań o opcji.

To nie my rozstrzygniemy losy tej wojny, ale – jeśli najbliższe tygodnie poprawią sytuację Ukrainy – powinniśmy wziąć czynny udział w działaniach na rzecz jej zakończenia, a nie je utrudniać. I oczywiście, jeśli dojdzie do ogólnych rozmów na temat bezpieczeństwa w Europie Wschodniej, to my – wspólnie z bliskimi państwami – musimy przypomnieć o naszych własnych interesach bezpieczeństwa, z demilitaryzacją Królewca na czele. We właściwym czasie, ale nigdy nie tracąc świadomości, że za bezpieczeństwo Polski i Polaków odpowiadamy w pierwszym rzędzie sami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Już 27 czerwca w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

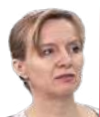
www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl
eprasa.pl 9ebd9c95fb

Spiskowy „spisek gender”

Wcyklicznym socjologicznym raporcie „Uprzedzenia w Polsce w 2017 r. Oblicza przemocy międzygrupowej” (ukazał się z pewnym opóźnieniem) znalazł się artykuł pt. „Wiara w spiskujący gender. Charakterystyka zjawiska i jego podłoże psychologiczne”. Umieszczono go także na portalach naukowych, a serwis Nauka w Polsce (prowadzony przez Fundację PAP) zamieścił omówienie tego artykułu pod znamienym tytułem „Skąd przekonanie o »spisku gender«? Zbadali to naukowcy”. W świat poszła więc fama, że gender jest szkodliwy, naukowe i pożądane, a kto twierdzi inaczej, ten po prostu się nie zna, jest niedouczony, uprzedzony i ogólnie antynaukowy. Uwaga: za wiarę w „spisek gender” ma odpowiadać „kolektywny katolicki narcyzm”.

BADANIE UPRZEDZEŃ

Tego typu publikacje są niezwykle szkodliwe poprzez powoływanie się na autorytet nauki, dlatego sprawa ta mocno mnie zmobilizowała. Ostatnio zebrałam dane, które obrazują wręcz eksplozję zaburzeń tożsamości płci wśród dzieci i młodzieży na poziomie nawet kilkunastu tysięcy procent średnio w ciągu ośmiu lat



Agnieszka Marianowicz-Szczygieł

Ideologia gender nie istnieje, to teoria spiskowa, wymysł fanatycznych katolików. To wniosek, który płynie z lewicowej narracji, ale i znajduje nieoczekiwane poparcie w nierzetelnych publikacjach naukowych. Tymczasem coraz więcej młodych ludzi cierpi na zaburzenia tożsamości płci

(artykuł „Wzrost zaburzeń tożsamości płci wśród dzieci i młodzieży – dane z 10 krajów” w „Kwartalniku Naukowym Fides et Ratio”). Gallup wykazał, że w najmłodszym badanym pokoleniu Z w USA (ur. 1997–2012) następuje gwałtowny przyrost identyfikacji LGBT z poziomu 10,5 proc. do 20,8 proc. (w latach 2017–2021), co jest wręcz groźne dla demografii, bo i homoseksualizm, i „pełny” transseksualizm są bezpłodne. Skutki wdrażania ideologii gender są więc już nie tylko zauważalne, lecz także mierzalne. Ideologii gender? A może teorii gender, doktryny gender? Według encyklopedii PWN ideologia to „zbiór poglądów służących do całościowego interpretowania i przekształcania świata”, a więc gender to bezsprzecznie ideologia.

Przed ideologią gender ostrzegało piórem wielu polskich naukowców, jak prof. Ryszard Legutko (filozofia, polityka), prof. Maria Ryś (psychologia), prof. Marek Rosiak (filozofia), prof. Aleksander Stępkowski (prawo), ks. prof. Waldemar Chrostowski (teologia, biblistyka), a nawet seksuolog prof. Zbigniew Lew-Starowicz. Autorzy wspomnianego artykułu na temat „spisku gender” wiedzą jednak lepiej – to doktor psychologii politycznej wykładająca na uniwersytecie w Wielkiej Brytanii (a więc łatwo o import tezy), doktor psychologii z PAN oraz student IV roku psychologii na Wydziale Psychologii UW. A badanie „Polski Sondaż Uprzedzeń 2017” zostało sfinansowane w ramach grantu OPUS Narodowego Centrum Nauki.

„Kryzys migracyjny oraz sukcesy wyborcze skrajnie prawicowych, populistycznych polityków przekładają się na nasilanie się przemocy międzygrupowej, czyli przemocy motywowanej przynależnością grupową ofiar” – czytamy we wprowadzeniu, gdzie wymieniane są Polska, Węgry, Francja i Włochy. Wśród 13 artykułów pojawia się cała lista dyżurnych lewicowych tematów: uprzedzenia antyimigranckie, „postawy wobec przemocy płciowej i praw reprodukcyjnych kobiet”, wobec osób homoseksualnych, muzułmanów, antysemityzm i „spisek gender”. Prawie taka sama lista jest na stronie Centrum Badań nad Uprzedzeniami na UW. Widać, że dobór i kategoryzacja tematów w publikacji i placówce są bardzo tendencyjne.

KORONNY DOWÓD?

Przejdźmy do owego koronnego dowodu, że wiara w ideologię gender to teoria spiskowa. Po pierwsze, badanie przeprowadzono za pomocą ankiety, która składa się z zaledwie trzech pytań. Zostały przygotowane na bazie wypowiedzi ks. prof. Oko (dlaczego akurat jego?). Są ukierunkowane i nie dają badanym alternatywy: „1. Gender został stworzony po to, aby zniszczyć cywilizację judeo-chrześcijańską, 2. Gender dąży do przechwycenia mediów, 3. Gender jest wprowadzany w sposób tajemny i pozakulisowy”.

Jako przesłanki i materiał dowodowy przytoczono bardzo niewiele cytatów z wypowiedzi, wydarzeń w życiu publicznym, w tym omyłkowo i fasadowo interpretowanych, oraz dowody jedynie na popularność tematu. W żaden sposób nie zweryfikowano, czy gender to teoria, strategia, ideologia czy może rzeczywiście teoria spiskowa. Słowem – bardzo kruche podstawy do bardzo poważnych zarzutów.

Jakie dowody na rzecz „spisku gender” podano w artykule naukowym? Na moich studiach psychologicznych uczono mnie, że punktem wyjścia są zawsze definicje, jak miara i linijka we wnioskowaniu naukowym. Tu ich brak okazał się kluczowy, bo słowo „gender” ma co najmniej pięć znaczeń. Tymczasem odniesiono je tylko do opartej na relatywizmie poznawczym dyscypliny uchodzącej za naukową – gender studies (podobnie jak race studies, ethnic studies, black studies, LGBT+ studies – tyle punktów widzenia, ile odniesienia) – która bada społeczną i kulturową rolę płci (jak pojmowanej?), a także

„analizę stereotypów płciowych” (s. 187; kto je określa?). W wyniku tej genderowej perspektywy dochodzi obecnie np. do reinterpretacji historii przemianowywanej na „herstory” („jej historia” zamiast „jego historia”)...

Gender (ang. rodzaj) oznacza jednak także rodzaj gramatyczny, płeć społeczną (społeczne role płciowe), płeć psychiczną (psychiczna identyfikacja z daną płcią) oraz, w wymiarze społecznym, program zmian społecznych, obejmujący także inne obszary (ideologia gender). Gender, tak czy owak, ignoruje płeć w znaczeniu biologicznym.

Wspomniany artykuł zawiera, bo nie udowadnia, gotowe tezy – „wiara w »spisek gender«” pojawia się tu jako jedyne wytłumaczenie. Nie oceniono trafności trzech pytań z ankiety (czy badają to, co badają) oraz rzetelności (jak dokładnie to robią), nie dano respondentom alternatywy, mimo to owe trzy pytania szumnie nazwano „skalą wiary w »spisek gender«”. Zaraz po wymienieniu dowodów jedynie na popularność tematu od razu nastąpiło przejście do omówienia „funkcji psychologicznych” teorii spiskowych oraz obszerne przedstawienie koncepcji narcyzmu kolektywnego, która ma tu rzekomo zastosowanie.

Na wielu stronach występują dalekie diagramy i tabelki, analizy demograficzne oraz przeprowadzono nawet analizę regresji (wszystko na podstawie tych trzech pytań i metryczki z podstawowymi danymi respondentów – wiek, płeć, miejsce zamieszkania, region geograficzny itp.). Nagle – ni stąd, ni zowąd – na diagramie jako zmienna o silnym wpływie na wiarę w „spisek gender” wśród katolików pojawia się „kolektywny narcyzm”, który nijak nie został tu zoperacjonalizowany – nie zostało sprecyzowane, które z pytań dotyczyło tego wymiaru. Dopiero ze strony PAP dowiadujemy się, że było jakieś inne (jakie?) badanie. Aha, usunięto osoby innego wyznania niż katolickie. W podsumowaniu pytania czytamy, „że wiara w »spisek gender«” jest dość popularna wśród katolików (30 proc.) i są to osoby, którym towarzyszy m.in. niskie poczucie kontroli nad własnym życiem. „Nie jest dla nas zaskoczeniem, że przekonanie o istnieniu »spisku gender« wiąże się z większą religijnością, bardziej konserwatywnymi poglądami oraz poparciem partii przyjmujących takie poglądy” – czytamy. Dowiemy się także, że wiara w „spisek gender” może być niebezpiecz-

na, może „doprowadzić do zaostrenia wielu konfliktów, a nawet do międzygrupowej przemocy”, „na końcu tego procesu znajduje się agresja wobec grup mniejszościowych i chęć ograniczania ich już tak niewielkich praw”. Robi się strasznie.

Wobec tak groźnych domniemyanych skutków oraz wyrafinowanej i skomplikowanej metodologii, która – jak widać – rośnie jak pączuszek w maśle na państwowych funduszach proponuję własną, również trzydziściową „skalę ideologizacji nauki”. Wyliczam pytania: 1. Im mniejsza liczba pytań, tym więcej można udowodnić, 2. Naukowcy nie powinni być sprawdzani ani krytykowani, ponieważ zawsze mają rację, zwłaszcza ci lewicowi, 3. Konserwatywne poglądy są z natury wsteczne i powinny przestać istnieć.

Jako zmienną pośredniczącą (bez udowadniania, skąd się tu wzięła) proponuję kolektywny mesjanizm lewicy. Moim zdaniem odpowiedź na trzy powyższe pytania oznacza także wiary, że hołubienie mniejszości ratuje od opryszczenia, plagi stonki ziemniaczanej, zapobiega AIDS, a żeńskie końcówki podwyższą w Polsce płace kobietom oraz wpłyną na długość rzęs Bridget Jones. Pragnę także dodać, że jako osoba, która w poniedziałki i środy identyfikuje się jako Smok Wawelski, jestem w skrajnej i zagrożonej wyginięciem mniejszości, co oznacza, że wydrukowanie mojego artykułu powinno się odbyć w trybie natychmiastowym, w przeciwnym razie nie pozostanie mi nic innego, jak oskarżenie o dyskryminację (skrzyżowaną) oraz smokofobię. W ramach smoko studies uważam, że to, iż Kmicic wysadził za Szwedą tę kolubrynę w Częstochowie, było niesmaczną aluzją do mojego jakże tragicznego losu. Aha, pragnę także ogłosić powstanie Społecznego SMOKitetu Obrony i Kontroli nauki (w skrócie SMOKn)... przed ideologicznym ogłupieniem...

Nie, nie naśmiewam się tu z ludzi dotkniętych zaburzeniami płci, bo nie mają w życiu łatwo i trzeba im adekwatnie pomagać, ideologii gender czy queer, która ignoruje płeć w ujęciu biologicznym lub ją neguje, trzeba się jednak przeciwstawić. Ponieważ dobry warsztat naukowy wymaga sprawdzenia przeciwstawnych hipotez, proponuję jedną, której – zdaje się – autorzy artykułu nie wzięli pod uwagę. Może to oni sami przejawiają ów kolektywny narcyzm, czyli nadmiernie wyidealizowany obraz grupy własnej?



Piotr Woyciechowski

W PRL przygotowano do emisji specjalne banknoty. Prawdopodobnie miały być one środkami płatniczymi na terenach okupowanych przez Ludowe Wojsko Polskie w wypadku wojny napastniczej ZSRS

Historia banknotów o kryptonimie E-71, jak również związane z nimi i niewyjaśnione do chwili obecnej zagadki mogłyby posłużyć za kanwę scenariusza dobrego filmu sensacyjnego. Otóż w jednym ze skarbów Narodowego Banku Polskiego znajdowały się przechowywane od dziesięcioleci trzy drewniane wojskowe pojemniki opatrzone przywieszką „Tajne specjalnego znaczenia”. Po upływie wielu lat, w maju 2015 r., przystąpiono do prac mających na celu wyjaśnienie przeznaczenia przechowywanych skrzyń i ustalenie ich faktycznej zawartości. Po komisijnym otwarciu okazało się, że w pojemnikach znajdowały się trzy komplety materiałów służących do produkcji banknotów o kryptonimie E-71 – przygotowanych na wypadek możliwego konfliktu zbrojnego. Jeden komplet został przekazany do PWPW.

Opinia publiczna po raz pierwszy mogła dowiedzieć się o istnieniu banknotów o kryptonimie E-71 dzięki inicjatywie PWPW, która w 2016 r. zaprezentowała przedmiotowe numizmaty podczas specjalnie zorganizowanej w tym celu konferencji prasowej.

Z kolei na początku stycznia 2022 r. w centrali Narodowego Banku Polskiego w Warszawie otwarto wystawę poświęconą tajnym banknotom o kryptonimie E-71. Banknoty te zostały zaprojektowane i wyprodukowane w okresie reżimu komunistycznego na wypadek konfliktu zbrojnego pomiędzy Związkiem Radzieckim i jego satelitami a państwami NATO. Na ekspozycji prezentowana jest cała seria banknotów wojennych „E-71”, w tym unikatowe arkusze znaków pieniężnych o nominałach od 1 do 2000 zł (łącznie 11 nominałów), banknoty próbne i projekty graficzne z serii „Miasta Polskie”, opracowane przez Andrzeja Heidricha w latach



Tajne banknoty „E-71”



Być może wystawa w NBP poświęcona banknotom „E-71” zostanie udostępniona szerszej publiczności

FOT. ARTUR TKACZYK/PWPW

60. ubiegłego wieku, a także dokumentacja techniczna opisująca uruchomienie produkcji tajnej serii banknotów w momencie wybuchu wojny.

Wystawa została zorganizowana dzięki wsparciu i osobistej decyzji prof. Adama Glapińskiego – prezesa NBP. Na razie dostępna jest tylko dla pracowników banku i jego gości. Możliwe, że w najbliższym czasie ekspozycja zostanie udostępniona opinii publicznej za pomocą technologii spaceru wirtualnego.

Emitentem tajnej serii banknotów o kryptonimie E-71 był Narodowy Bank Polski. Wiodącym producentem zaś Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych (obecnie jednoosobowa spółka Skar-

bu Państwa działająca pod nazwą Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych SA) oraz Białostockie Zakłady Graficzne (po prywatyzacji spółka akcyjna należąca do grupy kapitałowej KOMPAP SA z siedzibą w Kwidzynie) jako zakład zastępczy. Wszystkie wymienione instytucje wykonywały w tym względzie zadania zlecone przez Komitet Obrony Kraju (KOK).

W realiach Polski Ludowej Komitet Obrony Kraju był organem odpowiedzialnym za sprawy obronne i uprawnionym do bieżącej koordynacji oraz nadzorowania realizacji zadań obronnych przez inne organy państwa komunistycznego. Z chwilą wprowadzenia w kraju stanu bezpośredniego zagrożenia bezpieczeń-

stwa lub wojny pełnię władzy w państwie przejął Komitet Obrony Kraju, złożony z kierownictwa partii i rządu pod przewodnictwem I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR. W okresie pokoju w skład Komitetu Obrony Kraju wchodził z klucza: generałowie, ministrowie i wiceministrowie Ministerstwa Obrony Narodowej, minister spraw wewnętrznych, ministrowie odpowiedzialni za transport, przemysł i kulturę. Przewodniczącym KOK był premier PRL, a funkcję sekretarza pełnił główny inspektor obrony terytorialnej.

ZMILITARYZOWANY NBP

W odniesieniu do operacji o kryptonimie E-71 fundamentalnym dokumentem wydanym przez Komitet Obrony Kraju była tajna uchwała nr 007/66 z 8 stycznia 1966 r. w sprawie obsługi przez Narodowy Bank Polski obiegu pieniężnego w okresie bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa PRL i w czasie wojny. Prawie 10 lat później została wydana kolejna tajna uchwała KOK nr 004/75 z 17 kwietnia 1975 r. w sprawie zabezpieczenia przez NBP produkcji banknotów oraz obiegu pieniężnego w czasie zagrożenia bezpieczeństwa państwa i wojny. Postanowienia tej ostatniej uchwały, z niewielkimi zmianami, obowiązywały do końca istnienia PRL.

Czytelnicy muszą wiedzieć (szczególnie ci młodszy), że w rzeczywistości komunistycznej NBP zajmował zupełnie inną pozycję ustrojową od tej, jaką bank centralny zajmuje w obecnym systemie demokratycznego i suwerennego państwa polskiego. Przede wszystkim nie był organem niezależnym.

Początkowo funkcjonował jako bank państwowy pod nadzorem ministra skarbu (potem ministra finansów). Do końca lat 80. ubiegłego wieku zajmował się działalnością ogólnobankową: był monopolistą nie tylko w dziedzinie emisji pieniądza, lecz także udzielania kredytu i gromadzenia oszczędności. Nie wolno także zapominać, że Narodowy Bank Polski w wysokim stopniu był instytucją zmilitaryzowaną i poddaną ścisłej kontroli instancji partyjnych.

Na przykład w ramach planów mobilizacyjnych Ludowego Wojska Polskiego przewidziano powstanie połowych oddziałów NBP przy dowództwach wszystkich dywizji. Za sformowanie takich połowych oddziałów odpowiedzialni byli poszczególni dyrektorzy terenowych

oddziałów NBP. Do zadań tych jednostek należało zapewnienie obrotu gotówkowego, zagwarantowanie wypłacenia żołdu żołnierzom oraz zobowiązań kontrahentom wojska. Co więcej, NBP na mocy przywołanej wyżej uchwały Komitetu Obrony Kraju nr 004/75 został zobowiązany do utworzenia sieci oddziałów zasilających, przewidzianych do przyjęcia ewakuowanych z centrali rezerw pieniężnych, dewiz i kruszców. W tym celu podjęto się budowy pięciu nowych oddziałów, tzw. oddziałów rezerwowych, w kilku miejscowościach: w Brodnicy, Słupcy, Kozienicach, Augustowie i Lubartowie. To właśnie w magazynach NBP w Słupcy i Brodnicy przechowywała się do początku lat dwutysięcznych część wyprodukowanych tajnych banknotów serii „E-71”. Niezależnie od tego w strukturze NBP funkcjonował rozbudowany pion wojskowy, w skład którego wchodził czynni oficerowie Ludowego Wojska Polskiego oddelegowani do zadań służbowych w sektorze cywilnym.

Jak wcześniej wspominałem, w okresie PRL NBP podlegał także silnej kontroli ze strony PZPR. Z tego względu liczne stanowiska kierownicze w centrali banku należały do tzw. nomenklatury partyjnej. Oznaczało to, że zgodę na powołanie lub odwołanie danej osoby ze stanowiska – np. dyrektora Departamentu Spraw Obronnych Centrali NBP – bezpośrednio wyrażał sam Wydział Polityki Kadrowej Komitetu Centralnego PZPR w Warszawie.

Ówczesny NBP był częścią składową sektora finansowo-bankowego, silnie wkomponowanego w system władzy państwa totalitarnego. Z tego powodu instytucje tego sektora zostały szczególnie oplecione pajęczyną zależności od służb specjalnych PRL. Celnie scharakteryzował ten stan prof. Adam Glapiński już 30 lat temu, wypowiadając się na łamach bestselleru „Lewy czerwcowy”. W tej kultowej już książce pióra Jacka Kurskiego i Piotra Semki, wydanej w 1993 r., przyszyły prezes NBP tak opisuje zastane realia i zagrożenia, z którymi rząd premiera Jana Olszewskiego, którego prof. Glapiński był członkiem, musiał się zmierzyć: „Cała sfera finansów i ban-

kowości opanowana jest w znacznym stopniu przez aparat postkomunistyczny, a zwłaszcza przez służby specjalne: wywiad, kontrwywiad, Zarząd II Sztabu Generalnego [wywiad wojskowy PRL – przyp. P.W.] i Departamentu I MSW [wywiad cywilny PRL – przyp. P.W.]. Kontrolują one w dużym stopniu Ministerstwo Finansów, NBP, dużą część MSZ i handlu zagranicznego. Dziś już są tak silni, że podzielili się na kilka grup interesów, które rywalizują ze sobą; w sprawach strategicznych jednak – ciągle jeszcze grają solidarnie”.

PO CO BYŁY TAJNE BANKNOTY?

Narzuca się oczywiste pytanie: W jakim celu władze komunistyczne zdecydowały się na wyprodukowanie tajnych banknotów na czas wojny? Odpowiedź na to pytanie nie jest jednoznaczna. Szczątkowe dokumenty, które się zachowały do naszych czasów, wskazują, że tajne banknoty o kryptonimie E-71 miały być emitowane na obszarze PRL w sytuacji zagrożenia bezpieczeństwa państwa lub konfliktu zbrojnego jako tzw. banknoty zastępcze wobec banknotów obiegowych. Innymi słowy, podczas wybuchu wojny planowano operację wymiany banknotów na terenie całego kraju (sic!). I tu pojawiają się pierwsze

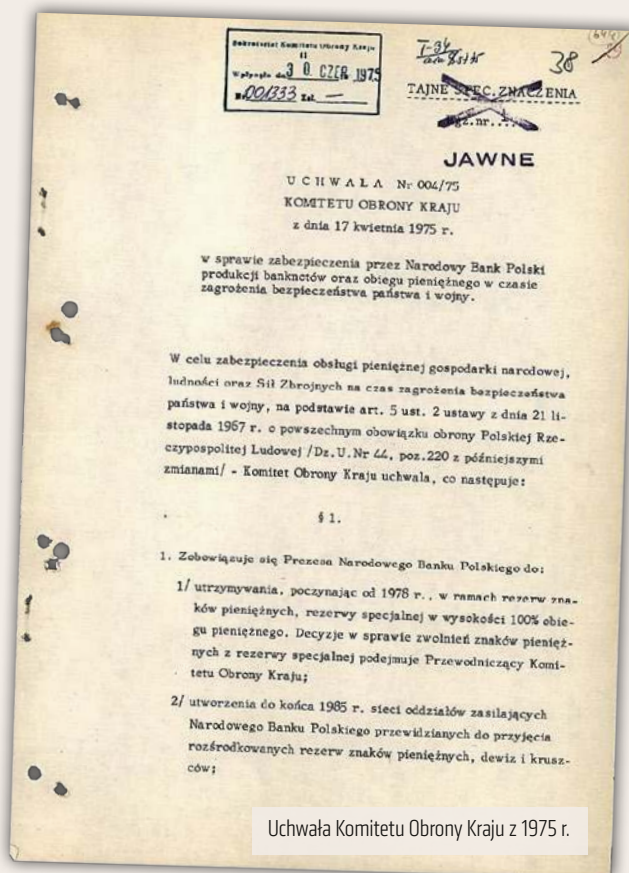
wątpliwości co do deklarowanego celu produkcji banknotów „E-71”.

Po pierwsze, przepisy mobilizacyjne na czas wojny zobowiązywały NBP do utrzymywania w skarbcach banku rezerwy (tzw. rezerwy specjalnej) znaków pieniężnych w wysokości 100 proc. obiegu pieniężnego na obszarze PRL. Po drugie, te same przepisy nakazywały utrzymywanie wolumenu rezerw papieru i pozostałych surowców niezbędnych do zabezpieczenia bieżącej produkcji banknotów w okresie trzech miesięcy. Po trzecie, można sobie tylko wyobrazić, jaki chaos i niepokój społeczny zapanowałyby podczas wymiany banknotów obiegowych na zupełnie nowe środki płatnicze w trakcie działań wojennych. Stąd też pojawia się pytanie: Czemu służyła utajniona seria banknotów „E-71”, skoro w skarbcach NBP przechowywano wystarczający zapas gotówki umożliwiający

zaspokajanie bieżących potrzeb wojska oraz społeczeństwa w sytuacji nadzwyczajnej?

Z pomocą przychodzą nam cudem ocalałe plany wojny napastniczej, które pod dyktando sowieckich generałów opracowywano w Sztabie Generalnym LWP. Trzeba wiedzieć, że w ramach przygotowywanego przez ZSRS planu – strategicznego ataku na państwa NATO – Ludowemu Wojsku Polskiemu przydzielono zadanie zajęcia w pierwszych dniach wojny terytoriów Danii, Niemiec Zachodnich, Holandii i Belgii. W nomenklaturze sztabowej plany te przyjęły nazwę „Plany operacji zaczepnej Frontu Nadmorskiego”. Sporządzane były przez Sztab Generalny LWP według wskazań Sztabu Generalnego Armii Sowieckiej od 1965 do 1989 r. Było to główne zadanie LWP na wypadek wybuchu trzeciej wojny światowej. Co istotne, wymienione kraje miały być docelowo okupowane przez Ludowe Wojsko Polskie.

Czytelników zainteresowanych pogłębieniem wiedzy na temat roli Polski Ludowej w przygotowywanej przez ZSRS napaści na kraje Europy Zachodniej odsyłam do relacji z debaty, która została zorganizowana w lutym 2022 r. w Instytucie Pamięci Narodowej Warszawie pt. „Sowiecka wojna napastnicza – atomowy holokaust



Uchwała Komitetu Obrony Kraju z 1975 r.

Polski” – cykl „Tajemnice bezpieki”. Debata, która odbyła się z udziałem pracowników Naukowych WBH: dr. hab. Sławomira Cenckiewicz oraz dr. Pawła Piotrowskiego i mojej skromnej osoby, dostępna jest na kanale IPNtv platformy YouTube.

Ofensywa LWP miała być poprzedzona zmasowanym uderzeniem przy użyciu taktycznej broni jądrowej (tzw. operacja porażenia jądrowego). Ładunki nuklearne miały być zrzucone na kilkadziesiąt uprzednio wytypowanych celów strategicznych, w tym na takie miasta jak Bruksela, Rotterdam, Antwerpia, Amsterdam, Monachium, Bonn czy Hamburg. Dla osiągnięcia zakładanego celu Sowieci oddali do dyspozycji wojsk rakietowych i lotniczych LWP łącznie 178 głowic jądrowych oraz termojądrowych. Broń nuklearna przeznaczona dla jednostek bojowych LWP była przechowywana na terytorium PRL w trzech tajnych schronach, specjalnie w tym celu wybudowanych w ramach operacji o kryptonimie Wisła. Były to: „Obiekt 3001 Dobrowo” – zlokalizowany w okolicy miejscowości Podborsko na południe od Białogardu, „Obiekt 3002 Gródek” – w okolicy miejscowości Sypniewo na północny wschód od Wałcza oraz „Obiekt 3003 Templewo” – położony niedaleko miejscowości Trzemeszno Lubelskie. Dzisiaj obiekty te stanowią lokalną atrakcję turystyczną i są dostępne dla zwiedzających.

Skalę przygotowań Polski Ludowej do wojny napastniczej obrazuje ujawniona przez Wojskowe Biura Historyczne mapa „Plan operacji zaczepnej Frontu Nadmorskiego”, pochodząca z 1970 r. i podpisana osobiście przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego – ówczesnego ministra obrony narodowej oraz wysokiego dygnitarza PZPR. Już rok później, tj. w lutym 1971 r., w Narodowym Banku Polskim oraz w Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych zakończono prace projektowe nad tajnymi banknotami o kryptonimie E-71 (sic!). Z kolei pięć lat później, tj. w 1976 r., w ramach ćwiczeń specjalnych (tzw. gry wojennej) Białostockie Zakłady Graficzne wyprodukowały pewną liczbę banknotów „E-71”.

Niestety, to nie wszystko. Sztab Generalny LWP doskonale zdawał sobie sprawę ze skutków uderzenia jądrowego na państwa Zachodu. W NATO obowiązywała wówczas doktryna odstraszania nuklearnego. Innymi słowy, planiści z gen. Wojciechem Jaruzelskim na czele przewidywali przeprowadzenie ze strony państw NATO

skutecznego odwetu jądrowego na terytorium Polski. Dokumenty dostępne w Instytucie Pamięci Narodowej oraz w Wojskowym Biurze Historycznym wskazują, że szacowane przez Sztab Generalny LWP straty w ludności oraz poziom skażenia radioaktywnego mogły spowodować, że Polska stałaby się pustynią atomową, a naród polski przestałby istnieć. Stan grozy doskonale oddaje kopia odtajniona przez WBH mapy pochodzącej z 1979 r. Mapa wskazuje przewidywane cele uderzeń jądrowych, które zostałyby dokonane przez siły NATO na terytorium PRL – wraz ze strefami skażeń – oraz sytuację na zachodnim teatrze działań wojennych po przeprowadzeniu zmasowanego odwetu jądrowego. Rzeczona mapa została opracowana w ramach przeprowadzonej gry wojennej kadry kierowniczej MON o kryptonimie Szaniec-79.

I tak w przypadku nominału 20 zł wykorzystano panoramę Poznania, dla 50 zł – Gdańską, 100 zł – Katowic, 200 zł – Lublina, 500 zł – Krakowa, dla nominału 1000 zł – Warszawy i dla 2000 zł – Gniezna. Co ważne, wszystkie nominały – z wyjątkiem tego o wartości 200 zł („Lublin”) oraz 2000 zł („Gniezno”) – posiadają datę emisji 1971 r., dwa ostatnie nominały datę emisji w 1977 r. Ciekawostką jest to, że projekt graficzny nominału 1000-złotowego „Warszawa” został kilkanaście lat później wykorzystany do produkcji banknotu obiegowego o nominale 200 000 zł. Banknot ten wszedł na krótko do obiegu w grudniu 1989 r., podczas szalejącej hiperinflacji zafundowanej nam wskutek tzw. planu Balcerowicza. Wkrótce został wycofany z obiegu z powodu niskiej jakości zabezpieczeń i dużego ryzyka fałszerstw.

Projekt graficzny nominału 1000-złotowego tajnych banknotów został później wykorzystany do produkcji banknotu o nominale 200 000 zł. Wszedł on na krótko do obiegu w 1989 r.

Reasumując: w zamyśle władz komunistycznych tajne banknoty o kryptonimie E-71 miały prawdopodobnie zostać wprowadzone do obiegu dopiero na obszarach zajętych przez Ludowe Wojsko Polskie, obejmujące w przypadku sukcesu „Planu operacji zaczepnej Frontu Nadmorskiego” tereny Danii, Niemiec i krajów Beneluksu. Możliwe, że miały pełnić charakter znaków pieniężnych obowiązujących w strefach okupowanych przez LWP. Oczywiście prezentowany tutaj pogląd powinien zostać poddany w przyszłości weryfikacji w ramach pogłębionych badań historycznych. Niemniej, w świetle dostępnych dokumentów scenariusz ten wydaje się wysoce prawdopodobny.

MIASTA NA NOMINAŁACH

Na koniec garść informacji o samych banknotach serii „E-71”. Do produkcji banknotów wykorzystano projekty graficzne z serii „Miasta Polskie” autorstwa Andrzeja Heidricha. Niskie nominały o wartości 1, 2, 5 i 10 zł zostały zaprojektowane bez panoram miast. Natomiast pozostałe nominały zawierają zamieszczone na rewersie banknotu nazwy i godła wybranych miast oraz elementy charakterystycznej architek-

Jak wspomniano wyżej, pewien wolumen banknotów wyprodukowano podczas ćwiczeń specjalnych w 1976 r. Na obecnym etapie badań nie znamy łącznej liczby egzemplarzy wyprodukowanych banknotów oraz ich nominałów (pewni tylko jesteśmy, że wyprodukowano banknoty o nominałach 50 i 100 zł). Wiemy tylko, że jeszcze pod koniec lat 80. ubiegłego wieku banknoty „E-71” przechowywane były w jednej z komór skarbcowych w gmachu Banku Gospodarstwa Krajowego w Warszawie jako depozyt Departamentu Spraw Obronnych NBP. W kolejnych latach wyprodukowane banknoty relokowano i umieszczono w magazynach oddziałów zapasowych NBP w Słupcy i Brodnicy. Banknoty „E-71” nie zachowały się do czasów współczesnych. Ostatnie egzemplarze tajnych banknotów o nominale 100 zł zniszczono w maju 2003 r. To, co można obecnie zobaczyć, to tzw. zestawy wyjściowe do produkcji emisji banknotów „E-71” oraz dokumentacja techniczna. Komplet tych unikatowych zestawów znajdują się obecnie w dyspozycji NBP oraz PWPW.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest byłym wiceprzewodniczącym Komisji Likwidacyjnej WSI oraz członkiem Komisji Weryfikacyjnej ds. WSI. W niniejszej publikacji prezentuje wyłącznie prywatne poglądy i opinie.

Działalność Muzeum Ofiar Komunizmu, pierwszej tego typu placówki w USA, zainaugurowano 8 czerwca FOT. SŁAWOMIR KASPER/IPN

W imieniu stu milionów



Radosław Wojtas

Od niewielkiej broszury Marksa i Engelsa do ponad 100 mln odebranych żyć. Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie mówi o historii i jest przestrożą na przyszłość, że w genotypie ideologii komunistycznej zawsze były i będą śmierć, terror i zniewolenie. Muzeum sporo miejsca poświęca Polsce. To w dużej mierze dzięki wsparciu z Polski w ogóle mogło powstać

W 1920 r. Polacy jako pierwsi stawili tamę wylewającemu się z Rosji bolszewizmowi. W trakcie drugiej wojny światowej Polska była areną starcia dwóch totalitaryzmów, a po 1945 r. na długie lata znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. Polacy byli przez komunistów prześladowani i mordowani. To nad Wisłą narodziła się Solidarność, która nie tylko przyczyniała się do odzyskania niepodległości przez Polskę, lecz także miała znaczący wpływ na przemiany demokratyczne w innych państwach tej części Europy. To z Polski wyszedł Jan Paweł II – papież, który odegrał znaczącą rolę w walce z komunizmem...

Nic dziwnego, że historia Polski w otwartym niedawno w Waszyngtonie Muzeum Ofiar Komunizmu zaznaczona jest bardzo wyraźnie. Nic dziwnego, że do otwarcia tego miejsca, które w stolicy Stanów Zjednoczonych pokazuje prawdziwą twarz komunistycznej ideologii, w znacznej mierze przyczynili się Polacy.

W SERCU WASZYNGTONU

900 15th Street, Washington. Pod tym adresem w środę 8 czerwca zainaugurowano działalność Muzeum Ofiar Komunizmu, pierwszej tego typu placówki w USA. W prestiżowej części stolicy Stanów Zjednoczonych, dwie przecznice od Białego Domu. Obok pomnika Bogini

Wolności, wzniesionej w 2007 r. repliki rzeźby ustawionej na placu Tiananmen w Pekinie podczas protestów w 1989 r. – To wyjątkowy moment, bo dzięki determinacji wielu osób w stolicy Stanów Zjednoczonych, kilkaset metrów od Białego Domu, udało się otworzyć muzeum, które w bardzo nowoczesny sposób w szerokiej perspektywie pokazuje, czym jest zbrodniczy system komunistyczny, jak wiele krwi ofiar jest na rękach komunistycznych oprawców – mówi w rozmowie z „Do Rzeczy” dr Rafał Leśkiewicz, historyk, rzecznik prasowy Instytutu Pamięci Narodowej, który miał okazję oglądać ekspozycję w Waszyngtonie. – To jest o tyle ważne, że muzeum znajduje się w miejscu, gdzie krzyżują się drogi amerykańskich lobbystów, ludzi kształtujących opinie – dziennikarzy, polityków, kongresmenów, wszystkich tych, dla których ta narracja powinna być ważna i powinna stanowić pewnego rodzaju refleksję w pojmowaniu współczesnego świata i współczesnych zagrożeń, jakie niosą ze sobą jakiekolwiek systemy totalitarne – podkreśla dr Leśkiewicz. Muzeum to łącznie 900 mkw. powierzchni, na którą składają się części wystawiennicza i konferencyjna. Ta

pierwsza podzielona jest na trzy sekcje. Galeria pierwsza opowiada o narodzinach komunizmu. Od Marksa i Engelsa, ich „Manifestu komunistycznego” przez utopijne obietnice Lenina aż do krwawych rosyjskich rewolucji. Galeria druga to zbrodnie stalinowskie. Masowe mordy i deportacje, terror na niewyobrażalną skalę, a także i sylwetki tych, którzy stawiali opór. To unaocznienie tego, jak niewielka broszura polityczna Marksa i Engelsa stworzyła fundament do niewyobrażalnego zła. Ostatnia galeria – „Cuda i łzy” – pokazuje sylwetki ludzi, którzy mieli odwagę przeciwstawić się komunizmowi. Opowiada o upadku komunizmu w bloku wschodnim. Prezentuje też rozprzestrzenienie się komunizmu w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej, oddaje hołd tym, którzy dziś są ofiarami ideologii komunistycznej – w Chinach, Laosie, Korei Północnej, Wietnamie, na Kubie.

Opowieść o Polsce w Muzeum Ofiar Komunizmu zaczyna się od Cudu nad Wisłą i zwycięstwa nad bolszewicką Rosją, ale największy nacisk położony jest na polski wkład w przemiany demokratyczne w Europie Środkowo-Wschodniej przed 1989 r. – To, co zrobiło na mnie największe wrażenie, to nawiązanie do Polski. Pokazanie, że Polacy byli tymi, którzy wnieśli najistotniejszy wkład w upadek systemu komunistycznego w Europie Środkowo-Wschodniej. Na wystawie przedstawiony został przede wszystkim wkład NSZZ „Solidarność”, masowego, 10-milionowego ruchu, który doprowadził do zadrżania posad systemu komunistycznego. Mocno wyeksponowana jest postać Jana Pawła II. Niezwykle ważne jest dla mnie także pokazanie sylwetki rtm. Witolda Pileckiego – opowiada dr Leśkiewicz. I dodaje: – My w Polsce potrafimy opowiadać historię systemu komunistycznego i jego upadku, wiemy, co stało za masowym ruchem społecznym Solidarności, ale niekoniecznie wiedzą o tym Amerykanie, więc prezentacja tej perspektywy jest niezwykle istotna.

ŚWIAT BEZ KOMUNIZMU

Muzeum Ofiar Komunizmu w Waszyngtonie powstało z inicjatywy The Victims of Communism Memorial Foundation (Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu). Jednym z głównych fundatorów muzeum jest Polska Fundacja Narodowa, która na powstanie tego miejsca przeznacza 10 mln dol. – W Waszyngtonie, oprócz licznych siedzib administracji publicz-



nej, znajdziemy również think tanki, instytucje pozarządowe. Chcemy, aby to muzeum stało się, również dla nich, platformą edukacyjną, miejscem wymiany myśli. Jest to idealne miejsce do przedstawienia naszych doświadczeń – mówił podczas otwarcia muzeum dr Marcin Zarzecki, prezes zarządu PFN. – Liczymy, że poprzez filmy i gry edukacyjne wiedza o tych wydarzeniach będzie mogła trafić do jak najszerszego grona młodych Amerykanów – dodawał. Wiceprezes PFN Michał Góras podkreślał wprost: – Wystawa stara się w jak najdotkliwszy sposób pokazać, że system komunistyczny to zło, z którym powinniśmy walczyć.

Fundacja Pamięci Ofiar Komunizmu to organizacja non profit powołana przez Kongres Stanów Zjednoczonych w 1993 r., która zajmuje się edukacją, działalnością badawczą, działaniami na rzecz praw człowieka w krajach wciąż dotkniętych komunizmem i upamiętnieniem ofiar tego totalitaryzmu, a na całym świecie było ich już ponad 100 mln. – W szkołach dzięki Bogu dużo uczymy się o Holokauście i dzięki temu

nikt nie kwestionuje, że pamięć o tym jest ważna. Ale tego samego nie można powiedzieć o komunizmie i jego ofiarach. Ludzie rzadko mają pojęcie, jaka to skala. Dlatego to muzeum jest tak ważne – mówił w jednym z wywiadów Andrew Bremberg, prezes Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu.

– Rzeczywiście tak jest – uważa dr Rafał Leśkiewicz. – Wynika to z tego, że ta ideologia przez długi czas była ideologią modną wśród części elit świata zachodniego. Jeszcze do niedawna np. na wielu uniwersytetach nie była wprost odbierana jako ideologia zbrodnicza – dodaje.

Idée fixe Fundacji Pamięci Ofiar Komunizmu to świat wolny od fałszywej nadziei marksizmu i zbrodniczego komunizmu. Jeśli chcemy świata, w którym komunizm uda się zamknąć w muzealnych salach, to przed nami jeszcze daleka droga. Jak podkreśla fundacja, na całym globie ponad miliard ludzi żyje w krajach zniewolonych ideologią komunistyczną. – To jest właściwy moment, by przypominać o ofiarach komunizmu i pokazywać jego prawdziwe oblicze. Właśnie dzisiaj pogrobowcy tego systemu dokonują masowych zbrodni na Ukrainie. Władimir Putin przecież wprost nawiązuje do ideologii komunistycznej, a rosyjscy żołnierze posługują się symboliką sowiecką. To wyjątkowy moment, by wzbudzić poczucie refleksji i zainteresować szczególnie młode pokolenie, by zrozumiało, że system komunistyczny to ideologia, która w swoim genotypie wpisane ma zbrodnie. A zachodni świat zdaje się o tym zapominać – konkluduje dr Rafał Leśkiewicz.



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Ubecy ze Szczecina

Polski Dzik Zachód. Tak nazywane były ziemie, które na mocy decyzji wielkiej trójki po drugiej wojnie światowej zostały oderwane od Niemiec i przyłączone do komunistycznej Polski. Na tym „Dzikim Zachodzie” opinię najbardziej dzikich miały Szczecin i okolice.

Nasilenie bandytyzmu i grabieży. Chaos i brak bezpieczeństwa będące następstwem masowych przesiedleń. Dramatyczna sytuacja gospodarcza panująca na terenach spustoszonych przez front, anglosaskie bombardowania i łupieżców z Armii Czerwonej.

Na to wszystko nakładała się szczecińska specyfika. Poczucie tymczasowości – długo nie było pewne, komu ostatecznie przypadnie Szczecin. Polsko-sowiecka dwuwładza i biegnący przez miasto kanał przemytniczy. Jednym słowem: chaos.

Ciekawa książka pod redakcją Magdaleny Semczyszyn i Zbigniewa Stanucha ukazuje, jaką rolę odgrywał w tym chaosie Urząd Bezpieczeństwa. Świetni historycy w drobiazgowy sposób ukazali działalność szczecińskiej bezpieki.

Bardzo ciekawe są artykuły dotyczące poszczególnych „utrwalaczy władzy ludowej”. Na przykład

tekst Łukasza Szkwarka poświęcony Karolowi Mrozińskiemu. Był to ubek z Miastka, syn miejscowego pierwszego sekretarza PPR.

Mrozińscy mieli poczynać sobie w Miastku jak w udzielnym księstwie. Trzymali dwie niemieckie służące, brali tłuste łapówki i pili na umór z sowieckimi żołnierzami.

Kłopoty zaczęły się, gdy Karol dokonał napadu rabunkowego z bronią w rękę. Pewnej Niemce zrabował ubrania i gotówkę. Przy okazji znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że w trakcie wojny współpracował z Niemcami. Służył w granatowej policji i polskim Kripo. Jego ojciec miał zaś wydawać ludzi gestapo.

Sprawie ukręcono łeb. Karol Mroziński został zwolniony z więzienia i przyjęty z powrotem do PPR. Choć nie

mógł wrócić do UB, to koledzy znaleźli mu posadę w aparacie. Znowu zaczął robić karierę, przystąpił do „tłumienia reakcji”.

Stare grzechy uszłyby mu płazem, gdyby nie poczuł się zbyt pewnie. Na początku 1948 r. po pijanemu wszczął awanturę w restauracji. W efekcie wyrzucono go z szeregów PPR. Saga Mrozińskiego dobiegła końca. ©



★★★★★

MAGDALENA SEMCZYSZYN, ZBIGNIEW STANUCH (RED.)
„APARAT BEZPIECZEŃSTWA NA POMORZU ZACHODNIM 1945-1956”
 IPN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki kariery uzdrowiska

Ze wszystkich uzdrowisk II Rzeczypospolitej najdłuższy status leczniczy miały Druskienniki nad Niemnem. Już bowiem 18 czerwca 1794 r. zostały uznane za miejscowość leczniczą przez Stanisława Augusta Poniatowskiego, a car Mikołaj I nadał im w 1837 r. status uzdrowiska. O popularności miejscowości zadecydowały bogate źródła solankowe, z których już w XVII w. okoliczna ludność warzyła sól. Stąd też wzięła się nazwa miejscowości, gdyż druska to litewska nazwa tej przyprawy.

W pierwszej połowie XIX stulecia Druskienniki stały się modne, szczególnie wśród mieszczańców Wilna i Grodna. W sezonach letnich bywał tutaj Stanisław Moniuszko i – jak na niego przystało – nie oddawał się tylko wypoczynkowi. Wprawdzie pijał miejscowe wody lecznicze, ale głównie koncertował i komponował, zawsze bowiem pamiętał o obowiązkach finansowych wobec swojej bardzo licznej rodziny. Nad Niemnem pojawiał się również Władysław Syrokomla, a ostatnie miesiące życia spędził tam Jan Czczot. Jednakże przyjacielowi Mickiewicza przyjazny klimat niewiele mógł już pomóc, więc Czczot zmarł w Druskiennikach w sierpniu 1847 r. Został pochowany na cmentarzu w pobliskiej Rotnicy, a jego grób zachował się do dnia dzisiejszego.

„Wody druskiennickie wcale nie są tak rzeczą

małą – zauważył Józef Ignacy Kraszewski. – Jak to opisują z daleka, są silne i niosą mnóstwo przykładów cudownego uzdrowienia, zwłaszcza dla chorych na reumatyzm i bóle żołądka. Woda w picu ma smak słono-gorzki i dość silnie rozwalnia. Ja piję dziennie po trzy szklaneczki i co dzień kąpię się. [...] Po ukończeniu tej kuracji mam jeszcze na dwa miesiące dietę fruktową”.

Po koniec XIX stulecia liczba domów przeznaczonych na kwatery dla letników zbliżała się do 200, chociaż liczba stałych mieszkańców wynosiła zaledwie kilkadziesiąt osób. Nie bez powodu jednak te czasy uchodziły za „złotą epokę” dla miejscowych handlowców i restauratorów. Do kurortu zaczęli przyjeżdżać zamożni Rosjanie, którzy nie zwracali uwagi na koszty. Dla nich liczyła się tylko fantazja w puszczeniu gotówki.

„Złoto – relacjonował jeden z dziennikarzy – [...] sypało się garściami. Zajdziesz do kawiarni i widzisz, jak bogaty kupiec lub oficer każe sobie podać kilkanaście butelek wina, i buch nimi w szyby okienne. Pobił wszystko: butelki, lustra, szyby. Ile za to płacę? – pyta się. – Pięćset rubli. Wyjął sześćset rubli i zapłacił. Pieniądże [...] płynęły jak woda. Rosyjska dusza i maniery królowały”.

Faktycznie, 600 rubli to mniej więcej 15 tys. dzisiejszych euro... ©

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Wywiad z lotnikiem,
który zbombardował
Hiroszimę!

- Jacek Bartosiak – Atomowe groźby Putina
David Holloway – Wielka bomba Stalina
Grzegorz Janiszewski – Świat na krawędzi apokalipsy
Wiktor Suworow – Zabójczy urok „Tatiany”
Tymoteusz Pawłowski – Jak działa bomba atomowa
Mikołaj Iwanow – Wielka czystka w Mińsku
Tomasz Stańczyk – Nadbałtyckie Zakopane
Rafał A. Ziemkiewicz – Polemika z Mearsheimerem

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Bałtowie nie boją się Moskwy



Jewgienij Fiodorow złożył w Dumie projekt ustawy, która ma uznawać niepodległość Litwy za bezprawną. FOT. VLADIMIR FEDORENKO/SPUTNIK/AFP/EAST NEWS



Maciej Pieczyński

Polityk partii Putina zaproponował cofnięcie uznania dla niepodległości Litwy. Czy państwa bałtyckie mogą być kolejnym obiektem rosyjskiej agresji?

Deputowany do Dumy z ramienia Jednej Rosji Jewgienij Fiodorow złożył niewiele ponad tydzień temu projekt ustawy, który może być zapowiedzią eskalacji napięcia w Europie Środkowo-Wschodniej. Zaproponowane zapisy przewidują uchylenie decyzji Rady Państwa ZSRS „O uznaniu niepodległości Republiki Litewskiej”. Według Fiodorowa decyzja ta była

bezprawna, bo podjęta została przez niekonstytucyjny organ, którym w jego ocenie była powołana przez Michaiła Gorbaczowa Rada Państwa. Fiodorow uważa też, że sama decyzja naruszała konstytucję Związku Sowieckiego, ponieważ na Litwie nie przeprowadzono wymaganego ustawą zasadniczą referendum w sprawie wyjścia z ZSRS, nie został też wprowadzony okres przejściowy celem rozpatrzenia kwestii spornych. Deputowany powołał się również na prawo postsowieckiej Rosji. Zgodnie z konstytucją „Federacja Rosyjska jest prawnym następcą ZSRS na swoim terytorium”. A skoro tak, to może rewidować podjęte przez Sowietów decyzje.

Jako jeden z argumentów Fiodorow przytoczył wyniki przeprowadzonego w marcu 1991 r. referendum, w którym 76 proc. obywateli ZSRS opowiedziało się za „zachowaniem ZSRS jako jednego państwa”. To nie do końca prawda.

Pytanie referendalne, na które trzy czwarte głosujących odpowiedziało twierdząco, brzmiało: „Czy jesteś za zachowaniem ZSRS jako federacji suwerennych, równoprawnych republik?”. To zaś nie oznacza poparcia dla czerwonego imperium w jego dotychczasowym kształcie. Ponadto Litwa, podobnie jak Łotwa, Estonia, Gruzja, Armenia i Mołdawia, odmówiła udziału w referendum, wybierając suwerenność poza granicami Związku. Oczywiście dla Fiodorowa te czynniki nie mają znaczenia. Nie chodzi przecież o zgodność z literą prawa i z faktami historycznymi, tylko o przynajmniej symboliczne zakwestionowanie następstw „największej katastrofy geopolitycznej XX w.”, jak rozpad ZSRS nazwał Władimir Putin. Litwa, Łotwa i Estonia należą dziś do NATO i Unii Europejskiej, od lat konsekwentnie trzymają się jednoznacznie prozachodniego kursu. Ale są również małymi, niezbyt ludnymi (łącz-

nie niecałe 6 mln obywateli) państwami na dalekim wschodzie Zachodu, z którym łączy ich jedynie wąski przesmyk suwalski, państwami ściśniętymi pomiędzy Białorusią, obwodem kaliningradzkim a kontynentalną Rosją, byłymi republikami sowieckimi, które w spadku po ZSRS odziedziczyły liczną mniejszość rosyjskojęzyczną. Czy, zgodnie z przepowiednią Lecha Kaczyńskiego, kolejnym po Ukrainie celem moskiewskiego imperializmu będą państwa bałtyckie?

LITWINI SIĘ ŚMIEJĄ

Do projektu Fiodorowa odniósł się parlamentarzysta Matas Maldeikis. Na Twitterze napisał: „Jeśli Rosja cofnie uznanie niepodległości Litwy z 1991 r., to Litwa odwoła traktat polanowski z 1634 r. i zażąda od Putina podporządkowania się władzy Władysława IV oraz zwrotu Wielkiemu Księstwu wszystkich zajętych terytoriów. Smoleńsk jest Litwą!”. To oczywiście żart, ale pokazuje, że rosyjskie zakusy nie przeraziły Litwinów. – Rosja nie straszy nas ani pierwszy, ani ostatni raz. Nie ma żadnej paniki – mówi „Do Rzeczy” litewski politolog prof. Andrzej Pukszt. Jak zaznacza, w jego kraju panuje jednomyślność, jeśli chodzi o stosunek do Rosji. Groźby Kremla w żaden sposób na to nastawienie nie wpływają. Ponadto prof. Pukszt zwraca uwagę na to, że Litwa mocno jest osadzona w strukturach zachodnich, a litewskie społeczeństwo traktuje obecność w NATO i Unii Europejskiej jako gwarancję bezpieczeństwa swojego kraju.

Projekt Jewgienija Fiodorowa może być przekazem zarówno na użytek wewnętrzny, jak i zagraniczny

Podobnie jest na Łotwie i w Estonii, gdzie przynależność do struktur zachodnich cieszy się zdecydowanym poparciem społeczeństw. Wojna na Ukrainie wpłynęła na wzrost poczucia zagrożenia ze strony Rosji. To zaś sprawia, że Litwini, Łotysze i Estończycy tym większe oparcie widzą w zachodnich sojusznikach. Głosów realistów, nawołujących do porozumienia z potencjalnym agresorem, nie słychać.

Obawy się pojawiają, ale dotyczą one bardziej zagrożenia politycznego niż militarnego ze strony Rosji. Litewski filozof i socjolog prof. Gintautas Mažeikis w rozmowie z portalem Delfi.lt wyraził przekonanie, że Rosjanom nie chodzi jedynie o zastraszenie Litwinów. W jego ocenie projekt Fiodorowa może się stać niebezpiecznym precedensem. Moskwa najpierw zakwestionuje niepodległość Litwy, a potem nie tylko kolejnych państw bałtyckich, lecz także innych państw postsowieckich – Kazachstanu, Tadżykistanu, Gruzji itd. Profesor Mažeikis uważa jednak, że w krótkoterminowej perspektywie taka decyzja nic by nie zmieniła, o ile Rosja nie zaczęłaby

działań wojennych, co na razie nie jest realne.

PO CO TEN TEATR?

Projekt Fiodorowa może być przekazem zarówno na użytek wewnętrzny, jak i zagraniczny. W pierwszym przypadku chodziłoby o podbijanie nacjonalistycznego bębna, rozbudzanie wśród Rosjan wrogości wobec „złego Zachodu” i atakowanie Wilna jako stolicy szczególnie mocno zaangażowanej we wspieranie Ukrainy. Na arenie międzynarodowej może to być próba zdyskredytowania Litwy poprzez zakwestionowanie jej prawa do niepodległości. – Państwa bałtyckie zawiesiły transmisję prokremlowskich mediów.

REKLAMA



Zabierz RMF Classic na wakacje!

Zainstaluj nową wersję aplikacji z dostępem do RMF Classic+, by mieć najpiękniejszą muzykę filmową zawsze przy sobie.

Korzystaj z RMF Classic+ przez **2 miesiące za darmo** i bez zobowiązań!

AKTYWUJ KOD: PLUSDORZECZY na rmfclassic.pl/plus/aktywuj

RMF Classic+ to jeszcze więcej muzyki zamiast reklam, bonusy dla subskrybentów i audycje z muzyką do wyboru.

Sprawdź wszystkie korzyści na: www.rmfmusic.pl/plus




■ Moskwa chce pokazać, że mimo to cały czas monitoruje sytuację w tych krajach i cały czas może na nią wpływać – mówi „Do Rzeczy” dr Aleksandra Kuczyńska-Zonik z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, kierownik zespołu bałtyckiego Instytutu Europy Środkowej. – Na Litwie, Łotwie czy w Estonii raczej nie bierze się pod uwagę bezpośredniego zagrożenia militarnego. Przeważa opinia, że Rosjanie chcą jedynie wywołać poczucie takiego zagrożenia, aby w ten sposób sprawić, że państwa bałtyckie, zamiast wspierać Ukrainę i działać na rzecz jednolitego frontu NATO i UE wobec Rosji, zaczną martwić się o swoje bezpieczeństwo, a sami obywatele, w strachu przed inwazją, zaczną działać nieracjonalnie, co doprowadzi do wewnętrznych tarć – dodaje. Zaznacza przy tym, że na razie wszystkie trzy kraje jak jeden mąż stoją na pro-ukraińskim stanowisku: – Jedna trzecia estońskiego budżetu obronnego idzie na

najmniej na rzecz podejścia neutralnego. Na tę zmianę wpłynęło m.in. zamknięcie dostępu do mediów rosyjskich. – Największy problem z integracji mniejszości ma Łotwa. Łotysze i Rosjanie od lat żyli w odrębnych bańkach informacyjnych. Po 24 lutego to się trochę zmieniło. Wciąż jednak jest duża grupa łotewskich Rosjan, którzy nie mają zdania na temat wojny na Ukrainie. Czekają na rozwój sytuacji – mówi.

Postawy mniejszości rosyjskojęzycznych w państwach bałtyckich wobec wojny na Ukrainie dr Kuczyńska-Zonik opisuje szczegółowo w komentarzu opublikowanym na stronie internetowej Instytutu Europy Środkowej. Ponad stu łotewskich Rosjan i Białorusinów podpisało list otwarty potępiający agresję rosyjską. Pracownicy Teatru Rosyjskiego im. Michaiła Czechowa w Rydze wsparli uchodźców ukraińskich. Metropolita Tallina i całej Estonii Eugeniusz zaape-

Scenariusz donbaski w krajach bałtyckich nie jest więc raczej realnym zagrożeniem. – Nawet jeśli część rosyjskojęzycznych mieszkańców potępia burzenie pomników sowieckich czy nawet popiera działania Putina, to wcale nie oznacza, że chcieliby żyć w Rosji. Ponadto w ostatnich latach władze państw bałtyckich zintensyfikowały działania na rzecz asymilacji mniejszości – mówi kierownik zespołu bałtyckiego IEŚ.

Trudno sobie wyobrazić, aby wobec niepowodzeń na Ukrainie Rosja zaryzykowała – czy to hybrydową, czy to regularną – agresję przeciwko państwu NATO, choćby tak słabemu jak Litwa, Łotwa czy Estonia. Kremlowscy propagandyści i politycy wygrażali już praktycznie całemu zachodniemu światu, łącznie ze Stanami Zjednoczonymi. Niezależnie od dalszych losów projektu Fiodorowa już sama próba zakwestionowania niepodległości Litwy wpisuje się w konsekwentnie realizowane założenia polityki imperialnej Putina. Po pierwsze, zastraszanie flanki wschodniej zachodniego świata. Po drugie, próba zdyskredytowania w oczach świata najbardziej zaangażowanych w powstrzymywanie Rosji państw, uczynienia z nich współczesnych „bękartów systemu wersalskiego”. Czyli małych państweczek „z przypadku” – ich istnienie to „wypadek przy pracy”, który prędzej czy później (raczej jednak później) należałoby naprawić przy kolejnym koncercie mocarstw i nowym podziale stref wpływów. Po trzecie, podważanie prawa Litwy do suwerennego bytu wynika wprost z chęci powrotu do imperialnej potęgi czasów sowieckich. Podbój państw bałtyckich jest w tej chwili nierealny. Realne jest jednak zastraszanie Litwinów, Łotyszów, Estończyków (co, jak widać, na razie nie przynosi rezultatów), a także wmówienie Rosjanom (a właściwie utwierdzenie ich w tym przekonaniu), że rozpad Związku Sowieckiego (a więc również oderwanie się Litwy, Łotwy i Estonii) był nielegalny, był spiskiem zawiązanym przez agentów Zachodu po to, aby zniszczyć potęgę Moskwy. W obozie władzy pojawiają się również głosy, by odejść od świętowania Dnia Rosji 12 czerwca, ponieważ został on ustanowiony w rocznicę ogłoszenia przez Rosję suwerenności od ZSRR. Chodzi więc o to, by przynajmniej symbolicznie powrócić do czasów czerwonego imperium. Z naciskiem na imperium.

© Wszystkie prawa zastrzeżone

Rosyjskojęzyczni mieszkańcy krajów bałtyckich coraz częściej porzucają postawy prokremlowskie, niekoniecznie na rzecz postaw prozachodnich, ale przynajmniej na rzecz podejścia neutralnego

wsparcie dla Ukrainy. Państwa bałtyckie nie boją się pomagać, bo wiedzą, że mogą być kolejnymi ofiarami Putina.

Osobna kwestia to nastawienie mniejszości rosyjskiej, pozostałej w kłopotliwym spadku po sowieckich okupantach. Na Litwie, Łotwie i w Estonii Rosjanie stanowią odpowiednio: 6, 32 i 27 proc. ludności. – Na Litwie nie funkcjonuje dziś żadna prorosyjska grupa. Nie ma też żadnego środowiska, które by szukało choćby pragmatycznego porozumienia z Moskwą – zapewnia prof. Puksztó. – Flirtu z Kremlem nie prowadzi nawet rosyjska mniejszość narodowa. Trzeba przyznać, że jest ona mocno zintegrowana ze społeczeństwem litewskim. Po 24 lutego litewscy Rosjanie nie tylko nie wyciągnęli ręki w stronę Putina, lecz także otwarcie poparli politykę Wilna wobec Kijowa – dodaje.

Doktor Kuczyńska-Zonik zauważa, że rosyjskojęzyczni mieszkańcy krajów bałtyckich coraz częściej porzucają postawy prokremlowskie, niekoniecznie na rzecz postaw prozachodnich, ale przy-

lował o zaprzestanie walk i udzielanie pomocy Ukrainie przez duchowieństwo i parafian Estońskiego Kościoła Prawosławnego Patriarchatu Moskiewskiego. Jednakże od początku inwazji rosyjskiej przedstawiciele mniejszości oskarżani są często o sprzyjanie reżimowi Putina. Często niesłusznie. Władze państwowe i samorządowe stanowczo potępiły akty wymierzone w miejscowych Rosjan. Pojawiają się apele o powstrzymanie się od wyrażania głosów, które mogłyby być odebrane jako nawoływanie do nienawiści. Wszelkie spory pomiędzy etnicznymi Litwinami, Łotyszami i Estończykami a Rosjanami mogą zostać wykorzystane przez Moskwę celem pogłębienia podziałów i osłabienia jedności w krajach bałtyckich. Jak wskazuje dr Kuczyńska-Zonik, społeczności rosyjskojęzyczne są podzielone, pewna ich część aprobuje działania Rosji, „niemniej jednak obecnie na Litwie, Łotwie i w Estonii zauważalna jest większa niż w 2014 r. solidarność między grupami etnicznymi w wyrażaniu tak krytyki wobec reżimu Putina, jak poparcia dla Ukrainy”.



FOT. RUSSIAN FOREIGN MINISTRY PRESS/ANFEST NEWS

KŁAMAĆ JAK ŁAWROW

Minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow od dawna opowiadał nieprawdę. W obliczu agresji na Ukrainę sięga jednak po coraz śmieszniejsze kłamstwa. Ostatnio oskarżył Polskę o to, że zajmuje Ukrainę. „Widzimy, że po rozmowie o niedopuszczalności jakiegokolwiek dialogu z Rosją polscy koledzy zaczynają aktywnie przejmować terytorium Ukrainy” – powiedział RIA Novosti. Na szczęście jego słów nikt już na świecie nie bierze na poważnie.

ROSYJSKIE BILETY SALVINIEGO

Pod koniec maja lider włoskiej Ligi Matteo Salvini ogłosił, że zamierza pojechać do Moskwy, by rozmawiać o sposobach na zakończenie wojny na Ukrainie. Jego pomysł tak skrytykowano, że z wyjazdu zrezygnował. Teraz wyszło na jaw, że miał już dla siebie i osób towarzyszących bilety na lot ze Stambułu do Moskwy. Bilety kupiła mu... ambasada Rosji we Włoszech. Rosjanie skwitowali to krótko: „Nie widzimy w tym niczego nielegalnego”.

NIEDYSKRETNE NIDERLANDY

NATO prosiło członków sojuszu, by nie udostępniali informacji o sprzecznej wojskowym przekazywanym Ukrainie napadniętej przez Rosję. Apelowano o „dużą powściągliwość” w dzieleniu się tymi informacjami. Tymczasem niderlandzkie ministerstwo obrony opublikowało memorandum o zwiększeniu wydatków na armię, w którym ujawniło m.in., że przekazało Ukrainie drony. Minister obrony Kajsa Ollongren przyznała, że stało się to „przez pomyłkę”.

KREML W SĄDZIE NAJWYŻSZYM

Dziennikarze śledczy z platformy Follow the Money ujawnili, że do niderlandzkiego Sądu Najwyższego powołano Alexandra van der Voort Maarschalka. To prawnik, który przez wiele lat w Niderlandach reprezentował Rosję. Bronił tam interesów koncernu Jukos (obecnie jest to część Rosnieftu). I tak się akurat składa, przypadkowo oczywiście, że Sąd Najwyższy będzie musiał rozstrzygnąć sprawę z powództwa byłych akcjonariuszy Jukosu przeciwko Federacji Rosyjskiej.

WYBORY Z JEDNYM GŁOSEM

We włoskiej miejscowości Castelguidone nikt nie chciał iść na wybory burmistrza. No, prawie nikt. Poszedł jeden mieszkaniec (ale nie podano, jak głosował). 278 pozostałych mieszkańców nie wybrało się do urn, bo mogło głosować tylko na jedną listę z jednym kandydatem na burmistrza. W związku z tym zamiast burmistrza mają zarząd komisaryczny. © ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nowa mapa świata

Polski rząd i sami Polacy, ofiarnie pomagając zaatakowanym Ukraińcom, zdają egzamin z solidarności i humanitaryzmu. Nie wszyscy zdają sobie chyba jednak sprawę, że inwazja Rosji na Ukrainę na długo zmieniła losy Starego Kontynentu. I że stawianie w obecnej sytuacji głównie na zacieśnianie relacji z Ukrainą może w dłuższej perspektywie nie być najlepszym pomysłem na zapewnienie bezpieczeństwa Polsce i Polakom.

W trudnych czasach warto szukać potężnych sojuszników, pielegnować przyjaźnie i dbać o własne interesy.

Dobrze rozumieją to choćby przywódcy Turcji oraz Węgier, którzy w tych trudnych czasach dbają głównie o swoje narody. Dobrze, że również polskie władze dostrzegły, iż w czasie, gdy bomby wybuchają niedaleko polskiej granicy, lepiej jest np. rozwijać stosunki z Czechami, a także ocieplić choć trochę mocno ochłodzone w ostatnich miesiącach relacje między Warszawą a Budapesztem. Wygląda na to, że w stosunkach z Węgrami odbiliśmy już od dna. Dobrze, że władze w Warszawie starają się również dbać o relacje z Turcją, Rumunią i innymi krajami ważnymi z punktu widzenia

naszego bezpieczeństwa. Jeszcze lepiej byłoby, gdy dyplomatyczne kontakty nie skupiały się głównie na pomocy dla Kijowa, ale również na wzmocnieniu potencjału politycznego, gospodarnego oraz militarnego naszego kraju. Rosjanie i Chińczycy doskonale rozumieją, że świat sprzed 24 lutego 2022 r. raczej nie powróci. Nie bez powodu Moskwa coraz śmielej mówi o planach stworzenia nowej grupy G8, czyli Chin, Indii, Rosji, Indonezji, Brazylii, Meksyku, Iranu i Turcji. O sojusze trzeba dbać, zwłaszcza gdy w kilka miesięcy dzieje się więcej niż w ciągu kilku ostatnich dekad. © ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Jak dobrze nie mieć euro!

W ostatnich miesiącach mocno się oberwało Narodowemu Bankowi Polskiemu i Radzie Polityki Pieniężnej – i słusznie, że się im oberwało; w końcu tak długie zwleknięcie z przystąpieniem do zacieśniania polityki monetarnej, w tym do podnoszenia stóp procentowych – w dodatku z niemal zerowego poziomu przy tak gwałtownie rosnącej inflacji – na nic innego nie zasługiwało.

Wszelako, z drugiej strony, jak to dobrze – dobrze w każdym czasie, a w tak trudnych dla polityki monetarnej jak obecne w szczególności – że mamy swój Narodowy Bank Polski i swoją narodową Radę Polityki Pieniężnej, które dzięki posiadaniu przez Polskę narodowej waluty – złotego – mają realne narzędzia do wzmacniania lub osłabiania go, a także realne narzędzia do wpływania na poziom inflacji.

Tymczasem państwa, które przystąpiły do strefy euro, tych narzędzi same się pozbawiły. I co teraz? I teraz pozostaje im biernie czekać na decyzje dalekiego, odległego, obcego Europejskiego Banku Centralnego (zwłaszcza gdy się jest małymi Estonią, Litwą lub Łotwą, a nie moźnymi i wpływowymi Niemcami lub Francją) i uciekać się do korzystania wyłącznie z dostępnych narzędzi polityki fiskalnej. A to oznacza znacznie mniejszą swobodę wpływania np. na poziom inflacji.

Będzie zresztą w najbliższym czasie – już jest! – niezwykle interesującym doświadczeniem obserwowanie

sposobu postępowania przez EBC, który od 2016 r. utrzymuje stopę procentową podstawowych operacji refinansujących na poziomie 0,00 proc.; oczywiście znacznie dogodniej czynić te obserwacje spoza strefy euro, z takiego państwa jak Polska – państwa z własną walutą i z własnym bankiem centralnym. A obserwowanie działań EBC jest tym ciekawsze, że po raz pierwszy w historii strefy euro poziom inflacji w państwach do niej należących (przy średniej inflacji dla całej strefy wynoszącej w maju 2022 r. 8,1 proc.) jest tak bardzo zróżnicowany. Od – wszystkie dane dotyczą maja 2022 r. – rekordowych 20,1 proc. w Estonii, 18,5 proc. na Litwie, 16,4 proc. na Łotwie, przez 8,7 proc. w Niemczech, 8,5 proc. w Hiszpanii, 8,1 proc. w Portugalii, po – na drugim biegunie – 5,8 proc. we Francji i 5,6 proc. na Malcie.

Co zatem w najbliższych miesiącach i kwartałach uczyni EBC? Będzie mocno zacieśniał politykę monetarną – w tym ostro podnosił stopy procentowe, by ulżyć nękany przez koszmarną inflację Estonii, Litwie i Łotwie – czy jednak będzie zacieśniał politykę monetarną najwyżej nieznacznie, by wspierać rozwój na razie nie aż tak bardzo narzekających na inflację Francji i Niemiec? Oto diabelska alternatywa – diabelska dla niszczonych przez hiperinflację państw nadbałtyckich, gdyby EBC postanowił pozostawić stopy procentowe na tylko nieznacznie podwyższonym poziomie – a na to się przecież właśnie zanosi. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Polska samotną wyspą

European Council on Foreign Relations, prestiżowy think tank, zamówił bardzo ciekawe badanie na temat postrzegania wojny na Ukrainie w 10 europejskich krajach. Wynika z niego, że mamy do czynienia z coraz wyraźniejszym podziałem Europy na obóz pokoju i obóz sprawiedliwości, przy czym ten pierwszy jest wyraźnie większy.

Badanie jest bardzo szczegółowe, pokazuje wiele różnych parametrów – np. jaka część obozu pokoju, a jaka obozu sprawiedliwości

enigmatycznego „ukarania” Rosji. Jeszcze tylko Wielką Brytanię analitycy zaliczyli do wahających się. Reszta badanych krajów ma przewagę zwolenników pokoju. Jest tak nawet w Finlandii, gdzie trochę większa niż u nas jest grupa winiąca za wybuch wojny Rosję (od 90 do 83 proc.). Co ciekawe, w Polsce wcale nie największy odsetek respondentów wśród krajów objętych badaniem uważa, że w osiągnięciu pokoju przeszkodą jest Rosja. Tego zdania jest w naszym kraju 74 proc., a 12 proc. wini Ukrainę. Jesteśmy dopiero na czwartym miejscu, a w będącej na czele Finlandii Rosję za brak pokoju wini aż 87 proc. Średnia w badanych krajach to jednak zaledwie 64 proc.

Jest też jednak pytanie, na które odpowiedź wydaje się paradoksalnie sprzeczną z bojowym stanowiskiem większości Polaków. Aż 52 proc. polskich respondentów uważa, że nasz rząd poświęca zbyt wiele uwagi wojnie w porównaniu z problemami własnych obywateli – to daje nam drugie miejsce po Rumunii (58 proc.), która jednak zdecydowanie sytuuje się w obozie pokoju.

Badanie pokazuje ważną część europejskiej rzeczywistości społecznej i powinno stanowić sygnał ostrzegawczy, że z naszymi wojowniczymi nastrojami możemy wkrótce pozostać osamotnieni. A nie wydaje się, żebyśmy mieli opracowany inny wariant działania. ©©

Aż 52 proc. polskich respondentów uważa, że nasz rząd poświęca zbyt wiele uwagi wojnie w porównaniu z problemami własnych obywateli – to daje nam drugie miejsce po Rumunii (58 proc.)

chce przecięcia jakich rodzajów związków Zachodu z Rosją. Albo jakie są największe obawy w danym kraju związane z wojną na Ukrainie.

Najważniejsze jednak, że wśród badanych krajów jedynie w Polsce dominuje obóz sprawiedliwości, domagający się jakiegoś

Poznań



DZIEŃ OTWARTY
25 czerwca 2022 r.

Odbiór kluczy w lipcu 2022

www.wilda-corner.pl



HORYZONT

NARAMOWICE

SYSTEM PŁATNOŚCI
10/90%

Odbiór kluczy do końca 2022

www.horyzont-naramowice.pl



NOVA ŁACINA

NIEMENA 6

MIESZKANIA
INWESTYCYJNE

www.nova-lacina.pl



www.grupainwest.pl +48 **882 818 848**

eprasa.pl 9ebd9c95fb



Łukasz Warzecha

Zawsze, mimo wątpliwości, stawałem po stronie pozostawiania Polski w Unii. Jednak tego stanowiska coraz trudniej bronić. Szczególnie po KPO, konferencji na temat przyszłości Europy i przy coraz wyraźniejszym dążeniu do rewizji traktatów

Mówiąc o korzyściach z członkostwa Polski w UE, nie wystarczy policzyć pieniędzy – wokół tego zresztą także jest wiele nieporozumień. Na pewno nie wystarczy po prostu odjąć składek od otrzymanych funduszy. Jak wielokrotnie wskazywali sceptycy, znaczna część z naszych zysków netto z członkostwa, finansowanych przez inne kraje UE, wraca do nich w postaci licznych korzyści związanych z działaniem czterech unijnych podstawowych wolności: przepływu ludzi, towarów, usług i kapitału. Jeśli w Polsce powstawała lub powstaje jakaś inwestycja częściowo za unijne pieniądze, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zarobią na tym firmy z najsilniejszych gospodarczo krajów UE.

To nie jest złe samo w sobie, natomiast należy to uwzględnić w wyliczaniu stosunku finansowych kosztów do korzyści.

Po stronie kosztów – co rzadko dostrzegano – trzeba również umieścić wymogi, którym musieli sprostać w ciągu lat członkostwa polscy przedsiębiorcy, a które to wymogi nie-rzadko windowały im koszty działalności. Czasami były zresztą tworzone tylko po to, żeby wykosć konkurencję – jak to jest z pakietem mobilności. Zarazem jednak nie można zapominać, że gdybyśmy nie byli członkami UE, ale chcielibyśmy korzystać z dobrodziejstw wolnego handlu w ramach Europejskiego Obszaru Gospodarczego, jak np. Norwegia, i tak nasi producenci i usługodawcy musie-

liby przynajmniej część tych wymogów spełniać.

Lecz, jako się rzekło, proste, a nawet bardziej zaawansowane podliczenie kosztów to za mało, nawet w kategoriach rynkowych. Wyraźną korzyścią było bowiem również wymuszenie dopuszczenia konkurencji w niektórych dziedzinach, które z pewnością pozostałyby monopolami państwa, gdybyśmy byli poza UE. Tak jest choćby z przewozami kolejowymi, do których Polska musiała dopuścić zagraniczną konkurencję, udostępniając jej naszą infrastrukturę kolejową. Przede wszystkim zaś prężniejsze polskie firmy skorzystały na otwarciu dla nich europejskiego rynku – chociaż były tutaj na ewidentnie gorszej pozycji wyjściowej niż zachodnia, zwłaszcza niemiecka konkurencja, rozpoczynająca działalność w Polsce.

MIĘKKIE BEZPIECZEŃSTWO

Rynek to jednak nie wszystko. W przypadku UE zawsze – i słusznie – podkreślano zalety tzw. miękkiego bezpieczeństwa. Nikt nie ma chyba złudzeń, że Unia odgrywa jakąkolwiek realną rolę w zapewnianiu bezpieczeń-

Miękkie bezpieczeństwo, które miało nam w założeniu dawać członkostwo w UE, polega na formalnej przynależności do zachodniej struktury, co ma działać odstraszaюще na potencjalnego agresora, czyli po prostu na Rosję, bo przecież innego nie ma. Pytanie brzmi jednak: Czy ma to dzisiaj znaczenie w kontekście sytuacji wojennej na Ukrainie? Czy faktycznie z punktu widzenia Moskwy przynależność do UE jest czynnikiem hamującym ewentualną agresję? Można mieć zasadnicze wątpliwości. Jeśli ten czynnik coś w ogóle znaczy, to raczej coś odwrotnego: napaść na kraj UE byłaby być może dodatkowym impulsem skłaniającym sojuszników z NATO do podjęcia aktywnej obrony, również z powodu oddziaływania na opinię publiczną oraz ze względu na interesy gospodarcze. Bo ostatecznie chroni nas przede wszystkim, jeśli nie wyłącznie, właśnie członkostwo w NATO.

Duża część korzyści z przynależności do UE pozostaje na poziomie ogólnikowych deklaracji i frazesów, za którymi nie stoi nic konkretnego. Przecież również będąc poza Unią, wciąż można mieć dostęp do wspólnego rynku (EOG)

Czy pozostawać

stwa twardego, może poza kwestią szczelności granicy w czasie pokoju, ale nawet tutaj agencja Frontex pełni funkcję raczej koordynującą, bo zasób jej własnych funkcjonariuszy jest nikły. Akurat szef Frontexu, Włoch Fabrice Leggeri, zrezygnował niedawno ze stanowiska w związku z objęciem agencji śledztwem przez OLAF, inną unijną agencję, zajmującą się nadużyciami czy korupcją. Tyle że nie o machlojki finansowe miało chodzić, ale o „naruszenia praw człowieka” w postaci przykrywania rzekomo nielegalnych tzw. pushbacków z terytorium Grecji z powrotem do Turcji, czyli praktyki, o którą oskarżano również Polskę w związku z sytuacją na granicy z Białorusią. Co również wiele nam mówi na temat priorytetów UE, gdy idzie i o ten sektor bezpieczeństwa: specyficznie rozumiane prawa człowieka okazują się ważniejsze niż zagrożenie niekontrolowanym napływem migrantów.

i podróżować po Europie bez paszportu (układ z Schengen), jakkolwiek wynegocjowanie tego przy występowaniu z UE, szczególnie przez Polskę, może być drogą przez mękę. Tak właśnie funkcjonuje wspomniana Norwegia, z tym że Norwegia do UE nigdy nie należała.

TO JUŻ NIE TA UNIA Z 2004 R.

Jedno natomiast trzeba dzisiaj powiedzieć: UE Anno Domini 2022 to nie Unia z 2004 r., gdy zostaliśmy do niej przyjęci. Choć już wtedy zostały zasiane ziarna obecnego stanu rzeczy w postaci zgody na odejście od rozwiązań traktatu nicejskiego na rzecz traktatu lizbońskiego, który zredukował znacząco naszą siłę głosu w Radzie UE oraz okroił zakres spraw, w których możemy zastosować weto.

Zgoda prezydenta Lecha Kaczyńskiego, działającego wspólnie ze swoim bratem, na te zmiany, tłumaczona nie-



możliwością przeciwstawienia się silniejszym, tworzy z obecną sytuacją złowrogą kłamrę. Jeśli bowiem spojrzeć na ostatnie siedem lat naszej obecności w UE w powiązaniu z rządami PiS, to zobaczymy obraz zatrważający. Unia brnie coraz głębiej w ideologiczne, przede wszystkim klimatystyczne szaleństwo, które grozi radykalnym obniżeniem poziomu życia Europejczyków, przede wszystkim Polaków – a rząd, który cały czas powtarza frazesy o obronie suwerenności, praktycznie na wszystko się godzi. I tu pojawia się kolejny raz, tym razem już bardzo mocno, pytanie o bilans.

Jeden z polityków PiS, z którym niedawno miałem okazję dłużej rozmawiać, kiwał nad tą sytuacją głową z ubolewaniem i przyznawał, że wcale mu się to nie podoba. Tłumaczył to natomiast przekonaniem Jarosława Kaczyńskiego, że Polska jest za słaba, żeby się tym trendom przeciwstawić, więc pozostaje nam jedynie wyciągnąć dla siebie jak najwięcej, czego przykładem miałyby być nieszczęsny Fundusz Odbudowy. Jeśli diagnoza mojego rozmówcy byłaby trafna, oznaczałoby to nie tylko, że bojownicza retoryka Prawa i Sprawiedliwości

dualnego transportu. W ramach KPO – o którym wciąż nie wiemy, jaka część z zawartych tam warunków była polskiego autorstwa, a które zostały narzucone przez Komisję Europejską – musimy dążyć właśnie do tego celu za pomocą specjalnych opłat i podatków, a ponadto rząd zgodził się na bardzo daleko idące zmiany w najróżniejszych dziedzinach życia, nie konsultując tego w żaden sposób z Polakami. Ba, wygląda na to, że nawet z partnerami koalicyjnymi.

Przed wszystkim – i to powinien nas najbardziej niepokoić – coraz mocniej wybrzmiewa kwestia zmiany traktatów UE w stronę trudną do zaakceptowania, opisaną we wnioskach z Konferencji w sprawie przyszłości Europy (o rezultatach działań tego kuriozalnego przedsięwzięcia pisałem niedawno w „Do Rzeczy”). Wśród wniosków Konferencji jest odejście od jednomyślności praktycznie we wszystkich już sprawach, z polityką zagraniczną i bezpieczeństwem włącznie, co oznaczałoby faktycznie wprowadzenie czegoś na kształt struktury federalnej kuchennymi drzwiami. Pod tymi postulatami podpisują się otwarcie Ursula von der Leyen, a także większość w PE.

Parlament dopiero co poszedł o krok dalej, uchwalając 9 czerwca rezolucję (niewiążący akt) wzywającą Radę Europejską do wyrażenia zgody na rozpoczęcie procesu rewizji traktatów. Za rezolucją głosowała przytłaczająca większość – 355 europosłów, przeciw – zaledwie 154 (48 osób się wstrzymało). Konwent, mający się zająć opracowaniem przedsięwzięcia, miałyby zostać powołany przez RE zwykłą większością głosów najlepiej już na szczycie w tym tygodniu (23–24 czerwca). Czy Polska ma jakikolwiek plan działania?

POLSKIE USTĘPSTWA

Stanowisko obecnej władzy jest bardzo niepokojące. Wystarczy sobie uświadomić, jak daleko idące ustępstwa i interwencje w nasze sprawy zostały zapisane w KPO – w zamian za raptem ok. 24 mld euro dotacji i ponad 11 mld kredytów. Czyli to, czego teoretycznie nie musimy zwracać (w praktyce tak nie jest, bo na Fundusz Odbudowy i Zwiększania Odporności także się składamy, a więc suma dotacji netto powinna być pomniejszona o naszą składkę), to ok. jednej piątej zakładanych tegorocznych wpływów budżetowych. Pod warunkiem że te pieniądze w ogóle zaczną płynąć. Okazu-

je się, że znaczna część naszej suwerenności, w tym kwestie dotyczące naszego codziennego życia, jest warta relatywnie małe pieniądze.

Jak to odczytywać? Oznacza to przecież, że bojowa retoryka rozjechała się całkowicie z kompletną uległością w praktyce. Zarazem, jak się zdaje, kamień na kamieniu nie został z planów uruchomienia konserwatywnego sojuszu krajów opowiadających się za alternatywnym kierunkiem rozwoju UE, który promował PiS. Skrajnie proukraiński kurs, który obrała partia rządząca, sprawił, że Viktor Orbán, Marine Le Pen i Matteo Salvini stali się niewygodnymi partnerami dla PiS. To, nawiasem mówiąc, rzadko dostrzegana, a bardzo negatywna konsekwencja rozbijania przez partię rządzącą radykalnych emocji wokół wojny na Ukrainie – w czym zresztą swój udział miała i opozycja spod znaku KO, wywołując absurdalną licytację na antyrosyjskość.

A co, jeśli w niedalekiej przyszłości okaże się, że w ramach mechanizmu warunkowości, na który przecież również się zgodziliśmy, pieniądze z głównego unijnego budżetu zostaną uzależnione od przyjęcia skrajnie dla nas niekorzystnych pomysłów rewizji traktatów? I to w sytuacji, gdy za moment mamy szansę stać się płatnikiem netto. Gdzie jest granica ustępstw i jak długo da się grać argumentem bezalternatywności wobec członkostwa w UE? Na jak głęboką interwencję w nasz sposób życia zgodzi się ta albo kolejna władza? Czy mamy pogodzić się z tym, że korzyści, które daje nam Unia, są warte każdego ustępstwa? To by znaczyło, że mamy do naszego członkostwa stosunek całkowicie nieracjonalny. Tymczasem jest to decyzja polityczna, która – jak każda podobna – powinna podlegać kalkulacjom.

Dzisiaj, w połowie 2022 r., nie umiem już być tak jednoznaczny obrońcą naszego członkostwa w UE jak jeszcze rok temu. Szale się wyrównały, a ta z korzyściami staje się coraz złejsza.



W UE?

jest dekoracją dla naiwnych, lecz także, że w obecnym układzie jesteśmy skazani na najgorsze unijne pomysły, bo nie ma w Polsce liczącej się siły politycznej, która byłaby gotowa rozważać wariant radykalnego przeciwstawienia się im.

Tymczasem patrząc na poczynania UE, pomysły płynące z Komisji Europejskiej, nastawienie większości w Parlamencie Europejskim – przewidywania można mieć jak najgorsze. Klimatystyczne szaleństwo ma już swój bardzo konkretny wymiar w postaci systemu EU ETS, który winduje ceny energii elektrycznej. Pod znakiem zapytania stoi możliwość preferencyjnego finansowania inwestycji w energetykę jądrową – sprzeciwiła się temu ostatnio komisja PE. W mocy pozostaje absurdalny w skali globu cel neutralności klimatycznej w 2050 r. Ceną ma być m.in. zamordowanie europejskiej motoryzacji i pozbawienie ogromnej części obywateli indywi-

Król Robert

strzela do pracodawcy



Łukasz Majchrzyk

Relacje Roberta Lewandowskiego i Bayernu Monachium wywołują pytania o to, kto jest ważniejszy: piłkarz czy klub i czy umów naprawdę trzeba dotrzymywać

Najlepszy polski piłkarz postawił sprawę tak jasno, że już bardziej się tego zrobić nie da. Podczas konferencji prasowej reprezentacji Polski powiedział, że jego czas w Bayernie dobiegł końca. Coraz głośniej mówi się, że kapitan Biało-Czerwonych chciałby od przyszłego sezonu grać w FC Barcelonie. I o ile polscy kibice powinni trzymać kciuki, żeby Lewandowski założył koszulkę jednego z najlepszych i największych klubów w historii, o tyle jego oświadczenie może dziwić.

Problem jest jeden, ale za to poważny. Polak ma jeszcze rok ważnego kontraktu w drużynie mistrza Niemiec. Nic dziwnego więc, że najważniejsze osoby w Bayerze od razu stwierdziły, że Lewandowski

nigdzie tego lata nie odejdzie i wypełni umowę do końca.

Jedna z podstawowych zasad europejskiej cywilizacji mówi, że umów trzeba dotrzymywać, więc wydaje się, że wola klubu jest tutaj decydująca – Bayern przemówił, sprawa zakończona. Mistrz Niemiec jest klubem zarządzanym profesjonalnie, na brak pieniędzy nie narzeka, nie żyje ponad stan, ma potężnych sponsorów, więc ze swojej części kontraktu na pewno wywiązuje się rzetelnie. Lewandowski dostaje (duże) pieniądze na czas, z bawarską akuracją.

Ponadto klub na takiego pracownika jak Lewandowski nie ma prawa narzekać. Piłkarz zdobywa gole, bije kolejne rekordy, prowadzi kolegów do trofeów, jest zdyscyplinowany, punktualny, angażuje się w treningi i akcje marketingowe. Słowem – jest przykładem profesjonalizmu. Kontrakt powinien trwać ku uciesze obu stron.

SYSTEM KONTRA GWIAZDY

Tylko że w futbolu sprawa nie jest taka prosta jak w „zwykłym” świecie. W ostatnich latach mieliśmy wiele sytuacji, w których piłkarze chcieli transferu, dążyli do niego wszelkimi możliwymi sposobami i – co ciekawe – bardzo często

stawiali na swoim. Takie sprawy są o tyle skomplikowane, że dotyczą sportowców o uznanej marce, należących do światowej elity. W przeciwnym razie temat w ogóle by nie zaistniał. Jeśli piłkarz byłby przeciętny, to nie byłoby chętnych na jego usługi, a jego obecny pracodawca bez żalu by się go pozbywał. Jednakże warto pamiętać, że tylko najwięksi w światowej piłce nożnej mogą się uprzeć i próbować wyrosnąć ponad klub.

Czasy, w których piłkarze byli niemal więźniami swoich drużyn, dawno minęły. Dawno, dawno temu, czego Lewandowski (rocznik 1988) nie pamięta, nawet w przypadku wygaśnięcia kontraktu zawodnika nowy klub musiał zapłacić staremu sumę odstępnego. W końcu znalazł się odważny, który zaczął walczyć z systemem. Nazywał się Jean-Marc Bosman i podał swojego starego pracodawcę, belgijską federację oraz UEFA do sądu, uznawszy, że takie praktyki są niezgodne ze swobodą przepływu osób w ramach Unii Europejskiej. W sprawie wypowiedział się Trybunał UE, który przyznał zawodnikowi rację.

To wywróciło rynek transferowy do góry nogami. Kluby już nie mogą blokować piłkarzom przejścia do konkurencji, a zawodnicy na pół roku przed wygaśnię-

Robert Lewandowski chciałby grać w FC Barcelona. Niemiecki klub ani myśli dać mu odejść FOT. MARVIN IBO GUENZOER - GES SPORTFOTO/GETTY IMAGES

z Zagłębia Ruhry błyszczał, to pozostawił po sobie co najmniej niesmak. Jego umowa miała obowiązywać pięć lat, a przestała już po roku. Czemu? Dembélé grał tak dobrze, że zainteresowała się nim FC Barcelona. Kto by odmówił „Dumie Katalonii”? Na pewno nie nastoletni piłkarz i jego agenci, którzy zwiertzyli świetny interes. Dembélé za wszelką cenę próbował wymusić transfer, zaczął strajkować, przestał pojawiać się na treningach, a wreszcie samowolnie wyjechał do Hiszpanii. Co było robić? Działacze z Dortmundu w końcu się zgodzili na odejście Francuza, którego kontrakt w Hiszpanii właśnie wygasa. Młody piłkarz pozostał po sobie niesmak i niemal dosłownie spaloną ziemię – syf, jaki właściciele znaleźli w wynajmowanym przez niego mieszkaniu, był trudny do opisu.

I tutaj jego sprawa zajął się z losami kapitana reprezentacji Polski. Barcelona jest w okresie przebudowy, nowy trener Xavi chce poukładać drużynę po swojemu i potrzebuje świetnego napastnika (Lewandowski), ale Barcelona musi mieć na taki luksus pieniądze, więc z klubu odejdzie kilku zawodników (m.in. Dembélé). To nie koniec analogii. Lewandowski wielką karierę rozpoczynał również w Dortmundzie i też chciał odejść stamtąd przed czasem. W odpowiedzi usłyszał jednak zdecydowane „nein” i musiał odłożyć przeprowadzkę do Monachium o rok. Władze Borussia wołały jego bramki, które pozwoliły awansować do Ligi Mistrzów, niż pieniądze za wykupienie kontraktu.

34-LATEK SIĘ SPIESZY

Teraz jednak Lewandowski jest o dziewięć lat starszy i może sprawę rozgrywać inaczej. Przede wszystkim bardziej mu się spieszy, bo chociaż nie narzeka na zdrowie i prowadzi się bardzo profesjonalnie, to w sierpniu skończy już 34 lata. Czy Barcelona za rok będzie chciała zawodnika, który jest tak blisko końca kariery i, co jeszcze ważniejsze, czy będzie w stanie tyle czekać na reprezentanta Polski? W Katalonii potrzebują zawodnika na „już” i jeśli Lewandowski nie wyrwie się z Monachium, to na Camp Nou może trafić inny napastnik.

Oczywiście teoretycznie Lewandowski mógłby pójść drogą Dembélé i próbować strajku, ale to nie wydaje się możliwe, choćby ze względu na wizerunek i charakter Polaka. Najlepszy polski piłkarz zawsze był stawiany za wzór profesjona-

lizmu i właśnie na tym zbudował swoją karierę. Jak w tej sytuacji wytłumaczyć fanom i sponsorom opuszczanie treningów czy wspólnych aktywności z resztą drużyny? Takie podejście nie wydaje się też prawdopodobne z innego powodu.

Po słynnej konferencji reprezentacji i ostrej reakcji Bayernu Lewandowski zaczął łagodzić przekaz. W podcaście Kuby Wojewódzkiego mówił o tym, że coś się w nim wypaliło i potrzebuje nowych wyzwań, wspominał też, że w Bayernie nawiązał przyjaźnię z wieloma zawodnikami. Jak w takiej sytuacji iść na noże z klubem?

To jednak nie znaczy, że Polak ustąpi. Będzie pracował nad transferem i bardzo możliwe, że dopnie swego. Pewnie gdyby chodziło tylko o pieniądze, to łatwiej byłoby ten galimatias rozwiązać. Tu jednak chodzi raczej o coś innego. Bayern, chociaż jest wielki, a jego kibice mówią o sobie „mia san mia”, czyli „my to my”, dla Lewandowskiego paradoksalnie stał się za mały.

Kapitan polskiej kadry jest najlepszym piłkarzem na świecie, w Niemczech wygrywa wszystko z łatwością, Bundesliga nie ma przed nim tajemnic. Pieniądzy mu nie brakuje, teraz może pragnąć chwały, jaką daje granie w barwach Realu albo Barcelony. Występowało tam w ostatnich latach wielu gorszych od niego piłkarzy. Dlaczego on nie miałby sobie poradzić?

Lewandowski podkreśla, jak wiele dał Bayernowi przez osiem lat, i pyta, czy jeśli klub zablokuje jego transfer, to nie będzie to sygnał dla innych: „Uważajcie, zanim podpiszecie kontrakt”. Lewandowski będzie swoje obowiązki wypełniał rzetelnie. Ale jak potraktują go koledzy z szatni? Czy nie dojdzie do jakichś nieporozumień? Można się domyślić, że pojawiają się spekulacje, artykuły prasowe, plotki. Kibice będą pytać, a im więcej dementi usłyszą, tym mniej będą w nie wierzyć. Z drugiej strony Bayern też nie może zbyt łatwo oddać piłkarzowi pola. Z perspektywy osób rządzących w Bayernie żaden piłkarz, nawet najlepszy i najbardziej zasłużony, nie może wyrazić ponad klub.

Może, jeśli „Duma Katalonii” przedstawi dobrą ofertę, lepiej sprzedać Lewandowskiego i przynajmniej na nim zarobić, zamiast mieć w zespole ferment? Piłkarz będzie szczęśliwy, księgowy Bayernu też, a Barcelona dopnie swego. W końcu – jak głosi jej hasło – „to więcej niż klub”.

ciem starej umowy mogą negocjować z nowym pracodawcą.

Oczywiście, jeśli klub chce, to będzie piłkarza trzymał u siebie do samego końca umowy, płacił i wymagał. Zwolennicy swobody umów powiedzą, że chcącemu nie dzieje się krzywda (nikt Lewandowskiego nie zmuszał do podpisania lukratywnej umowy do 2023 r.), a inni odpowiedzą mądrością ludową, że „z niewolnika nie ma pracownika”. O możliwym transferze Lewandowskiego mówiło się już dawno i pojawiały się nawet plotki o przenosinach do Realu Madryt. Wtedy ówczesny prezes Bayernu odpowiadał, że zawsze gdy słyszy o takich pogłoskach, wyciąga z sejfu kontrakt Polaka, sprawdza daty i zaczyna się śmiać.

W ostatnich latach futbolowy świat widział wiele sytuacji, w których piłkarze za wszelką cenę chcieli odejść tam, gdzie miało im być lepiej. Najgłośniej było o Ousmane Dembélé, który dwa razy zmieniał klub i za każdym razem robił to w atmosferze skandalu. Za pierwszym razem uparł się, że odejdzie z macierzystego Rennes do Manchesteru City. Piłkarz groził nawet, że zakończy karierę i wyjedzie z babcią do Senegalu.

Ostatecznie Francuz podpisał kontrakt z Borussia Dortmund i chociaż w klubie

TEST „DO RZECZY”: ACER TRAVELMATE P6

Eleganckie wzornictwo, niewielka waga, bardzo dobry wyświetlacz IPS oraz przyzwoita wydajność procesora Intel – to największe zalety modelu TravelMate P6 tajwańskiej firmy Acer.

Design testowanego laptopa jest typowy dla odbiorcy biznesowego. Nie ma tu więc żadnych fajerków, króluje minimalizm w czystej postaci. Smukła obudowa ze stopu aluminium i magnezu mierzy 16,8 mm i waży zaledwie 1 kg. Jakość wykonania jest bardzo dobra. Według producenta laptop jest na tyle wytrzymały, że otrzymał certyfikat militarnego standardu MIL-STD 810H.

Sercem testowanego urządzenia jest procesor Intel Core i7-1165G7, znajdujący się w TOP 100 najbardziej wydajnych procesorów dostępnych obecnie na rynku. Do dyspozycji użytkownika w testowanej wersji są także 16 GB pamięci RAM oraz dysk SSD o pojemności 512 GB. Taka specyfikacja do zastosowań biznesowych jest więcej niż wystarczająca. Umożliwia nawet uruchomienie dużej liczby nieco starszych tytułów gier.

Podświetlana klawiatura jest wygodna w użytkowaniu, podobnie jak funkcjonalny duży touchpad. Na pochwałę zasługuje również 14-calowy wyświetlacz IPS o rozdzielczości 1920 x 1200 i współczynniku proporcji obrazu 16:10. Barwy są żywe i dobrze odwzorowane (99 proc. pokrycia palety sRGB). Wysoka jasność (ponad 300 nitów)

wystarczy do całkiem komfortowej pracy na dworze nawet w słoneczne dni. Wyświetlacz został wyposażony w opcję PrivacyPanel, co oznacza, że np. pracując na lotnisku, w samolocie, w pociągu lub zatłoczonym open space można uaktywnić funkcję, która zmniejsza kąt widzenia ze 170 do ok. 90 stopni. Wścibskie oczka podglądaczy mają więc znacznie utrudnione zadanie. Ekran może sam się blokować po odejściu użytkownika od laptopa, a szybkie i łatwe ponowne logowanie jest możliwe np. za pomocą kamery internetowej na podczerwień (funkcja Windows Hello) lub opcjonalnego czytnika linii papilarnych.

Dużym plusem testowanego modelu jest także bardzo wytrzymała bateria (56 Wh). Według producenta wystarcza ona na 20 godzin użytkowania – takiego wyniku nie osiągnąłem, ale ok. 12 godzin oglądania filmów na jednym ładowaniu jest już jak najbardziej realne. To wynik lepszy od biznesowych modeli wielu czołowych producentów.

W codziennej pracy przydadzą się też porty: jeden USB typu A, dwa USB typu C (Thunderbolt 4) – oba można wykorzystywać do ładowania komputera; czytnik kart microSD oraz wejście na słuchawki.

Wady? Pamięć RAM jest przylutowana do płyty głównej, co uniemożliwia łatwą modernizację sprzętu w przyszłości. Brakuje również możliwości dostosowania stopnia podświetlenia klawiatury. Tajwański Acer, który jeszcze dekadę temu nie był poważnie brany pod uwagę w wyścigu najpotężniejszych producentów laptopów biznesowych, odrobił lekcję i oferuje naprawdę przyzwoity model, który z powodzeniem może konkurować ze sprzętami takich producentów jak Lenovo, HP czy Dell. Cena tego modelu zależy od wybranego procesora, wielkości dysku twardego (dostępne są wersje 1 TB) oraz pamięci RAM (maks. 32 GB). Za testowaną wersję trzeba zapłacić ok. 6,3 tys. zł. ©© **Jacek Przybylski**



NAWIGACJA NA ENERGIĘ ZE SŁOŃCA

Pogoda sprzyja rowerowym wyprawom. Nad rzeką, w lesie czy nad jeziorem trudno jednak znaleźć gniazdko, aby podładować sprzęt, a powerbanki najłżejsze nie są. Garmin wprowadził więc na rynek model Edge 1040 Solar, czyli nawigację zasilaną energią słoneczną. Urządzenie zostało wyposażone w 3,5-calowy kolorowy ekran dotykowy o rozdzielczości 282 x 470 pikseli. Gadżet powinien bardzo dobrze spisywać się nawet w mocno zadrzewionym w terenie, bo sygnał GPS wspomagany jest wielopasmową technologią GNSS. Według producenta w pełni naładowana bateria może wytrzymać 45 godzin jazdy w trybie normalnym i 100 godzin w trybie oszczędnym. Każda godzina jazdy w słońcu ma wydłużać czas działania nawigacji nawet o 42 minuty. Cena: 749 euro, czyli ok. 3452 zł.



KOMPUTER W KLAWIATURZE

Orange Pi 800 to nowy komputer ukryty w obudowie klawiatury. Gadżet ważący zaledwie 385 g jest potężniejszy od konkurencyjnego modelu Raspberry Pi 400. Sercem Pi 800 jest bowiem sześciordzeniowy procesor Rockchip RK3399, wspierany przez 4 GB pamięci RAM oraz 64 GB miejsca na dane. Oprócz tego komputer-klawiatura dysponuje przydatnymi portami HDMI oraz VGA. Są też trzy porty USB 3, jeden USB 2, moduł wi-fi, Bluetooth 5.0 oraz miejsce na kartę microSD, aby móc przechowywać więcej danych. Cena gadżetu na razie nie jest znana. ©© **Jacek Przybylski**

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Barbakan, czyli rondel



JACEK KOMUDA

Dwa istniejące obecnie w Polsce i najlepiej się prezentujące barbakany – krakowski i warszawski – to prawie wizytówki tych miast. Są to malownicze, okrągłe budowle obronne, przypominające miniaturowe fortece, które jeszcze 500 lat temu broniły bramy wjazdowej. Zaopatrzone były w galerie strzeleckie i strzelnice, a także machikuly – otwory do zrzucania na napastników kamieni i granatów. Tworzyły system krat i kolejnych bram flankowanych przez obrońców, połączonych tzw. szczyją z murami miejskimi. Aby np. wjechać w ulicę Floriańską w Krakowie, należało najpierw pokonać dwie bramy i dwa zwodzone mosty rondla, potem przejechać przez długi ceglany most prowadzący do murów miejskich. Wreszcie przebyć ostatnią, starą Bramę Floriańską – a wszystko to pod ostrzałem z murów i strzelnic. Wspomniane budowle obronne już samym wyglądem kojarzą się ze średniowiecznymi fortyfikacjami miejskimi. Niezupełnie słusznie, bo budowano je w późnym średniowieczu i w renesansie – najczęściej na przełomie XV i XVI stulecia, w czasach, kiedy na polach bitew zaczynała królować broń palna. Wszystkie barbakany były od samego początku przystosowane do jej użycia, niestety równie szybko ulegały artylerii atakujących.

Barbakan w Krakowie jest powszechnie znany. Mało kto wie jednak, że nie była to pierwsza w tej części Europy tego typu budowla, pierwsze pojawiły się bowiem nieistniejące dziś rondle w Toruniu – przed Bramą Starotoruńską, wzniesiony ok. 1429 r., i drugi przed Bramą Chełmińską, wybudowany ok. 1451 r. Ten ostatni zwany był „kocim brzuchem”, miał cztery piętra, prawdopodobnie też stał się wzorcem, według którego wybudowano



FOT. DOMENIA PUBLICZNA

krakowski – późno, bo ok. 1498 r., za panowania Jana Olbrachta, który sam osobiście nadzorował budowę i przekazał na nią znaczne środki. Barbakan w Warszawie powstał jeszcze później, bo przed 1548 r.; w chwili powstania był już budowlą niespełniającą nowożytnych wymogów obronnych. Na początku XVI w. nastąpił bowiem wielki rozwój artylerii; ceglane i kamienne fortyfikacje były dość łatwo niszczone i rozbijane przez długolufowe działa. Armaty takie możemy zobaczyć choćby na obrazie „Bitwa pod Orszą” znajdującym się w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Gdzie dzisiaj poza Krakowem i Warszawą można obejrzeć barbakany? Niestety, pozostały po nich głównie ruiny lub fundamenty. Należy do nich jeden z ostatnich barbakanów – w Bieczu, którego fundamenty znajdują się przy zbiegu ulic ks. Bochniewicza i Grunwaldzkiej, przy kościele pw. Bożego Ciała. Była to budowla, którą wzniesiono bardzo późno – bo w latach 1584–1610; niestety zniszczyli ją Szwedzi podczas potopu w połowie XVII stulecia. Wspomniane barbakany w Toruniu także już nie istnieją, została zburzona w czasie oblężenia miasta przez Szwedów w 1703 r., a bramy, których broniły – rozebrane pod koniec XIX w. przez władze pruskie. Natomiast świetnym przykładem barbakanu, chociaż wielokrotnie przebudowywanego, jest zespół Bramy Więziennej i Katowni w Gdańsku, powstały jeszcze w XIV w. Warszawski

barbakan z kolei to przeprowadzona w latach 50. zeszłego wieku rekonstrukcja średniowiecznych budowli obronnych, gdzie wyższe partie murów zbudowano na nowo. Barbakan został rozebrany w XVIII w., później wzniesiono na jego fundamentach budynek, m.in. kamienicę Piwnica Gdańska. Dopiero w latach 1937–1938 Jan Zachwatowicz odrestaurował fragment murów i zachodnią część budowli. Po wojnie zdecydowano nie odbudowywać zniszczonej Piwnicy Gdańskiej, a zamiast tego zrekonstruować pierwotny barbakan, na podstawie rysunków z XVII w.

Gdzie jeszcze możemy zobaczyć barbakany? Pozostałości znajdują się na zamku biskupim w Siewierzu, gdzie zbudował go bp Franciszek Krasiński pod koniec XVI w. Części innego zachowały się w Choszcznie, jako jedna wieża, przy skrzyżowaniu ulic Wolności i Piastowskiej – dziś mieści się tutaj biblioteka publiczna. Piękny barbakan zachował się natomiast na zamku Tenczyn w Rudnie, gdzie podziwiać możemy zarówno okrągły, odrestaurowany ostatnio rondel, jak i biegnącą od niego szczyją, przez którą, między dwoma ścianami murów, biegnie droga prowadząca do wnętrza zamku.

Spośród wszystkich polskich barbakanów najwięcej szczęścia miał krakowski, który zgodnie z dekretem okupacyjnych władz austriackich przeznaczony był do rozbiórki. W 1816 r. uratował go Feliks Radwański, senator i architekt, ostrzegając, że zburzenie budowli narazi mieszkańców na wiatry powodujące paralizy i reumatyzmy (sic!). Zlikwidowano jednak most i fosę okalającą barbakan; dlatego dziś sprawia dziwne wrażenie budowli niewchodzącej w skład systemu fortyfikacji miasta, podczas gdy był jedną z najważniejszych jego części. ©





ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Bułgarski jogurt

Kiedyś w moim telewizyjnym cyklu „Przewodnik dyplomatyczny”, w którym odwiedzałam ambasady i przybliżałam widzom historię, kulturę i kulinaria obcych państw, odwiedziłam ambasadę Bułgarii. Mieści się ona w Warszawie zaraz obok ambasady Stanów Zjednoczonych, w dużej, pięknej, przedwojennej willi z ogrodem.

Rozmawialiśmy z panią ambasadorką o atrakcjach tego popularnego niegdyś wśród Polaków kierunku turystycznego. Jako że stałym elementem mojego programu była kuchnia narodowa, poprosiłam też o opis najbardziej typowych potraw. Pani ambasador mówiła o niezwykłych właściwościach jogurtu bułgarskiego. Jego bakterie są unikalne i występują tylko na terenie Bułgarii. Mają nie tylko działania prozdrowotne, lecz także lecznicze. Świetnie wpływają na jelita, normalizując ich pracę, poprawiają kondycję organizmu, w tym wygląd skóry. Najlepszy jest oczywiście świeży jogurt. Ponoć jest tak ceniony, że swego czasu dostarczano go codziennie samolotem do Japonii.

Swoją różnorodność kulinarną Bułgaria zawdzięcza położeniu geograficznemu, dokładnie leży na szlaku łączącym Europę, Azję i Bliski Wschód, stąd taka różnorodność smaków i aromatów. Znajdziemy tutaj wpływy kuchni tureckiej, greckiej oraz włoskiej. Bułgarzy to naród bardzo gościnny, cenią sobie kontakt z rodziną, długie wspólne biesiady i rozmowy przy stole.

Kuchnia bułgarska jest wymieniona i zdrowa. Wiele jest w niej dań zapiekanych, duszonych, bogatych w sosy i dobrze doprawionych. Dodatkowo są świeże warzywa – najprost-

szą ich forma to sałatka z ogórków i pomidorów, cebuli, zielonej papryki i tartego sera owczego sirène oraz oliwy z oliwek. To tradycyjna sałatka szopska, której nazwa pochodzi od ludności zamieszkującej rejon Sofii. Tradycja mówi, że jest to pierwsze danie, które po ślubie spożywają nowożeńcy.

Ale przebojem posiłku zaserwowanego mi w ambasadzie podczas nagrania był chłodnik z ogórków – cudowny aksamitny w smaku, czyli tarator. Nie wypadło, ale poprosiłam o dokładkę, czym – jak się okazało – ucieszyłam gospodynię. To było coś przepyszne! Zupa chłodnik zrobiona na bazie jogurtu z dodatkiem zsiadłego mleka zawierała tylko tarte ogórki, orzechy, czosnek i wodę, obowiązkowo świeży koperek i olej słonecznikowy. Jest sycąca, ożywcza i jednocześnie lekka.

W Bułgarii, która jest największym producentem olejku różanego i wyrobów z płatków róż, właściwie na każdym rogu możemy spróbować pachnącej konfitury różanej i wody z dodatkiem olejku z róż. Aromatyczna Bułgaria kusi smakiem, warto tu być i smakować tych wspaniałości.

Tarator – chłodnik:

- opakowanie jogurtu gęstego – 400 g • 100 ml zimnej wody
- 2–3 ogórki zielone • 3 ząbki czosnku • 1/2 szklanki orzechów włoskich • 1 łyżeczka soku z cytryny
- 2 łyżki oliwy • pieprzek koperku • sól, pieprz

FOT. AUDREY STICK



Jogurt przekładamy do miski, dodajemy tarte ogórki, przeciśnięty czosnek, posiekany koperek, sól, pieprz. Podajemy schłodzony, posypany posiekanymi orzechami. ©©



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

„Christina” – królowa mórz

Przyjaciółka wróciła z tygodniowego rejsu po Morzu Śródziemnym. Była gościem zamożnych przyjaciół na ich prywatnym jachcie. Jednostka ma trzy pokłady. Na najniższym mieszczą się pomieszczenia dla obsługi, maszynownia, pralnia, magazyny oraz opuszczana platforma, z której można skakać do wody. Na średnim są cztery sypialnie, każda z łazienką, pomieszczenia gospodarcze oraz pokoje dla obsługi, która liczy siedem osób. Na głównym: sypialnia właścicieli, salon z jadalnią, kuchnia, kajuta kapitana. Załoga: kapitan, mechanik, kucharz, kelnerki, sprzątaczkę. – To był wspaniały tydzień – mówiła przyjaciółka. – Doskonała kuchnia, słońce, widoki, spokój. Co wieczór schodziliśmy do portów na spacer i na kolację do restauracji. Ale widziałam, że na niektórych jachtach nie tylko żeglują się w ciszy, lecz także ostro imprezują.

Niestety, wśród moich znajomych posiadaczy jachtów brak. Wiem jednak, że i tak łódka, którą przez tydzień cieszyła się przyjaciółka, jest łupinką w porównaniu z najnowszymi modelami pływających dziś pałaców mórz, gdzie obowiązkowym wyposażeniem są liczne baseny, jacuzzi, sale kinowe, fitness, spa, korty tenisowe, lądowiska dla helikopterów itp., itd.

Złotą Palmę w Cannes otrzymał w tym roku szwedzki film Rubena Östlunda „Trójkąt smutku” (tego samego Östlunda, który w 2017 r.



FOT. STEBBAN/GETTYINTERNATIONAL.COM

zrobił „The Square”, satyrę na współczesną sztukę). Akcja tego filmu toczy się na jachcie; reżyser na miejsce akcji wybrał słynny jacht „Christina”, należący kiedyś do Onassisa.

Ta łódeczka, skromniutka w porównaniu z maszyną Abramowicza, była w swoim czasie królową mórz. Statek należący wcześniej do królewskiej floty kanadyjskiej kupił Onassis w roku 1954 za 34 tys. dol. (odpowiednik dzisiejszych 365 tys.) i zrobił z niego najbardziej luksusowy ówczesnie jacht na świecie, z załogą liczącą 46 osób. Nazwał go „Christina”, na cześć córki. W latach 60. na przyjęciach jacht gromadził międzynarodową socjetę. Zwiedzających chętnie oprowadzał po wnętrzach sam właściciel. Było co pokazywać. Boazerie z dębów i teku, meble Ludwik XVI, kryształowe żyrandole, basen otoczony mozaiką przedstawiającą walkę byków z czasów króla Minosa z Krety. Dwa obrazy El Greco i włoskie prymitywy. 2 czerwca 1961 r. tysiące nowojorczyków przyszło oglądać „Christinę”, która przed odpłynięciem zacumowała w Nowym Jorku.

Dzisiaj jednostka zadłużona na skutek niespłaconych podatków należy do rządu Grecji. Fortuna kołem się toczy. ©©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Szokująca prawda o maseczkach

18 lutego 2020 r. ukazały się ciekawe badania. Dotyczą one stanu Kansas w USA, gdzie wobec 2,5-milionowej populacji jego władze wydały rekomendację, by poszczególne hrabstwa (105) same zdecydowały, czy wprowadzą nakaz noszenia maseczek czy nie. I różne stany postąpiły różnie, co daje dzisiaj bazę do sprawdzenia, co zadziałało i jak. Otóż okazało się, że maseczki nie tylko nie mają dobrego wpływu na zatrzymanie transmisji wirusa, lecz także... powodują częstsze zachorowania na koronawirusa oraz częstsze zgony. Z badań wyszło (dobrze udokumentowanych również metodycznie), że noszenie maseczek powodowało dwukrotnie większą śmiertelność z powodu koronawirusa.

Zespół badawczy wytoczył ciekawą hipotezę, czemu tak się dzieje. Otóż powołują się oni na tzw. efekt Foegena. Polega on na tym, że wiriony (pojedyncze, kompletne cząstki wirusowe, zdolne do przetrwania poza komórką i zakażenia jej), które przy wydychaniu lub wykrztuszeniu osadzają się na powierzchni maseczki, po szybkim odparowaniu kropelek, w których się znajdują, w postaci superskondensowanych kropelek lub jako czyste wiriony wracają z powrotem do płuc przy kolejnym wdechu. Maseczkowiec więc zamiast wydychać wirusy, oddycha nimi na okrągło. W ten sposób wiriony, jako mniejsze cząsteczki, rozprze-

strzeniają się lepiej w drogach oddechowych i wnikać głębiej, omijając filtrujące oskrzela i dostają się do pęcherzyków płucnych.

Mało tego – takie „zmniejszone” cząsteczki wirusowe mogą być z kolei powodem... lepszej transmisji wirusa na zewnątrz. Normalnie maseczka chroni przed transmisją kropelkową, ale cząsteczki wirusa sprowadzone poprzez odparowanie kropelek na powierzchni maski do mniejszych rozmiarów przy wydechu stają się aerozolami, które rozprzestrzeniają się lepiej i na większe odległości. Co ciekawe, im lepsza maseczka, tym... gorzej, ponieważ tym więcej wirusów zatrzymuje na swej powierzchni, zwiększając tym samym efekt Foegena.

Tyle badania. Temat wirusowy jakby ucichł, pomijając sezonowy humbug z małą ospą. Ale właśnie ten dystans daje możliwość przyjrzenia się dokładniej i zweryfikowania niby-oczywistych dogmatów i sensowności podejmowanych decyzji pandemicznych. Ale wiem, że takie badania są wypierane, głównie przez podążających za obostrzeniami. Łatwiej im uwierzyć w kłamstwo, niż przyznać się, że dało się samemu oszukać.

Dla szczegółarzy, również krytycznych, podaję internetowy adres publikacji badania: https://journals.lww.com/md-journal/Fulltext/2022/02180/The_Foegen_effect_A_mechanism_by_which_facemasks.60.aspx. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Wygaszanie pobożności

Odwołanie uroczystej Mszy św. i procesji Bożego Ciała w Watykanie widzę jako element szerszego zjawiska. Źródła watykańskie podają, że powodem są „ograniczenia nałożone na papieża w związku z bólem kolana i specyficzne potrzeby liturgiczne tej celebracji”. Jeżeli papież nie może odprawiać Mszy i uczestniczyć w procesji, to czy uroczysta Msza św. i procesja są niepotrzebne czy mniej ważne? Komunikat przemknął i szybko zniknął z głównej strony portalu Katolickiej Agencji Informacyjnej, tak jakby redakcja (która w innych kontrowersyjnych decyzjach wiernie broni papieża Franciszka), tym razem także była nieco zakłopotana.

Trzeba pamiętać, że w Watykanie w warunkach reżimu sanitarnego, który (tak jak przymus szczepień pracowników kurii rzymskiej) przestrzegany był dość rygorystycznie. Wydawało się więc, że tegoroczne uroczystości Najświętszego Ciała i Krwi Pańskiej wreszcie w Rzymie przeżywane będą godnie i z tradycyjną oprawą. Dla Wiecznego Miasta ten dzień wiązał się od zawsze ze szczególnie uroczystą procesją, która po Mszy w bazylice św. Jana na Lateranie przechodziła Via Merulana do bazyliki Santa Maria Maggiore, gdzie następowało uroczyste błogosławieństwo.

Niestety, to już historia. Wcześniej papież wielokrotnie domagał się, by przenieść Boże Ciało na niedzielę, a tego

dnia, czyli w czwartek po Niedzieli Świętej Trójcy, wyjechał z Rzymu do innych miast, by tam sprawować uroczyste obrzędy. Można tłumaczyć to troską, by pracujący tego dnia Włosi mogli świętować uroczystość Ciała i Krwi Pańskiej w niedzielę. Ale w Polsce, w Hiszpanii, w Portugalii, w Szwajcarii, Austrii i w kilku krajach Ameryki Łacińskiej Boże Ciało jest dniem wolnym i ludzie świętują.

Czy przeniesienie święta na niedzielę oznacza, że będą dwa różne kalendarze liturgiczne – jeden dla 11 krajów, a inny dla pozostałych? Ponadto cały ten zabieg sprawia, że Boże Ciało się rozmywa, traci swoją wyjątkowość. Utrwala także trend, by uczestnictwo w życiu Kościoła nie odbywało się kosztem jakiegokolwiek wyrzeczenia. Ma być lekko i komfortowo.

A przecież czwartek, jak głosi zapis objawień św. Julianny z Cornillon, był wskazany przez samego Pana Jezusa, bo tego dnia, przed Paschą, miało miejsce ustanowienie Najświętszego Sakramentu. Dziś, po siedmiu wiekach, zaczyna się majsterkowanie przy tej uroczystości. Dzieje się to w kontekście osłabienia szacunku, a w niektórych miejscach wręcz profanacji Komunii św., przez przyjmowanie jej w stanie grzechu ciężkiego, bez spowiedzi, bez należytej czci i troski. Obecne decyzje postrzegam jako wyciąganie kolejnych kamieni z fundamentu katolickiej pobożności, jakim jest kult Eucharystii. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Swaty stołeczne

Dzieci z tego nie będzie, bo wstyd to przecież nie dzieciak. Usiłowanie mariażu Hanny z Witalijem należy uznać za całkiem nieudane, choć rozumiem cyniczną potrzebę chwili. Pamiętają państwo swatów średniowiecznych na przykład? W sprawach najważniejszych, państwowych, swataniem zajmowali się najszlachetniejsi i najbogatsi, kierowani interesem państwa i swoim naturalnie. Kiedy swatano 13-letnią Jadwigę, to Wilhelma z Habsburgów podobno wywalono z zamku, gdyż nie był w dalekowzrocznym interesie państwa. Jadwidze mówiono, żeby tego Łokietka może... Lecz dziewczę było pełne obaw i wysłało takiego jednego Zawiszę z Oleśnicy, żeby tego Łokietka złustrował. Zawisza to była profeska, a nie na od fajkuj się, więc wziął kandydata Władysława do łaźni i tam złustrował szczegółowo, a nie na od fajkuj się (nie nadużywam z tą fajką?). Po przyjeździe powiedział Jadzi, że Łokietek, owszem, galancie. Jadzia klasnęła w dłonie i wkrótce cieszyła się królem, który Polskę zjednoczył, gdyż były to swaty dalekowzroczne.

Atu? Lypa (jak mówią warszawiaki). I właśnie warszawiaki niektóre wyswatały jednorazowo Hannę Gronkiewicz-Waltz z merem Kijowa Witalijem Kliczką. Króciutki to interes i niegalantny. Jedni radni Warszawy chcieli głosować nad nadaniem Honorowego Obywatelstwa Warszawy Witalijowi, a drudzy Hannie. Hanna ma wizerunek

raczej nierozłączny z aferą reprowatyzacyjną i wywaleniem ludzi z kamienic, bo to za jej czasów. Ponieważ w radzie większość ma Koalicja Obywatelska, wykoncypowali swaty, żeby głosować za obiema kandydaturami łącznie, bo osobno mogła być lypa.

Tu też miała miejsce taka ciekawostka, że przed głosowaniem przewodniczący klubu KO Szostakowski wziął i zawnioskował, żeby nie dyskutować nad kandydatami, bo nie zasłużyli na ataki. Serio, nie żartuję. Wniosek przeszedł, dyskusji nie było. Dobrze, nie? Już widzę, jak ktoś atakowałby Kliczkę, trele-morele, natomiast na HGW to może i wylałoby się co nieco z oczyszczalni Czajka.

Kandydatury przeszły i mamy niehonorowo wybranego Honorowego Obywatela Warszawy, co oznacza, że demokracja z przyzwoitością znów wzięły rozwód, a może nigdy się nie zeszły. Dzieci z tego nie będzie, ale wstyd to przecież nie dzieciak. Żaden interes miasta czy państwa nie uzasadnia honoru dla HGW. Raczej ktoś partyjnie chciał zrobić jej miło, a lud warszawski przyjął pomrukiem.

Media społecznościowe sprawę żenujących swatów i jej okolic odnotowały na tysiące sposobów. Mnie zdumiał komentarz Jowity, niby do sprawy, ale bez żadnego trybu: „Kupię mieszkanie po cenie równej deklarowanej wartości z oświadczeń majątkowych posłów Platformy Obywatelskiej”. To na razie. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

MAŁGORZATA
WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

Korrida z Michnikiem

Małgośka – mówią mi – nie zadzieraj z Michnikiem, bo z niego akurat taki papież lewicy, który swoje dywizje ma. Wiem, że talent literacki Michnika „po godzinach” przejawia się w pisaniu pozwów, ale nie sądzę, aby czytał „Małgośki”. Zresztą muszę spytać Rafała, ale podejrzewam, że z dwojga złego już woli być ciągnany po sądach przez Michnika niż całowany tak namiętnie jak na wideo z Jaruzelskim. Mimowolnymi świadkami tych seansów czułości byli też Hiszpanie, bo ten obwoźny cyrk duetu – generał i dysydent – dobrze sprzedawał się za granicą, tym bardziej że mieliśmy obficie czerpać z hiszpańskiej transformacji.

Hermann Tertsch – ówczesny korespondent „El País” z Warszawy – zaprzyjaźnił się z Michnikiem już w latach 80. i okazjonalnie publikował w „Wyborczej” do 2011 r. Młodszy od Michnika, utalentowany i zafascynowany przemianami w Polsce uległ czarowi „demiurga”, tak zresztą jak setki innych intelektualistów, ale przynajmniej się dla niego nie jękał. Biografia Graczyka uczy, że byli tacy, którzy łapali tik z zachwyty, bo „Adam” uwodził ludzi bez względu na płeć, narodowość i poglądy. Drogi obu przyjaciół rozeszły się aż do przeciwnych okopów, skąd czasem się ostrzeliwują, choć wyraźnie bez ostrej amunicji. Tertsch

porzucił dziennikarstwo, aby z ramienia VOX ratować Hiszpanię pogrążoną przez lewicę, a w europarlamencie stać na straży tych samych wartości, którym kibicował przy karnawale Solidarności. Michnik urządził się w dziennikarstwie, aby z medialnego imperium zarządzać krajem i niszczyć wartości, które zrodziły Solidarność. Tertsch wygłasza w PE płomienne mowy w obronie Polski, Michnik udziela wywiadów o polskim „państwie putinowskim”. Michnik był pionierem kancelowania wrogów z debaty, Tertscha kancelują do dziś hiszpańscy komuniści, socjaliści i ich media zaprzyjaźnione z „Wyborczą”.

Michnik używa rozumu i talentu, aby fałszować rzeczywistość, Tertsch – aby ją naprawiać. Gdy Tertsch chodzi ulicami, Hiszpanie go zatrzymują, dziękują mu i proszą go o wspólne zdjęcie. Za Michnikiem chodzi już tylko cień jego dawnej legendy. Tertsch walczy z lewicową utopią w Brukseli, Madrycie i całej iberosferze, Michnik wspiera i propaguje ideologów na łamach, które kiedyś były organem Solidarności. Tertsch to symbol odwagi i przyzwoitości, nad Michnikiem unosi się dymek „manipulatora i oszusta intelektualnego”. W niewidzialnym pojedynku na trudności ideałom Solidarności na razie wygrywa Hiszpan. Oczywiście Michnik „przegra tylko, jeśli pijany przejedzie zakonnicę w ciążę”. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Władza kobiet

Sredniowiecze. Epoka „ciemnoty i zabobonu”, w której wymyślono instytucję uniwersytetu. Epoka „katolickiej ciasnoty umysłowej”, gdy w klasztorach tłumaczono i czytano pogańskich filozofów. Epoka „piekła kobiet”, gdy kobiety osadzały na tronach najpotężniejszych królestw Zachodu niepewnych swojego powołania mężczyzn, gdy strofowały równie chwiejnych papieży, gdy wybiegały w przyszłość, kreśląc ze stuprocentową trafnością scenariusze wypadków politycznych i wojskowych, gdy od ich decyzji zależała geopolityka całego Starego Kontynentu.

Joanna d'Arc, Katarzyna ze Sieny, Brygida Szwedzka, Jadwiga Andegaweńska – to o tych wpływowych kobietach mowa.

skiego, który w latach 1370–1382 był sukcesorem Kazimierza Wielkiego na polskim tronie. Od jej decyzji jako polskiego władcy, Bożego pomazańca, zależało, czy dalekosiężne plany panów krakowskich odnośnie do unii polskiej Korony z Wielkim Księstwem Litewskim zostaną zrealizowane. Unia otwierała drogę do pokojowej chrystianizacji ostatniego pogańskiego kraju w chrześcijańskiej Europie i stanowiła geopolityczny przewrót w Europie, który dopiero po 400 latach miał zostać przekreślony przez inną zupełnie w duchu geopolityczną rewolucję – rozbiory Polski.

Pod koniec XIV w. u źródeł geopolitycznego game changera stała decyzja polskiego świętego króla, który zgodził się realizować wielkie plany swoich doradców

wyrczenia poniesionego przez polskiego króla był niezaprzeczalny. Jadwiga rezygnowała z ożenku z Wilhelmem Habsburgiem, którego (tak mówią źródła) darzyła uczuciem, i poświęcała prestiż swojej europejskiej dynastii (Andegawenowie wywodzili się z Francji, panowali i w Neapolu, i na Węgrzech), wiążąc się z bliżej nieznanym Jagiełłą. Świętość polskiego władcy legła u podstaw jagiellońskiej potęgi w środku Europy.

Również 25 lat temu Jan Paweł II kanonizował króla Polski, Jadwigę. 8 czerwca 1997 r. papież wygłosił jedną ze swoich najpiękniejszych, a zarazem najbardziej poruszających homilii. Słyszeliśmy bowiem, jak w Krakowie święty papież zwracał się wprost do świętego polskiego króla: „Długo czekałaś, Jadwigo, na ten dzień!”. Chwila nabrzmiała świętością i wielkością. Tych słów Jana Pawła II nie przytacza się tak często, jak jego pamiętnego wezwania Ducha Świętego „na tę ziemię” z 1979 r. A przecież sam papież podkreślał w 1997 r. znaczenie wyniesienia na ołtarze polskiego króla, nazywając kanonizację Jadwigi dopełnieniem obchodów milenijnych.

Jan Paweł II czuł się niejako wykonawcą testamentu pokoleń Polaków – ludzi Kościoła i świeckich – którzy od stuleci zabiegali o kanonizację Jadwigi. W II Rzeczypospolitej konserwatysta Jan Bobrzyński (syn słynnego Michała) organizował ruch społeczny na rzecz wysłania petycji do Rzymu z prośbą o kanonizację tego polskiego króla, który połączył Polskę, Litwę i ziemię ruską. O tym połączeniu mówił również w 1997 r. Jan Paweł II, nazywając je „dziedzicznym wymiarem” pośmiertnictwa Jadwigi. Dziedzicznym, a więc do podjęcia. ©©

Joanna d'Arc, Katarzyna ze Sieny, Brygida Szwedzka, Jadwiga Andegaweńska. Żadna z nich nie jest bohaterką feministycznych „narracji”, bo „piekła kobiet” uniknęły, podążając drogą świętości. Dzięki temu miały to, czego pragnęły feministki: wpływ na władzę i umysł

Żadna z nich nie jest i nie stanie się bohaterką feministycznych „narracji”, dlatego że „piekła kobiet” uniknęły, podążając drogą świętości. Dzięki temu miały jednak wszystko, za czym tęsknią współczesne feministki – wpływ na władzę i umysł. Influencerki i trendsetterki co się zowie. Wpływowe kobiety władzy. Z jednym „defektem” – świętością.

Tylko w średniowieczu, tej epoce „maskulinistyczno-centrycznego dyskursu kulturowego”, mogło się zdarzyć, że mężczyźni doprowadzili do koronacji kobiety – ba, kilkunastoletniej dziewczyny! – na króla. W 1384 r. królem Polski (rex Poloniae) została młodziutka Jadwiga, córka Ludwika Węgier-

kosztem osobistego szczęścia i prestiżu swojego rodu. Pod koniec XVIII w. geopolitykę europejską rewolucjonizowali rabusie (i „filozofowie”) w koronach, którzy podpisaną w 1772 r. w Petersburgu, konwencję rozbiorową rozpoczynali od wezwania imienia Trójcy Przenajświętszej. Tam świętość. Tu niegodziwość.

Król Polski Jadwiga musiał zgodzić się na ślub z litewskim władcą Jagiełłą, bo tylko w ten sposób można było zawrzeć unię i następnie chrystianizować Litwę. Oczywiście Jagiełło najpierw musiał sam się ochrzcić. Ale związany z tym wydarzeniem wymiar osobistego i rodzinnego

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Dwukrotny wzrost cen węgla i rząd myśli, jak zaradzić sprawie. Nie ma co myśleć. Należy się przestać wtrącać! Chodzi o to, żeby władza przestała się ludziom wtrącać w ich sprawy i biznesy. Rząd ma być na wezwanie obywatela. Obywatel ma wzywać władzę, a nie dostawać wezwania. Wiem – romantyczne mrzonki, ale mnie w podstawówce uczyli: „Siegać, gdzie wzrok nie sięga”.

Wojna jest doskonałym pretekstem, by zdjąć wszelkie ograniczenia dotyczące wydobywania i spalania. Palcie, czym chcecie, tym, co macie. Nie będziemy się wtrącać do tego, czym palisz, byle tylko z komina nie wylatywała siara. Jeżeli zrobisz sobie taki piec lub takie filtry, że nie będziesz kopcił, to już nas wtedy nie obchodzi, że palisz stare kalosze, izolację i puszki farby nitro. Pal każdym możliwym śmieciem, każdym rodzajem węgla o dowolnej zawartości siarki, byleby tylko z komina nie leciała trucizna.

A wydobywanie? Z okazji wojny jest szansa zmienić prawo własności ziemi w taki sposób, by wszelkie kopaliny znajdujące się pod ziemią należały do właściciela działki, a nie do państwa (teraz należą do państwa). Ja tak mam w Ameryce – znalazłem ropę naftową pod moją ziemią i to jest moja prywatna ropa. W Polsce, gdybym znalazł węgiel, to to będzie węgiel państwowy, nie mój. Wadliwe rozwiązanie. Oddajcie ludziom węgiel. Państwo, które zarządza kopalniami, jest państwem socjalistycznym, a socjalizm generuje biedę i zacofanie.

Dowodów jest pełno, ale popatrzmy na socjalistyczny rząd PiS. By po co dalej? Lu-



FOT. W. CEJROWSKI (LUD) JAROSŁAW SOSNICKI

dzie za rządów PiS zbiednieli do tego stopnia, że zbierają chrust na opał. Programy socjalne wyglądają ładnie, gdy się dostaje zasiłki, dodatki, dotacje i rekompensaty, ale to ostatecznie prowadzi do wzrostu biedy, a obecnie doprowadziło do zbierania chrustu.

Rząd w tym czasie myślał, co tu zrobić z cenami węgla. Odpowiedź jest banalna: gdy ceny wysokie, należy zwiększyć wydobywanie tak, aby import węgla spadł do zera, a później by zaczął się eksport – coś takiego powinno być celem władzy. Niestety, władza ma inne cele. Klimatyczne.

Do realizacji mojego celu (zwiększenie wydobywania) władza nie musi wydawać żadnych pieniędzy – wystarczy, by zniósła istniejące zakazy i PRZESTAŁA SIĘ WTRĄCAĆ DO WYDOBYCIA I SPALANIA. Przecież to jest plan cudowny: „Nie musicie robić nic, możecie iść do domu, Morawiecki może sobie spać na balkonie, byleby tylko nie przeszkadzał narodowi w ogarnianiu spraw gospodarczych. Rząd ma zdjąć ręce z kierownicy i puścić przedsiębiorczość luzem”. Zadaniem Morawieckiego byłoby sporadyczne bronienie nas przed zakusami Unii. Raz w tygodniu siada do e-maila i odpisuje wszystkim unijnym biurokratom to samo zdanie: „Tak, tak, wiem, ale pogadamy o tym po wojnie”.

Konwencja PiS. Jarosław Kaczyński podsumował siedem lat rządów. Opozycja zarzuca mu brak konkretów. Moim zdaniem są nieuczciwi, bo Jarosław Kaczyński wyli-

czył całą serię konkretnych porażek PiS. To, że on je uważa za sukcesy, jest dziwaczne, ale wyliczył. Jeżeli ma się władzę przez lat siedem, to WSZYSTKO, co się w tym czasie zrobiło, obciąża trzymających władzę. Wymienił takie oto rzeczy:

Nie wyszły „Mieszkania+”. Prawdę mówi. Pomysł był chory i nie wyszedł, czyli porażka.

Pandemia, największa z plag ostatnich lat. Prawdę mówi. PiS mógł poradzić sobie z pandemią tak, jak to zrobił np. gubernator Florydy, ale PiS nie myślał samodzielnie, lecz nerwowo powielał głupie pomysły UE i dyrektywy WHO, wymęczył naród, wyniszczył gospodarkę. Kolejna porażka. Postawili na złego konia. To zawsze obciąża urzędującą władzę.

Wysoka inflacja. Uuu. Za inflację zawsze odpowiada władza i tłumaczenie się okolicznościami zewnętrznymi nic nie da. Wyście od tego byli przy władzy, by ZAPANOWAĆ nad wpływem okoliczności zewnętrznych. Waszym zadaniem było tak rządzić, by w Polsce wysokiej inflacji nie było. Waszą szansą w historii było tak prowadzić Polskę, by Polska zarabiała na światowym kryzysie, a nie traciła. Na każdym kryzysie ktoś zarabia, gdy ktoś inny traci. Rząd PiS nie umiał ustawić Polski po tej lepszej stronie – zostaliśmy po stronie tych, którzy tracą.

Co można było zrobić inaczej? Gdy inni mieli lockdown, rząd PiS mógł zostawić wszelkie decyzje w tej sprawie obywatelom. Wszędzie indziej w UE wszystko pozamykane,

produkcja stoi, a w Polsce produkcja trwa, handel trwa, knajpy otwarte, imprezy sportowe się odbywają... Tak było na Florydzie i mieli boom gospodarczy, który trwa nadal.

Jarosław Kaczyński w swoim przemówieniu wymienił z dumą programy społeczne PiS. Nie ma się czym chwalić, bo to sukcesy. Programy społeczne wygenerowały biedę i inflację i generują nadal. „500+” nie spowodowało, że Polki rodzą więcej dzieci (a taki był cel), bon turystyczny to „darmowa” forsa na wakacje, którą rząd pożycza prawdopodobnie od Chińczyków. Rozdawanie pustej, sztucznej, nieprawdziwej forsy to jak podawanie posiłków z papierowego ryżu. Na krótką metę zapełnia żołądek i jesteśmy syści, ale po jakimś czasie jedzenie papieru prowadzi do utraty sił.

Prezes wymienił jeszcze „bezpieczeństwo”. Że niby wzrosło? Mamy wojnę na jednej granicy, na drugiej stawiamy mur, a na trzeciej (z Rosją, Kaliningrad) mamy bardzo ostry konflikt i zagrożenie atakiem.

Gdybym ja pisał prezesowi Kaczyńskiemu to przemówienie, napisałbym tak:

„Drogi narodzie, jest syf i nie ma się co oszukiwać, że jest dobrze. No ale, niech nam syf nie przesłania pozytywów: mamy gazoport i to jest obiektywny sukces i bezpieczeństwo. Nie jest ono stuprocentowe, ale jest. Do tego własne tankowce do przewozu skroplonego gazu i pierwszy już pływa. To też sukces.

Przekop Mierzei Wiślanej – sukces kolosalny, a teraz NIE ZMARNUJMY TEGO, tylko rozwijajmy w dobrą stronę. Mamy dwa sukcesy. To więcej niż wszystkie poprzednie rządy razem wzięte”. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIĄŻKI

ALEKSANDER KOTOW „MYŚL JAK
ARCYMISTRZ”, NIGEL Warburton
„KRÓTKA HISTORIA FILOZOFII”,
JOHN LEWIS GADDIS „GENIUSZE
STRATEGII”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

226,00 zł
OSZCZĘDNOŚĆ 336 zł

~~562 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 9ebd9c95fb



ROAMER

OF SWITZERLAND

7 YEAR
WARRANTY

